

2.2013

GŁOS FANTASTYKI



Świerczek, Dryjer,
Bernard, Rettinger,
Zuchowska,
Mikołajczyk



Redakcja:

Marek Doskocz (redaktor naczelny), Dariusz Domagalski, Konrad Staszewski, Jarosław Szóstka, Krystian Citowicki, Alan "Zer" Gajewski (ilustracje, skład)

Współpracują:

Rafał Dębski, Marcin Pągowski,

Okładka:

Przemysław Galert

Skład:

Łukasz Jakielski

ljakielski@mixbox.pl

Webmastering:

Damian Cielepa

Adres Redakcji:

„Głos Fantastyki”

Ul. Morcinka 9/3

48 – 200 Prudnik

e-mail: marekdoskocz@gazeta.pl

www.pismo.kwartalnik.eu

Pismo powstało przy współudziale i pomocy portalu <http://www.fantasta.pl>

Spis treści

- [WSTĘP](#)

- [WYWIAD Z DOMINIEM RETTINGEREM – ROZMAWIAŁA JOANNA WASILEWSKA](#)

- [DARIUSZ DOMAGLASKI](#)

Autorytety naszych czasów

- [DOROTA KUŚMIREK-WRZOS](#)

Inne przyjemności: Czytanie

- [JAKUB ŻULCZYK](#)

Och, Rafał (fragment)

- [MAREK DRYJER](#)

Miasto umarłych ludzi

- [KORNEL MIKOŁAJCZYK](#)

8311200047806

- [JULIA BERNARD](#)

Cyklop

- [MAREK ŚWIERCZEK](#)

Koniec

- [KRYSTIAN „ANANSI” CITOWICKI](#)

Puzzlen

- [FRAGMENTY KSIĄŻKI: „PAULINA ŻUCHOWSKA – PAMIĘTNIKI 2005R – 2011R](#)

- [RECENZJE](#)

Pomnik Cesarzowej Achai t. 2

Herosi

Hobbit: niezwykła podróż

Hobbit – niezwykła podróż?

„Zdumiewająca sprawa Nakręcanego Człowieka”

Nieśmiertelność zabije nas wszystkich

Okrutny Wiatr

Portret Pani Charbuque/ Asystentka Pisarza Fantasy

Świat bez bohaterów

Teoria Diabła i inne spekulacje

Trupia Farma. Sekrety legendarnego laboratorium sądowego, gdzie zmarli opowiadają swoje historie

Wilczyca i Córka Ziemi

Delirium

Igrzyska Śmierci

Viva l'arte Kłamca

Mądrości Shire. Krótki poradnik, jak żyć długo i szczęśliwie.

Ostatni Smokobójca

Paskuda & Co.

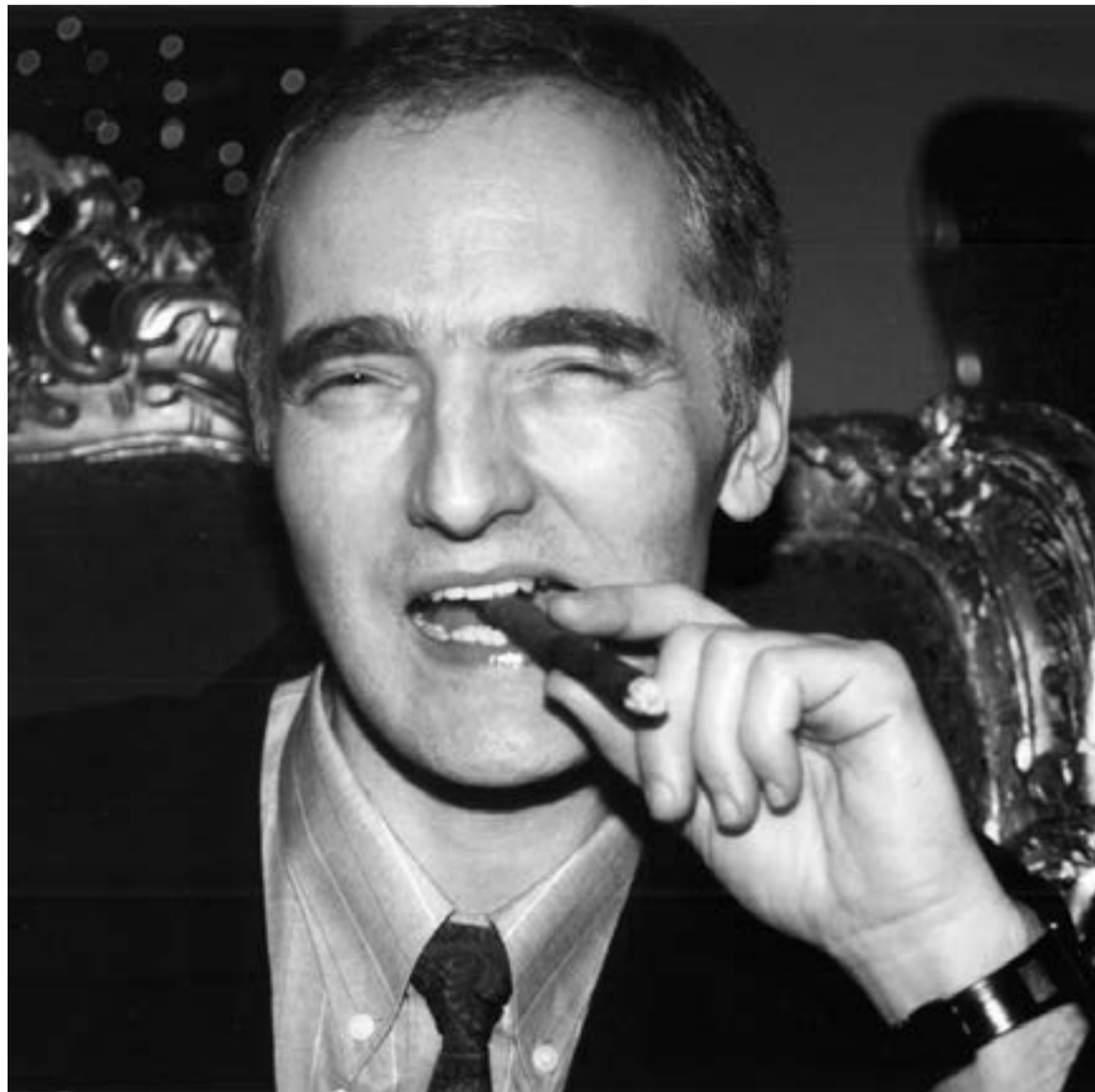
WSTĘP

Nie było końca świata, jak niektórzy przewidywali, w rządzie dalej bez zmian, dzień za dniem mija, za oknem znów zima. Końców świata było już tyle, że trudno je zliczyć, a mimo to świat dalej trwa. To chyba w ludzkiej naturze leży, by uprawiać czarnowidztwo i wyczekiwać końca. To chyba niezbywalny atrybut ludzkiej egzystencji, by wyczekiwać czasów ostatecznych zapatrując się w horyzont, za którym nie wiadomo co jest. Końców świata zaś jest wiele, i raczej można by mówić o prywatnych końcach, dla każdego z nas różnych i innych. Tymczasem zapraszam do zapoznania się z drugim numerem Głosu Fantastyki, w którym jeszcze więcej opowiadań oraz recenzji. Za okładkę posłużyła kolejna praca Przemka Galerta, niejako kontynuacja pierwszego numeru. Który został już naszym stałym grafikiem. Nowością są prace Alana Gajewskiego, które uświetnią opowiadania, które znalazły się w tym numerze. Jeśli macie jakieś uwagi, co do funkcjonowania pisma z chęcią się z nimi zapoznamy, by stale udoskonalać naszą inicjatywę.

Marek Dorskocz

WYWIAD Z DOMINIEM RETTINGEREM – ROZMAWIAŁA JOANNA WASILEWSKA

Nakładem Wydawnictwa Jaguar ukazała się właśnie debiutancka powieść Dominika W. Rettingera pod tytułem „Brainman”. Znany przede wszystkim jako scenarzysta filmowy, autor opowiada o kulisach powstania książki oraz tym, co skłoniło go do napisania współczesnej historii o superbohaterach.



Joanna Wasilewska: Jest Pan scenarzystą filmowym z imponującym dorobkiem – filmy pełnometrażowe, seriale telewizyjne... Co skłoniło Pana do swoistego skoku w bok i napisania książki?

Dominik W. Rettinger: Szczerze? Przypisaniu książki nikt mi nie mówi, co i dlaczego mam pisać. Scenarzysta musi liczyć się z producentem, reżyserem, realiami produkcyjnymi. No i potem musi zaakceptować to, co zobaczy na ekranie – a to nie zawsze jest łatwe. Ja akurat nie mam specjalnych powodów do narzekań – Agnieszka Holland, Magda Łazarkiewicz i Kasia Adamik podniosły poziom moich tekstów w serialu „Ekipa”. Tak samo Janusz Kondratiuk, w świetnie zrobionym filmie fabularnym „Milion dolarów”, kompletnie zresztą zmarnowanym przez dystrybucję. I to też jest rzeczywistość scenarzysty. Choć ten film będzie wracał, jako część legendy Kondratiuka – kultowego reżysera.

JW: A jak się ma pisanie książki i kreowanie postaci literackich do pisania scenariusza filmowego?

DWR: Scenariusz wymaga dyscypliny formalnej, jest wypowiedzią, która ma być punktem wyjścia do filmu. Zaledwie i aż. Postacie filmowe muszą być tworzone szybko i wyraziście. Główni bohaterowie powinni zostać pokazani w pierwszych minutach filmu. Poza tym trzeba stworzyć emocjonalny związek widza z bohaterami, nazywamy to emotional bridge. Często to karkołomnie trudne zadanie, łatwo jest wpaść w banał, klisze, psychologiczną płyciznę. W powieści jest na to dużo więcej czasu.

JW: „Brainman” to, przynajmniej w warstwie zewnętrznej, opowieść o superbohaterach – postaciach kojarzonych głównie z komiksem, a ostatnio również z filmem. Skąd taki pomysł?

DWR: Uzurpowałem sobie prawo do wykorzystania formy komiksowej, aby ukryć pod nią poważniejszą refleksję o naszych czasach. Nie próbuję sił w tak zwanej poważnej literaturze z prostego powodu: po przeczytaniu Dostojewskiego, Manna, Babla, Bułhakowa, Singera, Marqueza czy Kundery byłbym wariatem, ważąc się na poważną powieść. Podziwiam pisarzy, których wymienieni geniusze nie hamują przed sięgnięciem po pióro.

JW: Między Dostojewskim, a komiksami o Supermanie jest jednak spora przepaść...

DWR. Lubiłem filmy o Supermanie. Dostrzegałem w nich poczucie humoru, dystans do formy. Bez odrobiny humoru w ogóle nie ma sensu się wypowiadać. Świat, który nas otacza jest tyleż ponury, co nonsensownie zabawny.

JW: Taki świat, w którym przydaliby się superbohaterowie?

DWR: Świat, w którym przydaliby się ludzie z otwartym umysłem, i to bardzo. O tym jest moja opowieść.

JW: W Pana wcześniejszym dorobku znajduje się również epizod fantastyczny – scenariusz do „Pory mroku”, pierwszego polskiego horroru. Lubi Pan opowieści z dreszczykiem?

DWR: Nie bardzo. Scenariusz do filmu pisany był na zamówienie. W moim zamyśle miał to być horror komediowy, ale producent zdecydował inaczej. Trudno – jego prawo. Od horrorów zdecydowanie wolę dobrze zrobione thrillery.

JW: W „Brainmanie” ważną rolę odgrywają obcy – prawie bezcieleśni. Jedno są obserwatorami, drudzy stanowią bliżej niesprecyzowane zagrożenie. Żadnych wielkich oczu, śluzu, gigantycznych zębów...

DWR: Mam nadzieję, że tak będziemy kiedyś wyglądać i funkcjonować. Braku zębów u obcych proszę mi nie zarzucać, nie pisałem o nich! A wielkie oczy – jak najbardziej! Przecież oczy są zwierciadłem duszy. Nasze ułomne ciała kiedyś uda nam się udoskonalić, wierzę w to. Ludzkość liczy sobie ok. 2.7 miliona lat. Proszę sobie wyobrazić, co będzie za tysiąc lat, przy obecnym tempie pracy nad mózgiem i technologiami medycznymi. A za sto tysięcy? Za milion?

JW: Wyciszeni, introspektywni, niezwiązani ograniczeniami ciała... W książce wyraźnie widać pojawiające się elementy filozofii Wschodu – choćby scena medytacji w górach. Jogin w USA?

DWR: Wschód i Zachód zbliżają się do siebie, coraz bardziej. Zaczęło się dość niedawno, na przełomie XIX i XX wieku, od fascynacji Wschodem takich myślicieli jak chociażby Jung. Jestem zdania, że nauki i praktyki Wschodu docierają do prawdy o człowieku, a być może do prawdy o całej rzeczywistości. Na pewno skutecznie leczą z iluzji naszego ego – źródła wszystkich cierpień. Zachód zaczął rozumieć, że jego (nasza) kultura, choć zbudowana na wspaniałych wzorcach (Stary i Nowy Testament, filozofia, nauka), ma również mrocznych przodków – gniew, chciwość, zawiść, ambicje. Obciążony lękiem indywidualizm i kult ego prowadzą do przemocy. Wschód, Azja, dalekie są od rajy, wydaje się jednak, że wytyczyły drogę, które jest wielką szansą dla naszej duchowości – hinduizm i buddyzm. Mam nadzieję, że spotkanie Zachodu ze Wschodem doprowadzi kiedyś do otwarcia się ludzi na nowe, lepsze możliwości.

JW: A w rzeczywistości (naszej zresztą), którą opisuje „Brainman” wcale nie jest wesoło. Spolegliwi ludzie, stronnice media, rządy silniejszych. Aż tak źle ocenia Pan współczesność?

DWR: A pani ocenia ją dobrze? Nie pamiętam, ile wojen aktualnie jest toczonych na Ziemi. Ostatnia liczba to było chyba 106. Wie pani, że gdyby tzw. Pierwszy Świat przestał nagle sprzedawać broń do krajów Trzeciego Świata, to nastąpiła by totalna katastrofa ekonomiczna? Nazywa się ten porządek TINA – There Is No Alternative (nie ma alternatywy). Musimy produkować, konsumować i sprzedawać – broń też. Krótko mówiąc, musimy wywoływać i wspierać wojny. Bez naszej broni Afryka, a przynajmniej większa jej część, nie byłaby piekłem. Alternatywa istnieje i to prosta – wycofać broń, natychmiast. I zacząć edukować ludzi Trzeciego Świata – natychmiast. Nie da ich się przecież cofnąć do etapu sprzed naszej fatalnej w skutkach kolonizacji. Inwestując w taką edukację, za 20–30 lat stworzylibyśmy dojrzałe społeczeństwa, które konsumowałyby nasze i własne produkty, z o wiele lepszym skutkiem dla obydwu stron. Tylko, że my nie chcemy czekać 20 lat. Łatwiej jest wyprodukować i sprzedać broń. Szybki zysk dla wielkich koncernów, które wybierają sobie polityków, mydląc nam oczy i umysły demokracją.

JW: Świat, w którym rządzą korporacje to spełniona wizja wielu pisarzy science-fiction. A gdyby miał się Pan pokusić o wskazanie przyczyn takiego stanu rzeczy?

DWR: Powiedziałem już o tym – w złudzeniach ego. Wydaje nam się, że możemy zwalczyć wszystkie nasze lęki i zapewnić poczucie bezpieczeństwa tylko w jeden sposób – walcząc. O władzę, pozycję, bogactwo. Okazuje się jednak, że nawet wielkie pieniądze czy sława nie chronią wcale przed depresjami, lękami, paranoją. Dawno temu zgubiliśmy proporcje, intuicję prawdy o nas samych, sens ziemskiej egzystencji. Na szczęście coraz więcej ludzi to rozumie, i wyrusza w najtrudniejszą z dróg – poszukiwanie prawdy. Ich nagrodą jest spokój i harmonia, w relacji ze sobą, z bliskimi, ze światem. To bardzo optymistyczne zjawisko. Myślę, że przyszłość należy do takich ludzi, staną się przewodnikami, potem przywódcami. Jak na przykład Gandhi. Mam nadzieję, że przyjdą czasy, kiedy tacy ludzie nie będą zabijani.

JW: John, główny antagonistą w książce, wydaje się być zły do szpiku kości, a jednak można byłoby, dość przewrotnie, całe to jego zło uspra-

wiedliwić... W końcu, jako nieodrodne dziecko współczesnej cywilizacji, walczy o zaspokojenie potrzeb ego.

DWR: Można wygłosić obronę każdego człowieka błądzącego. Wystarczy przyrzeć się jego dzieciństwu i genom. Przede wszystkim dzieciństwu. Traумы przekazywane są z pokolenia na pokolenie – w chorej cywilizacji nie ma innej drogi. Nie ma przewodników dla dzieci skazanych na obarczonych złymi doświadczeniami rodziców. Ani dla dojrzewających mężczyzn i kobiet. Nie ma szamanów, jak w na przykład w społecznościach Indian Ameryki Północnej. Nie ma nawet systemu sensownej resocjalizacji tych, którzy pobłądzili. W RPA ściągnięto do najcięższego więzienia dla recydywistów joginów z Indii. Po roku, więźniowie – niebezpieczni mordercy, psychopaci – z płaczem wyznawali swoje winy i obiecywali poprawę. I naprawdę zmieniali się – w więzieniu gdzie wcześniej co chwila ginął człowiek, znikła jakakolwiek przestępczość. Znikły nawet narkotyki. Widziałem o tym film dokumentalny, BBC. Dlaczego w takim razie nie stosuje się jogi we wszystkich więzieniach na całym świecie? W Europie, Stanach? W Polsce? Przecież koszty byłyby o wiele niższe, niż straty wynikające z przestępczości.

JW: Kusi mnie pytanie, dlaczego w książce nie ma żadnej złej kobiety. Jedna jest dość bezwolna, druga diablo inteligentna, ale żadna nie przejawia mrocznych, destrukcyjnych skłonności.

DWR: To prawda. Kobiety to moja wielka słabość – uwielbiam je i podziwiam. Wielka szkoda, że to nie kobiety rządzą światem. Ale tak się stanie, jestem pewien, to tylko kwestia czasu.

JW: Między „Supermanem”, a Dostojewskim – gdyby miał Pan porównywać „Brainmana” do jakiejś pozycji literackiej, to...

DWR: Czytałem recenzję, której autorka, polonistka i filozof, nazwała „Brainmana” powiastką filozoficzną. Porównała moich bohaterów do Kubusia Fatalisty Diderota, Kandyda Voltaire’a i Guliwera Swifta. To prawda, myśl i forma opowiadania stosowana w Oświeceniach były dla mnie inspiracją. Nie jestem jednak tak zarozumiały, żeby porównywać się z tak wielkimi postaciami literatury. Bliskie mi zawsze były opowieści Lema, przepadałem w młodości za „Bajkami robotów”, ale też chylę tylko czoła przed Jego geniuszem.

JW: A co czyta Pan prywatnie?

DWR: Wymieniłem już autorów, których teksty po prostu zwalają z nóg. Dodać powinienem do nich Mistrza Świata słowa i wyobraźni – Brunona Schulza. Gdyby pisał po angielsku, niemiecku, czy francusku, stałby teraz na najwyższym piedestale Historii Literatury Światowej. Wymieniać mógłbym bardzo długo – wspaniałych poetów, Norwida, Baczyńskiego, Audena, Eliota, Mandelstama, Symborską, Herberta. Pisarzy i dramaturgów – Conrada, Huxley’a, Henry Millera, Charles’a Bukowskiego, Jerofiejewa (tego od „Moskwy Pietuski”), Szekspira, Czechowa, Grassa, Camusa, i tak dalej – lista wypełniłaby cały ten wywiad.

JW: Znakomitości literatury kontra nowy wspaniały świat multimediiów i łatwej rozrywki. Nie będę pytać o kondycję czytelnictwa w Polsce, ale ciekawi mnie, czy myśli Pan, że książka, która poza walorami rozrywkowymi próbuje jednak coś czytelnikowi uświadomić, ma szansę w starciu z literacką konfekcją, w której liczy się li i jedynie dobra zabawa?

DWR: Decyzję zostawiam czytelnikom. Mam nadzieję, że „Brainman” dostarczy tyle samo rozrywki, co materiału do refleksji. Wynik starcia książek to jednak przede wszystkim kwestia promocji i dystrybucji. Jako nieznaną autor jestem świadom moich ograniczeń w tej materii. Poza tym dobrze życzę wszystkim autorom SF – ich praca wymaga wielkiej wyobraźni i sporej dawki wiedzy. Z żadnym z nich nie chciałbym się ścierać

JW: Krwawe starcie byłoby precedensem... A poważnie – poprzestanie Pan na „Brainmanie”, czy planuje Pan kolejne książki?

DWR: Rozmawiam z wydawnictwem o gotowej powieści dla młodszych czytelników. Fantasy – też lekka parabola, ale bardziej ukryta. Myślę też kryminałach, kiedy czas pozwoli. Poza tym nadal wiele czasu zajmuje mi praca w filmie.

JW: Jakies szczegóły?

DWR: Mam nadzieję, że dojdzie do realizacji mojego scenariusza „Adalbert”, w reżyserii Agnieszki Holland. To opowieść o ostatnim roku życia św. Wojciecha, jego wyprawie do krainy Prusów. Napisałem kilka odcinków kręconego obecnie drugiego sezonu serialu „Głęboka Woda”. Prowadzącym reżyserem jest Magda Łazarkiewicz – w swojej szczytowej życiowej formie. Grand Prix Italia, którą otrzymała za poprzedni sezon tego serialu nie była przypadkiem. Autorką nagrodzonego odcinka była świetna scenarzystka – Kasia Terechowicz. Piszę też teksty fabuły, o których nie wolno mi na razie mówić – tak stanowią umowy. Jeszcze jedna cecha zawodu scenarzysty

JW: Na zakończenie – jak wygląda typowy dzień scenarzysty i pisarza? Bo mam wrażenie, że niektórym pisanie wciąż kojarzy się z nieustającą labą.

DWR: Pobudka jak najwcześniej i walka ze sobą o dyscyplinę. Bierze się człowiek za pysk i sadza przy komputerze. Dobrze, że nie przy maszynie do pisania – nie potrafię pojąć, jakim cudem pisarze mogli poprawiać swoje dzieła. To musiał być jakiś koszmar. Izaak Babel, absolutny mistrz opowiadań, szlifował niektóre z nich dwadzieścia lat! Wyobraża sobie Pani tę górę kartek? Hemingway wyrzucał grubo ponad połowę zapisanych stron. Wszyscy przez mnie wymienieni musieli przez to przejść. A mimo to, o ileż więcej mieli do powiedzenia od współczesnych literatów, i jak to powiedzieli! Kundera też, choć on, na szczęście, wciąż pisze!

Autorytety naszych czasów

Czasami wydaje mi się, że wdepnąłem w jakiś dziwny stan kwantowy, w którym zgodnie z teorią Everetta wszystkie absurdy muszą się zrealizować. A może to świat się zmienił i obecnie nie rządzą nim politycy, korporacje handlowe, media, ani nawet Illuminati jak głoszą niektóre teorie spiskowe. Obecnie najwięcej do powiedzenia mają dziwne osobistości wykreowane przez popkulturę lub Internet.



Jeszcze dwie dekady temu to wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Gdy chciałem się czegoś dowiedzieć o tym co dzieje się aktualnie na świecie wystarczyło, że sięgnąłem po dowolną gazetę, nastawiłem radio lub TV. Oprócz informacji otrzymywałem cały wachlarz interpretacji prezentowany przez felietonistów, rzetelnych dziennikarzy, autorytety w danej dziedzinie. Mogłem zapoznać się z różnymi punktami widzenia i na ich podstawie wyrobić sobie własny osąd.

Obecnie zaś bombardowany jestem miłąkami informacjami urastającymi do miana sensacji o tym, że na warszawskiej Pradze spaliła się kamienica, w której nikt nie mieszkał, o tym, że w szpitalu walczy o życie jakaś gwiazda filmów porno, celebrytce obsunął się stąnik na jakimś bankiecie z okazji okrągłej szesnastej rocznicy działalności fundacji na rzecz osadnictwa pingwinów na Madagaskarze, a temperatura w styczniu spadła do -10 stopni co jest oczywiście NIESAMOWITE na naszej szerokości geograficznej o tej porze roku. Czytam we wiadomościach sportowych, o tym, że polska reprezentacja zdobyła złoty medal – w psich zaprzęgach, o wielkim transferze naszego zawodnika do największego klubu w Europie – hokej na trawie. Tego typu „sensacji” jest wiele. Na informacyjnych portalach internetowych podawane to jest z oznaczeniem WAŻNE, a w najsztywniejszej telewizji informacyjnej przekazywane przez wymuskanych prezenterów, którzy Bóg wie czemu i niezgodnie z zasadami polskiej fonetyki, stawiają akcent na pierwszą samogłoskę.

Co więcej stosują na odbiorcach sztuczki rodem z NLP, traktując ludzi jak idiotów. Pamiętam kilka lat temu w stacji TVN24 podawano wyniki sondażu przedwyborczego: „PiS zdobył zaledwie 33,3% poparcia społeczeństwa, zaś PO aż 1/3”. Piękna manipulacja, prawda?

Poprzedni rok obfitował w różnego rodzaju fajerwerki informacyjne. Z serwisów informacyjnych nie schodził temat matki Madzi i ważniejsza była akcja seriali telewizyjnych niż rzeczywista sytuacja na świecie. Czyżby próba zamknięcia społeczeństwa w Matrixie? Również w poprzednim roku, bliżej nieznanym mi bloger – Erwin Wencel napisał, że Przemek Tytoń skompromitował narodową reprezentację i przyniósł wstyd całej Polsce gdy ukląkł i przeżegnał się przed obroną rzutu karnego w meczu Grecją na ME. Zrobił się szum na cały kraj, trąbiły o tym portale informatyczne, przeprowadzano z nim wywiady, na forach rozgorzały dyskusje. Usiłowałem sprawdzić kim jest ów Erwin Wencel i dowiedziałem się tylko, że jest scenarzystą. Nigdy o nim nie słyszałem, nie miałem okazji zapoznać się z jego „dziełami” prawdopodobnie jak 99% procent tych, którzy zajmowali się szumem wokół jego kontrowersyjnego stwierdzenia. Dziwne, że człowiek znikąd nagle stał się osobą opiniotwórczą.

Jakiś czas później Sąd Okręgowy w Warszawie utrzymał wyrok sądu pierwszej instancji uznając Dodę winną obrazy uczuć religijnych poprzez określenie autorów Biblii jako „naprutyh winem i palących jakieś zioła”. Przygotowując się do pisania „Cherem” zgłębiłem dosyć dobrze ten temat i dodałbym do tego jeszcze, że byli „plagiatorami”. Stary Testament to nic innego jak zbitek zapożyczonych mitów mezopotamskich. Ale nie o to chodzi czy Doda miała rację czy nie. Zastanawiam się jak opinia niezbyt rozgarniętej laski, której image polega na publicznym paplaniu kretynizmów, mogła okazać się znacząca dla ludzi, którzy podali wokalistkę do sądu. Wychodzi na to, że Doda w swoich krzykliwych, kompletnie pozbawionych gustu strojach, sposobie bycia idiotki stała się opiniotwórczym autorytetem!

No i jeszcze był skandal wywołany przez Kubę Wojewódzkiego i Michała Figurskiego, którzy na radiowej antenie stroili sobie niewybredne żarty z Ukrainek. Pierwszy z nich jest świetnym recenzentem muzycznym, ale znany przede wszystkim z „gnojenia” uczestników programu „Idol”, oraz prowadzenia niskich lotów talk show. Drugi jest świetnym muzykiem, ale dał się poznać bardziej jako kontrowersyjny prezenter radiowy.

Sprawa okazała się na tyle poważna, że zajęło się nią Ministerstwo Spraw Zagranicznych zarówno ukraińskie jak i polskie. Rzecznik naszego MSZ stwierdził, że wypowiedzi te osłabiają lata wysiłków budowania przyjaźni między Polską i Ukrainą. Co?! Okazuje, że wypowiedziane przez nich słowa mają większą moc sprawczą niż wypowiedziane przez dyplomatów. Może zatem nasze zagraniczne placówki należy zlikwidować zaoszczędzając pieniądze podatników, a w posły słać celebrytów?

Zawsze było tak, że osobami opiniotwórczymi, z których osądami należało się liczyć byli ludzie posiadający wiedzę, osobowość i sławę. Wydaje mi się, że obecnie pozostało tylko to ostatnie. Przy okazji różnego rodzaju wydarzeń celebryci zapraszani są do studia telewizyjnego i audycji radiowych żeby podzielili się ze społeczeństwem swoimi „głębokimi przemyśleniami”.

Trzy lata temu przy okazji 600–lecia bitwy pod Grunwaldem na dziesięciu gości tylko jeden był historykiem. Co z tego, że nie mają nic mądrego do powiedzenia, ale są popularni. A jak są popularni to z ich zdaniem należy się liczyć.

Dziwi mnie tylko, że ludzie oburzają się na słowa Wencla, Dody czy duetu Wojewódzki – Figurski tym samym dając im swoistą rekomendację, stawiając w jednym szeregu z autorytetami, ludźmi, którzy naprawdę powinni kształtować opinię publiczną.

Inne przyjemności: Czytanie

F 43: Mgła mózgu

Nie tak dawno w międzynarodowej klasyfikacji chorób (ICD) pojawiła się nowa jednostka chorobowa – F 43: zespół przewlekłego zmęczenia. Choroba ta, wcale nie tak nowa, jak wskazywałaby decyzja WHO, objawia się, poza oczywistym zmęczeniem organizmu, szeregiem somatycznych znaków: osłabieniem, niespokojnym snem, bólem mięśni, stawów i gardła o nieustalonej etiologii, wreszcie signum poetyckim a zgoła niemedycznie nazwanym – „mgła” mózgu.

F 10.4: Obłąd opilczy

Ta niedookreślona przypadłość z całym okrucieństwem swej istoty, niczym wspomniana już „mgła” mózgu, pojawia się także w domenie literatury (co właściwie przestaje dziwić, gdy przyjmie się, że delirium tremens albo legło u podstaw pisania albo stało się samo tematem literackim). Nie budzą już wtedy takiego zdziwienia mocne anioły, wiedźmińskie eliksiry, wschodnie zamiłowanie do magicznych trunków Wędrowycza, a nawet elfy wprowadzające detektywa Malloriego w fantastyczny Manhattan w poszukiwaniu jednorożca. Namiętność ta nagła a niepowstrzymana, gwałtowna aż niemal histeryczna, wszechogarniająca aż do „zaśpiewaj i zatańcz lub co tam masz w programie”, łakoma i odrzucająca jednocześnie tak, że „obnoszę swoją skargę, ciężką jak baba damasceńska”, z obnażonym udem i w bachicznym zachwycie wkracza na terram incognitam codzienności, zdzierając tym samym woalkę z tej szanowanej niewiasty. Zatem „pamięci moja, statku piękny, czy nie dość będzie żeglowania po morzu gorzkim i dalekim, czy nie za wiele wędrowania od brzasku aż po noc udręki?”

F 19.2: Życie

Zawołam więc: „Czytaj, ale też trochę żyj! Czytaj, ale nie zapomnij o życiu, tak szybko mija. Czytaj, ale korzystaj z życia – nie warto go tracić. Owszem, jak bardzo prawdziwe wydaje się leżeć po drugiej już stronie, choćby w pokoju za ścianą”, wypełnionym pieczołowicie uzupełnianymi regałami. Jednak ciało pamięta i budzi się w nocy ze strzępkami gdzieś przeczytanych słów, „ciało pamięta; gdy tylko rano wstaje, włącza jednocześnie, machinalnie, nim jeszcze ustanie ziewanie, ekspres do kawy i komputer”, czytnik e-booków, i tak przegląda gazety, czyta książki, o ile nie hołduje „nałogowi papieru”. Lecz nie o medium, nie o pośrednika tego procesu i nie o zapożyczenie wszakże chodzi.

F 43.10: Słowouzależnienie

Czytanie jest nałogiem! Nabywanym najczęściej we wczesnym dzieciństwie, wpajany (o zgrozo!) przez równie przeżartych słabością rodziców, niezdolnych do obrony swoich dzieci przed drapieżnością swej niemocy. I stanu tego nie zmienią nawet stwierdzenia różnych higienistów życia umysłowego i apologetów życia rodzinnego, domagających się unisono „Poczytaj mi, mamo!” i „Cała Polska czyta dzieciom”.

Czytanie pozostaje więc głęboką namiętnością, tak jak zaciąganie się papierosem – źle skrywaną potrzebą nabrania oddechu, próbą zaspokojenia erotycznego wszakże popędu narracyjnego, uchwycenia słowa w działaniu; czyż to nie wbrew powszechnemu horror vacui wypełnianie siebie różnaitą treścią, identyczne w różnych miejscach na Ziemi? Czai się gdzieś w nas ta zapomniana już tęsknota wewnętrznego tłumacza znaków, deskryptora cudzych objawień, pożądanego cudzych narracji tak jak słowa naszego powszedniego; pączkujące z naszych codziennych niedookreśleń pragnienie pochwylenia istoty otaczającej nas rzeczywistości, niczym biblijne „Słowo stało się ciałem”.

F 19.3: Legoholizm

W czytaniu najbardziej lubię moment, w którym myśl, wplątana precyzyjnie w literackie phantasmaj, podąża szlakiem wybranej przez autora estetyki tylko po to, by w doprowadzonej do granic genologicznego obłądu potrzebie klasyfikacji zerwać się nag-

le i, często wbrew woli pisarza, śmiało poszybować w błękitnego przestwór oceanu; by – uwolniona od odautorskiego może zarzutu i jednocześnie obawy, jaką odnajduje twórca, rzucający sobie niczym Brunietiere Zoli (à propos Kartki miłości) oskarżenie, „że zupełnie nie zna się na sztuce kompozycji, że sprowadza ją do zwykłego gromadzenia obrazów w galerii” – śmiało pociągnęła ku sobie czytelników. Lubię moment, w którym myśl, a za nią wreszcie jej nieskrępowany zmysł wewnętrzny – wyobraźnia – w końcu nieprzynaglana żadnym literackim uzusem, modusem, czy jakimkolwiek innym wpędzającym ją do niemal gombrowiczowskiej formy conductusem (muzykologów i melomanów proszę tutaj o wyrozumiałość), lekko porusza się po tym ermitażu doznań i, może tylko dla przekory, wykonuje dwa, podstawowe dla procesu lektury jak sądzę, gesty: przedstawiania siebie i nazywania świata. Bo czytanie jest także teatrem z zarezerwowanym dlań repertuarem znaków, niejako na nowo dookreślających miejsce lektury i wybór książki, właśnie przez akt jej otwarcia, uwalniający zapach farby drukarskiej lub przez poszukiwanie utraconego czasu, poświęcone zetknięciu już nieco papierem albo śladami innych libroorganizmów. I nie da się oddzielić obu porządków: słowa od znaku, opowieści od obrazu, autora od czytelnika. Namiętność ta staje się modus vivendi, narasta podporządkowując sobie wszystko wokół, zagarniając naszą vita brevis aż do ostatecznego, kulminacyjnego, spazmatycznego uwolnienia życioczytania.

Wbrew wszelkim uprzejmym, zatrważającym, żenującym, nieprawdopodobnym (żadnego nie skreślać) doniesieniom oraz takimże gromkim jeremiadom nadal namiętnie czytamy. Tylko tajemnicą poliszynela pozostaje, co... I tu znów nieśmiały głos do mniej lub bardziej znanych niedoli fantastów. Dlatego ten nieco logoreiczny tekst mogłabym zacząć również tak...

Operator słowa

W jednym ze swoich listów do Danuty Pawłowskiej (Warszawa, z 10.08.1976) Edward Stachura wspomina, że otrzymał zaproszenie na poznański Eurocon: „Aha, mówił Ci Janek, że dostałem zaproszenie na Europejski Kongres Pisarzy Science Fiction, czyli Sajęsz Fikszyń. Czyżby moje pisanie było Sajęsz Fikszyń? Bardzo to znamienne”. Osobliwa to pokusa, by pisząc tutaj, nawet o czytaniu sensu largo, cytować słowa fantastycznego twórcy niefantastycznego, by wspomnienie przywoływać przez inne, niepamięć jednego tłumaczyć niepamięcią drugiego, by pierwszym słowem tej opowieści uczynić spojrzenie; akt uchwycenia onirycznych niekiedy obrazów, określanych mianem artis imaginationis. Staje się tak rozumiana fantastyka w końcu, jak i samo czytanie w pewnym stopniu, przejawem swobody umysłu, konstruującego na nowo „fizykę wyobraźni”, wykwittem myśli pierwotnej, dzięki i nieoswojonej, której naśladowcze zachowania wykraczają daleko poza prostą przyjemność odtwarzania i rozpoznawania; staje się aktem działania wytworzonego przez imitację przedmiotu, oddziaływaniem analogonu.

Imitor ergo sum

Jest zatem fantastyka swoistą grą prowadzoną z czytelnikiem, mimetyczną zabawą, niekiedy ukazującą świat à rebours; karnawałowym nakładaniem ciała na szkielety wyobraźni, dramatyczną mimikrą z ludzkim strachem, wyprowadzającą z głębin nieświadomości najgłębiej ukryte lęki i marzenia. Fantastyka, rozumiana jako rzucanie literackich nici między rzeczywistością a niczym nieskrępowaną wyobraźnią, staje się sztuką ujmowania zależności łączących rzeczy, tworzącą „wiersze i symfonie”, jest rodzącą rozkosz składową wyśmienitego „dyskursu opisu”. Fantastyka to imię wyobraźni wypowiedziane w obrazie, zrodzone z przyjemności opowiadania, to wreszcie uprawomocnienie żądań pamięci, zachwyczonej bogactwem rozkładanego przez kupca–pisarza towaru. I tracą wtedy znaczenie gatunkowe rozróżnienia, wewnętrzne batalie między science–fiction a fantasy, przestaje straszyć „minotaur niewiedzy i niezrozumienia”. Przestaje wtedy być fantastyka niepotrzebnym, bo naddanym, rekwizytem narracji, nie jest – podobnie jak w fantastycznym rysunku Bartłomieja Minkiewicza z cyklu KALENDARZ 2013 WILQ SUPERBOHATER – zbiorem rzeczy niepotrzebnych, lecz zamieszczonych w tzw. „konwencji”; nie dusi się w swoim kombinezonie – by znów odwołać się do tego celnego ujęcia.

Autor to jest autor i jego się już nie zmieni...

Potyczki te, niejednokrotnie i prowokowane, i podkreślane, i komentowane przez mainstream, przypominają nieco anegdotkę, jaką Janusz Andermann napisał, wspominając swój i Stachury pobyt na Euroconie (Poznań 1976 r.): „Gdy następnego dnia opuszczaliśmy hotel do Stachury podszedł od niechcienia jeden z tajniaków. Zagadnął: »Ten z długimi włosami, to na co on się tak do Pana przesmykiwał, Panie autorze? On się nie musiał przesmykiwać, bo my dostaliśmy instrukcje na odprawie. A tacy autorzy, prawda – powiedzieli uświadamiająco – to rozumiecie, różne tam mają zwyczaje i przyzwyczajenia skądinąd. Niejednokrotnie niejeden z nich to na ten przykład będzie wolał chłopą, a nie babę. I gdyby taka dana sytuacja miała miejsce, żadnych interwencji, bo mogiła«”. Przewornie odżegnując się od wszelkich możliwych modnych konotacji tego cytatu, zastanawiam się, na ile niezawodnie przypomina on Lemowe „założenia” fantastyki: stawia ona sobie za cel rzeczywistość odsłaniać i demitologizować. Co jednak, gdy dzięki posiadanej przez autorów wiedzy i ich zdolności unaoczniania najwymyślniejszych nawet fabuł, tym skuteczniej ją zakrywa i maskuje...?

Ostatecznie więc, czy czytając, jesteśmy skazani na naśladowanie? Chyba tak, skoro już „zawsze opowiadamy te same historie”. Narzekającym, że ten tekst został licznie a z premedytacją usiany cytatai, i to nieopisanymi bibliograficznie, pragnie autorka powiedzieć, znów parafrazując, że kto nie czyta, „ten kiep”. A jeśli „autor to jest autor i jego się już nie zmieni”, to i czytelnik ma swoje prawa. Zatem „sio, wyrzuty sumienia. Jego wysokość będzie teraz czytał” ...

Tekst ukazał się pierwotnie na stronie <http://www.fantasta.pl>

JAKUB ŻULCZYK

Och, Rafał (fragment)

– Jestem zmęczona, muszę się położyć – mówi Anetka – ale nie chcę wracać do domu, tam jest tak pusto...

– Możesz położyć się tutaj – mówię do niej – możesz położyć się tutaj, wszystko w porządku. I mlaszczę znowu, nie mogę nad sobą zapanować.

– Na pewno nie będzie problemu? – pyta. I dodaje – bardzo się boję. Nie pytam, czego się boi, i tak zaraz mi to powie. Boże, te cyce.

Mówi, że się boi, i ściąga ramiona do siebie i je ściska, tak że zaraz one pękają, trzaskają, wybuchają, i tryśnie z nich to, co jest w środku, mleko, miód, płynna czekolada, to zaraz wszystko pęknie i zaleje mnie, udusi.

– Boję się, że to tak poszło, rozumie pan, to znaczy, rozumiesz, Rafał, na raty – mówi – że najpierw zabrali jedną połowę, a potem zabiorą nas.

Kucam przy niej i biorę jej dłoń w swoją. Tę piękną, drobną dłoń z różowitkami jak dupcia świniaczka tipsami. Tyle razy wyobrażałem sobie tę dłoń na moim kutasie. Mój Boże, tyle razy.

– Nie, Anetko – mówię jej – na pewno tak nie będzie.

– Obiecuje mi pan? – pyta.

– Obiecuje – kiwam głową – Obiecuje.

Te cyce są dziesięć centymetrów od mojego nosa. Dziesięć centymetrów. No, może dwadzieścia. Boże przenajświętszy, przecież ja zaraz zładuję się w spodnie, po raz pierwszy od czternastego roku życia.

– Więc gdzie mogę się położyć? – pyta, i zaczyna to robić. Przysięgam, że zaczyna to robić. Sama. Zakłada trochę nogę na nogę, tak trochę, wystawia do mnie udo. Rozkłada ręce. Patrzy na mnie. Już nie płacze. Trochę ściekł jej makijaż, ale tylko trochę. Przysięgam, że zaczyna to robić. Zaczyna mi to proponować. Możecie mi wierzyć albo nie, ale ona właśnie to robi. Jej usta jeszcze tego nie powiedziały, ale jej ciało, jej ręce, jej nogi mówią „Połóżmy się razem. Zróbmy to. Jakby nie patrzeć, ze świata zniknęły trzy miliardy ludzi, w tym moi rodzice. Potrzebuję pomocy, proszę. Potrzebuję, aby ktoś mnie przytulił. Przytul mnie, Rafał”.



– Tutaj? – pokazuje palcem kanapę.

Nie, są lepsze miejsca w tym domu, uwierz mi. Jest bardzo wygodne łóżko w sypialni, na piętrze. Znakomity materac, wydałem na niego kupę forsy i przyznam, że jeszcze wtedy, parę lat temu, gdy jechałem do meblowego z Marzeną, nie wiedziałem, po jaką cholere to robię. Marzena mówiła coś, że ona na deskach spać nie będzie. Że stać nas – czyli mnie – na to, aby dobrze się wysypiać. Jak ma, tak ma. To wspaniały, sprężynujący materac. Teraz widzę cię, Anetko, i już wiem, czemu wydałem na to łóżko dwie średnie krajowe.

Wielokrotnie, w tym łóżku, tańczyłaś mi przed oczyma. Moje ręce w powietrzu zdejmowały twój stanik. Miętosiłły cycki. Wkładały ci rękę między nogi. Moja bogini. Anetka. Głaskałem ci cipkę, a ty robiłaś te wszystkie słodkie minki, takie, które znalazłem na twoim profilu na Fotka.pl, zupełnie przypadkiem. Boże, co to był za moment. Zaschło mi w gardle, momentalnie wskoczył mi stan podgorączkowy, przysięgam. To było prawie jak wtedy, gdy po raz pierwszy rozebrała się przede mną dziewczyna, miałem jakieś siedemnaście lat, na osiemnastce u kumpla, ten kumpel miał ksywę Jajo, pamiętam, i niespecjalnie go lubiłem, bo strasznie żydził kasę, a do tego miał motor Yamaha i nikomu nie dawał nim jeździć, nie pamiętam za to specjalnie tej dziewczyny, pamiętam, że miała małe cycki, pamiętam, że wypłem przedtem pięć piw, chyba Żywiec, chyba, pamiętam, że mało z tego pamiętam i cały czas bałem się, czy w trakcie nie puszczę pawia, zresztą nieważne, to było prawie jak wtedy. Prawie, podkreślam. Zupełnie przypadkiem, szukając różnych dziewczyn do zwalania sobie gruchy – i przestańcie mnie oceniać, bo również walcie sobie gruchę do zdjęć różnych małolatek w internecie, robiących sobie głupie zdjęcia trzymanym z góry telefonem, tak żeby było widać cycki i żeby twarz była wyglądniejsza – znalazłem twój profil, Anetka, twoje zdjęcia, z psem, z kotem, z rodzicami, ale też sama ty w pokoju, w bieliźnie, robiąca usta w ciup, z pluszakami, ze zdjęciem koleżanki w ramce w kształcie serca, w objęciach jakiegoś młodego muskularnego dupka na pomoście nad jakimś jeziorem, z plakatem Brada Pitta, znalazłem te zdjęcia i nie zapomnę tego wieczoru do końca życia.

A teraz tu jesteś. A teraz chcesz tego. Serce zaraz wypadnie mi z klatki piersiowej. Chyba powinienem włączyć z powrotem telewizor, aby przestać o tym myśleć, chociaż na króciutką chwilę. Rozproszyć się czymś.

– Coś ci jest? – pyta.

– Nie, kanapa jest OK – odpowiadam – ale łóżko na górze jest trochę wygodniejsze. W sypialni, w sensie.

Przysięgam, że rozdwoja mi się w oczach. Wstaję i podchodzę do barku nalać sobie jeszcze kielicha. Powoli. Powoli. I coś mi się przypomina. Młody muskularny dupek.

– Nie wiem, czy powinnam... Pan, to znaczy Rafał... to łóżko, w którym... – mówi, a jej słodki głosik i jej słodki mózdzek nie są w stanie dopowiedzieć żadnego z tych zdań do końca. Nalewam sobie łychy prawie po brzeg.

– A twój chłopak? – odwracam się.

– Co mój chłopak? – pyta zdziwiona.

– Czy on... Zniknął... – pytam, i kończę zdanie potężnym łykiem.

– A skąd wiesz, że mam chłopaka? – pyta, patrząc na mnie, jakby z szyi wyrosła mi nagle druga głowa.

– Trudno, żeby taka dziewczyna jak ty go nie miała – mówię, i od razu chcę dodać, dziewczyna z takimi cycuszkami, dupcią, kolcami biodrowymi tylnymi górnymi.

– Nie wiem, nie wiem... nie myślałam o nim... zerwałam z nim miesiąc temu... no właśnie, co z Sebastianem... – i znowu zaczyna ryczeć, i ściska te swoje przepiękne balony ramionami, tak że znowu są na granicy eksplozji, te dwie piękne, przepiękne, najpiękniejsze brązowe miękkie ogromne kule, i wtedy to się dzieje, nie mogę się powstrzymać, to straszne, ale właśnie, w tym momencie, na ten widok, czuję, jak po moim lewym udzie i po bokserkach rozlewa się seria ciepłych strzyknięć, raz, dwa, trzy, cztery, kurwa, robię się cały czerwony i opieram się o barek i gdy ona kończy beczeć, otwiera oczy i pyta:

– Czy wszystko w porządku?

A mnie pozostaje tylko kiwnąć głową i powiedzieć:

– Tak. Wszystko w porządku. Wszystko OK. Kanapa jest OK. Połóż się na kanapie.

Więc, Anetka jest tu dalej. Minęły trzy dni.

Telewizja cały czas mówi nam nowe rzeczy. Anetka nie ma gdzie iść. Mówi, że nie ma gdzie iść, a ja po pierwsze jej wierzę, a po drugie, nie chcę, aby gdziekolwiek szła. Czemu ma mnie zostawiać. Gdzie ma iść. Jestem przy niej, bardziej niż kiedykolwiek byłem przy kimkolwiek innym. Jestem cały jej i tylko dla niej. Ona robi mi śniadania i obiady. Prasuje, gotuje, sprząta, takie tam. Opiekuje się mną. Współczuje mi. Wydaje jej się, że strasznie cierpię, że jestem rozbity jak rozbity talerz, że Marzena zniknęła, że jej nie ma, że ci wszyscy ludzie, że wszystko legło w gruzach. Staram się, aby myślała tak dalej. Przedwczoraj, gdy jedliśmy obiad – zrobiła sznycle, smakowały jak kapeć starej baby, no ale jak dla mnie, to ona może mnie karmić karmą dla chomików – rozplakałem się. Była przekonana oczywiście, że to z powodu Marzeny. Podeszła do mnie i mnie objęła. Gdy poczułem, jak te piękne cyce przyciskają się do mnie swoim boskim ciepłem, rozplaszczają się o mój mostek, wybuchłem jeszcze większym płaczem. Bo płakałem jak dziecko, płakałem ze szczęścia, że ona tu jest, i płakałem z żalu, wyłem jak to zwierzę leśne we wnyki złapane, że jeszcze nie mogę, jeszcze nie mogę jej wydymać, wygrzmocić, przepraszam, kochać się z nią, kochać się z tym aniołkiem moim.

Jeżdżę do sklepu, który wciąż działa, chociaż wszyscy non stop w nim płaczą, sklepowa i dziewczyna, która została, i wszyscy mówią, że zaraz przyjadą tu rządowi i zabiorą nas w inne miejsce. Że został ogłoszony jakiś globalny stan wyjątkowy. Terefere. W dupie to mam. Z firmy Zniknęło mi dwóch magazynierów i sekretarka, ta sekretarka to jakaś idiotka kompletna, kazałem jej odkurzyć raz biuro, to mówiła, że się jej paznokcie połamią. Jak dostałem raz billingi telefonu, ile ona dzwoni z roboty, najpewniej po koleżankach i do mamusi, że jej źle ondulację położyli, to o mało co zemdlałem. Wziąłem ją na dywanik i powiedziałem, że leci jej to z pensji. Płakała, klękała przede mną. Zdjąłem jej połowę. Teraz jej nie ma. I dobrze. Jest zastój w interesie, ale mówię, wszystko wróci do normy. Trzy miliardy ludzi zniknęło, ale zostały trzy miliardy i nie ma bóla, żeby z tych trzech miliardów nikt nie potrzebował dobrej, mosiężnej klamki do drzwi.

Moja matka wydzwaniała do mnie co drugi dzień, że się boi. Że jest bardzo przestraszona. Że musi do mnie w tym momencie przyjechać i siedzieć mi na dupie, „dopóki sytuacja się nie unormuje”. A takiego. Będziesz mi tu węszyć. Mi i Anetce. Nie ma mowy, stara ropo. Ja już się z tobą w życiu nasiedziałem. Dwadzieścia cztery lata, dopóki nie poznałem Marzenki i nie wzięliśmy kredytu na to dwupokojowe mieszkanie, co zresztą szybko poszło, bo w pewnym momencie te klamki zaczęły iść jak złoto i mogłem spokojnie postawić sobie chałupę.

Zresztą, pies im wszystkim mordę lizał.

Mi kutas po prostu wybija zęby. Anetka chodzi po mieszkaniu w samych szortach. Ostatnio w tych szortach robiła dla nas pierogi, wyszły beznadziejnie, w życiu gorszych nie jadłem, ale jak kręciła tym tyłeczkiem przy lepieniu, matko jedyna, jak dla mnie to ona mogłaby mnie żwirem i ziemią karmić, zresztą mówiłem już o tym. Nie wiem jeszcze, jak się do niej dobrać. Trochę telewizji razem oglądaliśmy, ale przestaliśmy, bo tam w kółko gadają tylko o tym Zniknięciu. Premier Izraela, prezydent USA, ten Murzyn Obama, premier Polski nie gada, bo zniknął, gada pełniący obowiązki, ten Schetyna cały się załapał, w mordę bity pastuch i złodziej, i karierowicz jeden, jak oni wszyscy, ten też na pewno nie narzeka, że to całe Zniknięcie miało miejsce. Więc oglądamy filmy, mam tego trochę na DVD, i z gazet, i kupione, głównie komedie romantyczne, Anetka lubi też ten serial „Seks w wielkim mieście”, to trochę oglądamy, ale ja nie mogę tego oglądać, co za bzdura, to niby jest serial o życiu, cztery stare i zaschłe ropy jedną nogą w trumnie, mumie jebane, a sami najlepsi modele je posuwają – ludzie, kto wymyśla takie bzdury, ja się pytam?

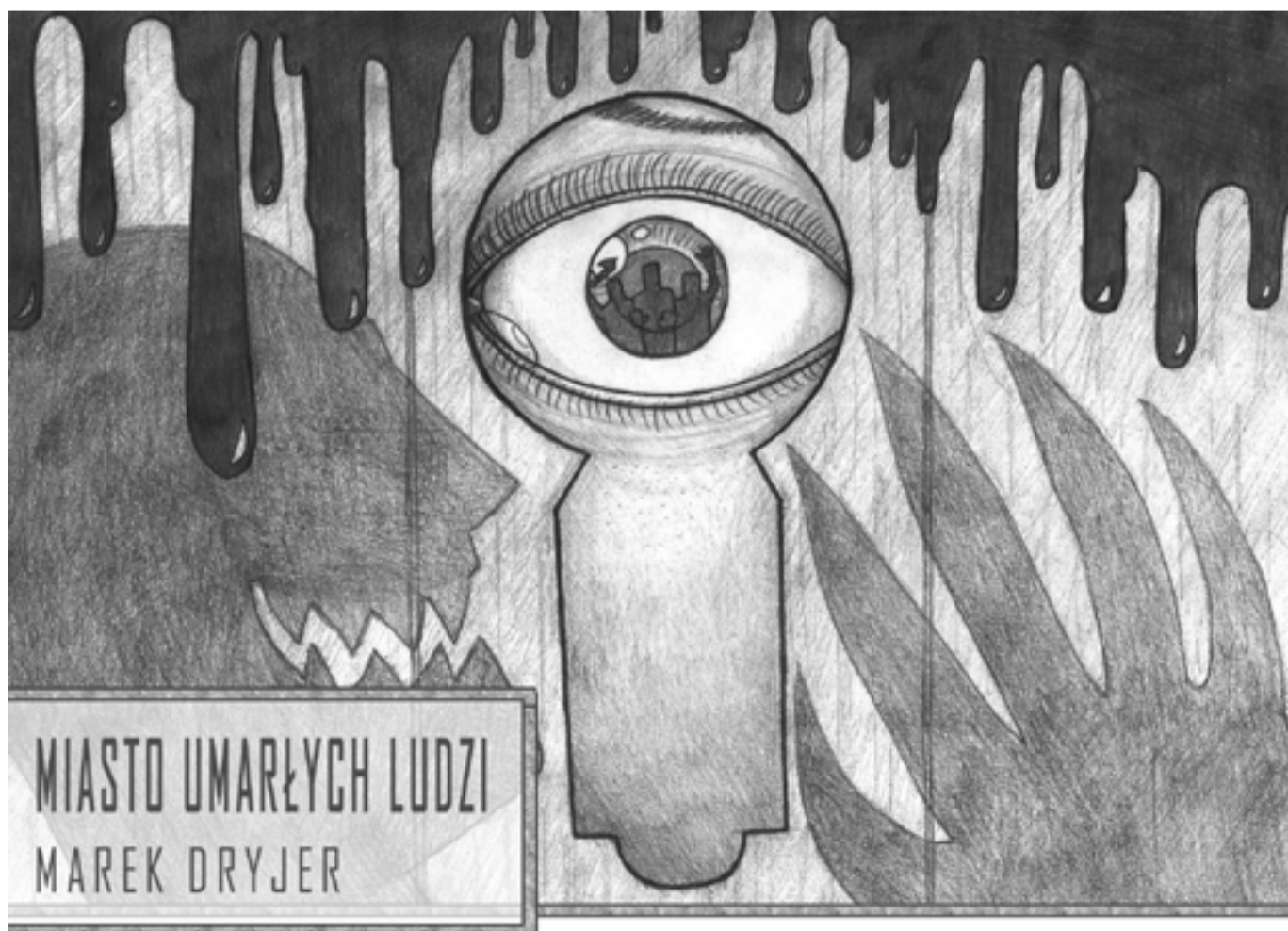
Najgorsze jest to, że nie mogę się do niej dobrać. Coś tam już szemram, ale ona cały czas się odsuwa. Bardziej sobie wkręciła, że jestem dla niej jak jakiś wujek. Cały czas muszę ją poprawiać, żeby nie mówiła do mnie „proszę pana”. Czasem tu ją trochę obejmę, tu rączkę położę na ramionku, jak oglądamy ten telewizor, trochę na kolanku, ale ona się od razu odsuwa, a ja nie mogę być taki natarczywy, bo zaraz mi tu umknie, zwieje gdzieś, no ale nie mogę, muszę to w końcu zrobić. Mówię jej, że jest piękna. Że włosy ma piękne, i wszystko ma piękne, ciało, nogi, wszystko ma takie wspaniałe, ale ona wcale nie słucha. Mówi, że jest gruba jak bela, że musi schudnąć piętnaście kilo i że już blada się robi, dzwoniła, aby sprawdzić, czy solarium otwarte, ale nikt nie odebrał. I że odrosty jej się robią już, że musi iść do fryzjera. Powiedziałem, że ją zabiorę niedługo. Za parę dni. Jak wszystko wróci do normy. Ja tam nie wiem. Dla mnie to ona może być nawet zielona. Wczoraj nie wytrzymałem i podejrzałem ją, jak się przebiera. Po raz pierwszy, z tyłu, zobaczyłem ją na golasa. Boże jedyny. Myślałem, że się na nią rzucę, chwycę za włosy, zacznę ścisnąć, macać, łapać, ślinić to wszystko, lizać, całować, ścisnąć, myślałem, że ją zjem, ale tak kucałem i patrzyłem przez szparę w drzwiach, jak stoi na golasa i zastanawia się, który swój fach założyć, nie wiadomo na jaką okazję, bo przecież siedzimy tylko razem w domu i najlepiej by było, gdyby się po prostu rozebrała, i patrzyłem, i gryzłem się w dłoń, z całej siły, aż krew mi poszła.

Nawet nie wiecie, co to za tortury. Nie macie zielonego pojęcia.

Miasto umarłych ludzi

1

Nie śpię już od dłuższego czasu. Leżąc z zamkniętymi oczami pod grubą kołdrą, próbuję sobie przypomnieć wczorajszy dzień. Nie potrafię. Przed oczami mam białą plamę, a w głowie panuje pustka. Jest cicho. Poza tykaniem zegara niczego nie słyszę. Próbuję uspokoić oddech, który ciągle przyspiesza. Instynktownie wyczuwam, że dzieje się coś niedobrego. W końcu otwieram oczy. Widzę szary sufit i zwisające z niego pajęczyny. Podnoszę się z łóżka, które nieprzyjemnie skrzypi. W pokoju panuje półmrok. Rozglądam się na boki, wszędzie zalega kurz. Podchodzę do okna i wyglądam na podwórze. Jest wysoko, kręci mi się w głowie. Pada śnieg, jego białe płatki delikatnie opadają na ziemię. Pokrywając podłoże, tworzą równą płaszczyznę. Jest zimno, temperatura spadła poniżej zera. Osroniony termometr ledwo trzyma się trzeszczącej framugi. Nikogo nie ma na dole, żadnych śladów na śniegu. W mieszkaniu jestem sama, nie działa światło. W kuchni szukam wody i jedzenia. Kiedy otworzyłam lodówkę, smród wydobywający się stamtąd o mało mnie nie przewrócił. Zamknęłam ją natychmiast. W szafkach odnalazłam trochę suchego makaronu, zawilgoconego cukru i starej mąki, z której wychodziły robaki. W chlebaku leżał czerstwy chleb, dostrzegłam na nim nitki pleśni. W ekspresie była kawa, jej kwaśno-gorzki smak od razu mnie odrzucił. Odstawiłam naczynie, kładąc je na blacie. Po ścianach biegają duże karaczany, jest ich wiele. Wychodząc stamtąd, spoglądam pod nogi. Sprawdzam telefon stacjonarny, ten milczy jak zaklęty. Komórki nie mogę odnaleźć. Korzystam po cimku z toalety, w kranie nie ma wody. Jest mi bardzo zimno. Odnalazłam w szafie ciepłe ubranie, które założyłam. W szafce na buty były kozaki. W małym pokoju stało na biurku kilka plastikowych butelek z wodą. Kiedy odkręciłam zakrętkę, gaz od razu się ulotnił. Napiłam się i było to przyjemne doznanie. Znalazłam pudełko batonów w czekoladzie i woreczek orzechów włoskich. Posiliłam się nimi, siedząc w wygodnym fotelu. Głaskałam przy tym delikatnie brzuch. Jestem w ciąży. Bezskutecznie próbuję to sobie przypomnieć. Gdzie jest moja rodzina i dlaczego zostałam tu sama? Gdzie są inni, i co się w ogóle stało? Z nerwów boli mnie całe podbrzusze. Wstrzymuję oddech, próbując uspokoić nerwy. O dziwo – pomaga. Podchodzę do drzwi, które znajdują się na końcu ciemnego przedpokoju. Przykładam do nich ucho. Są chłodne, niczego nie słyszę. Spoglądam przez wizjer, korytarz jest pusty. Żadnego ruchu, tylko szarzejąca poświata zapadającego zmroku, pochłania ostatnie połamie wolnej przestrzeni. Przez dziurkę od klucza przenika do środka nieświeży zapach. Z zatkany nos wracam do pokoju. Następne godziny zleciały mi niczym krótka chwila. Próbowałam coś postanowić, ale nieskładne myśli nie potrafiły ułożyć się w żadną całość. Płacząc, ocierałam mankietem łzy. Położyłam się spać, okrywając dodatkowymi kocami. Wsunęłam głowę pod ciepłą kołdrę. Myśli nie zniknęły. Zapasy wody i jedzenia są marne, niebawem będą musiały wyjść na zewnątrz. Ogarnia mnie trwoga, przeszywają dreszcze. Z korytarza dobiegają straszliwe okrzyki. Skuliłam się, podciągając kolana aż do brody, po czym usnęłam...



2

Boję się wyjść na zewnątrz. Nie mogąc ustać w miejscu, kręcę się po mieszkaniu. Dokumenty, pieniądze i złoto schowałam do kieszeni. Co jeszcze? Woda – ostatnia butelka. Trochę jedzenia i ciepłe ubranie. Muszę wydostać się poza mury budynku, to jedyna szansa. Jeżeli zostanę, to zginę. Ono także. Ze szpikulcem do lodu w ręce i z tasakiem przy boku otwieram drzwi. Skrzypią delikatnie, jak nimi poruszam. Wszędzie panuje półmrok. Ledwo widzę rękę, kiedy wyciągam ją przed siebie. Ostrze dotyka ściany, drapie po niej. Stawiam pierwsze kroki. Nogi mi dygoczą przy każdym ruchu. Czuję zimny powiew powietrza na twarzy, którą osłaniam drugą ręką. Zapach gazu dociera do mnie po chwili. Siedem pięter w dół po krętych schodach. Dwie klatki schodowe i nieczynna winda, z której szybu dobiegają odgłosy głuche stukania. Siedem mieszkań na każdej kondygnacji. Mijam pierwsze z nich, dotykając drzwi, które są zamurowane. Przykładam do nich ucho. Cisza. Po chwili słyszę ludzki głos, który coś niezrozumiale oznajmia. Nie rozumiem co mówi. Chwilę potem milknie. Idę dalej, wsłuchując się w otoczenie. Widzę następne drzwi, tym razem wybite. Leżą połamane na środku przedpokoju. Wyłamana framuga i skruszony mur. Boję się tam zajrzeć, ale ciekawość zwycięża. Niczego nie widać, ciemność ogarnia wszystko. Zastłonięte rolety nie pozwalają zobaczyć zbyt wiele. Wszystko poprzewracane, żadnych ludzi, żadnego ruchu. Wracam na korytarz. Słyszę coś poniżej, jakby obcasy głośno stukały o podłogę. Rozglądam się na boki. Moje następne kroki są zwolnione. Kładę rękę na tasaku, ale zaraz ją cofam. Widzę światło przed sobą, jakby ktoś świecił latarką po ścianach. Zbliżam się tam, mijam kolejne drzwi, które są zamknięte. Poprawiam włosy, które zsunęły mi się na czoło. Wycieram pot z twarzy. Fikuśne, świetlne zajączki rozciągając się, skaczą po ciemnych ścianach. Dzieli nas od siebie zaledwie kilka kroków, wtedy znikają. Zatrzymuję się, wsłuchuję w ciszę, próbuję coś postanowić, ale nie potrafię. W strachu działam odruchowo, dominuje we mnie niezawodna intuicja. Dotykam plecami ściany. Jest zimna, wyczuwam to ręką. Obok otwarte drzwi, a w środku ktoś nieznanym. Coś trzeszczy i stuka. Czuję przeciąg, okno bez przerwy się chybocze. Słyszę zgrzytanie zębów. Zamieram. W kącie dostrzegam skulone sylwetki, które tulą się do chłodnego grzejnika. Oddychając, wypuszczam kłęby pary z ust. Jest zimno. Ktoś wychodzi z łazienki. Idzie pewnym krokiem w ich kierunku. Trzyma coś w dłoni, jakiś długi przedmiot. Przyklejam się do ściany. Gdybym mogła, to objęłabym ją całkowicie. Ani drgnę, obserwując. Słyszę ich i to, jak o coś proszą, kiedy się nad nimi pochyla. Bierze zamach, unosząc rękę... teraz wyraźnie widzę co w niej trzyma. Jest to długie ostrze. Chwilę potem odcina nim czyjąś głowę, a pozostałe postacie zaczynają krzyczeć. Zastłaniam uszy, nie mogąc tego znieść. Za wszelką cenę próbuję się stamtąd wydostać...

3

Liczę kroki. Jeszcze tylko kilka i będą schody, którymi zejść na dół. Chyba mnie nie usłyszał, jak uciekałam? Był zajęty zdobyczą, jak ją nazwał. Był głodny. Strach odebrał mi rozum. Chciałam na niego skoczyć, ale coś mnie przed tym powstrzymało. Miałam szczęście. Idę dalej. Słyszę dźwięk łuczonego szkła, który dobiega z dołu. Uderzenie ciężkim przedmiotem o drzwi. To chyba siekiera, bo towarzyszy temu specyficzny odgłos. Schodzę w dół. Jedenaście stopni, które prowadzą na półpiętro. Buty stukają coraz głośniej, będą musiała je zdjąć. Jestem na szóstym piętrze. Boso przemieszczam się po śliskim lastryko. Swąd spalenizny uderza w moje nozdrza, cofam głowę. Widzę spalone mieszkanie, którego środek wypełnia sterta popiołu. Nic nie ocalało. Następne mieszkanie jest zabite deskami. Grube gwoździe wystają na zewnątrz. Panuje cisza, którą zdecydowanie wolę. Hałas kojarzy mi się z zagrożeniem, boję się więc za każdym razem, gdy tylko coś usłyszę. Bicie zegara dobiega zza rogu. Ktoś tam stoi. Wpatruje się we mnie, a po chwili znika w mieszkaniu. Nie idę tam. Trzymając się barierki, docieram do schodów, którymi schodzę niżej. Za sobą słyszę jęki, a potem krzyki gwałconego człowieka. Myślałam, że była to kobieta, ale po głosie rozpoznałam mężczyznę, który bronił się przed napastnikiem. Błagał go o litość, przeraźliwie krzycząc. Tamten zasłonił mu usta. Ktoś leży na półpiętrze. Dostrzegam zaledwie sylwetkę. Zawracam, sprawdzając po drodze windę. Jest nieczynna. Wybieram drugą klatkę schodową. Wcześniej mijam trzy mieszkania, z których dochodzą straszne odgłosy. Do ostatniego ktoś próbuje mnie wciągnąć, ale się wyrwam, dźgając go szpikulcem. Zbiegam na piąte piętro. Na schodach upadam, a przewiązane przez pasek za sznurowadła buty, uderzają mnie po głowie. Szpikulce potoczyły się po podłodze. Próbuję wstać, ale płaczą mi się nogi. Po omacku szukam tasaka, który dźwięcznie uderzył o metalową balustradę. Na szczęście nie spadł na dół. Słyszę kroki u góry, ktoś się do mnie zbliża. Szybko się porusza i mocno stąpa. Jest chyba silny. Podnoszę się z kolan i z bronią w ręku staję na baczność. Widzę jego ogromną postać, grube nadgarstki i duże pięści. Uciekam, ale on jest już za mną. Odwracam się i bez zastanowienia uderzam go szpikulcem, który zagłębia się w jego ciele niczym w maśle. Odepchnął mnie, o mało nie upadłam. Traci oddech, pochyla się, wreszcie pada. Pluje krwią, chwilę później umiera. Zapada cisza. Serce mi wali, próbuję uspokoić oddech. Wciągam powietrze i wstrzymuję je w płucach, pomaga to pozbyć się czkawki. Duszę się, ale staram się nie kaśkać. Widzę kolejne piętro. Idę po nim wzdłuż długiej i chropowatej ściany, trzymając w dłoni zakrwawiony przedmiot...

4

Dookoła tylko ciemność. Jasne błyski dostrzegam dopiero przy schodach, które prowadzą na piętro poniżej. Słyszę czyjeś głosy, jakiś chichot. Odchodzę od poręczy, zagłębiając się w mrocznej poświacie, która coraz bardziej przygasa. Mijam kolejne mieszkania, wszystkie są pozamykane. Naciskam na klamki, bez rezultatu. Stąpam powoli po śliskim podłożu. Coś leży pod moimi nogami. Sprawdzam stopą, to chyba człowiek. Omijam go. Obok drugi i kolejny. Martwe ciała zalegają na piętrze. Podpieram się o ścianę, próbując się nie przewrócić. Czuję fetor rozkładających się zwłok. Nie mogę zasłonić nosa, ani ust. Duszę się. Kolejne drzwi, tym razem otwarte. Za-

glądam do mieszkania, nic nie widzę. Boję się tam wejść, nie wiem co zrobić. Wchodzę do środka, omijając wysoki próg. Przede mną przedpokój, taki sam jak mój. Czuję pod rękami wieszak na kurtki i szafkę na obuwie. Idę dalej. Każdy krok jest dokładnie wyważony. Garderoba naprzeciw i włącznik światła, który nie działa. Jakies miski, a w nich śmierdząca ciecz. Dalej stół z poprzewracanymi krzesłami, staram się nie hałasować. Ciemność oblepia mi oczy. Próbuję coś zobaczyć, ale nadaremnie. Wreszcie je zamykam, lepiej teraz słyszę. Każdy szmer jest doskonale słyszany. Panuje spokój. Dudniąca w moich uszach głucha cisza, uspokaja mnie. Kucam w kącie pod oknem i przysypiam. Cisza jest teraz wszystkim, drąży moje ciało od środka. Jest mi bliska. Ktoś nadchodzi. Słyszę kroki na klatce. Wiele nóg nierówno uderza o twarde podłogę. Otwierają się drzwi. To niemożliwe, myślę. Wbrew własnej woli, podrywam się do góry. Macam po ścianach w poszukiwaniu schronienia. Odnajduję szafę, do której po cichu się wślizguję. Wstrzymuję oddech. Serce mi łomocze, nie mogę złapać tchu. Wyczuwam zagrożenie. Zastaniam dłonią usta i nos, wyczuwając zapach krwi. Podglądam przez dziurkę od klucza. Dostrzegam czterech mężczyzn, którzy świecą latarkami po ścianach i podłodze. Ich zdeformowane ciała odstrasza już na pierwszy rzut oka. Ciągną za włosy zakneblowaną kobietę, która próbuje się uwolnić. W jej oczach dostrzegam strach. Wszyscy mają upiorne twarze i krwawią z wielu ran. Zwisająca z czoła skóra opada na oczy. Napuchnięte usta, połamane zęby i pomarszczone dłonie nie pozwalają oderwać od nich oczu. Boję się ich, są odrażający. Kładą dziewczynę na masywnym stole i rozbierają do naga. Po kolei gwałcą. Na koniec rozpruwają brzuch, wydobywając ze środka nienarodzone jeszcze dziecko. Smarują się jej wnętrznościami. Żywcem pożerają maleństwo. Zamykam oczy, próbując oszukać wzrok. Uszu już nie jestem w stanie wyłączyć...

5

Mdli mnie na samą myśl o tym, co mogę zaraz zobaczyć. Przełamuję się jednak i otwieram powieki. Nie widać już nocnych potworów, zniknęły bez śladu. Ich połyskujące w nocy ślepie odeszły w niepamięć. Zniknęło też ciało obdartej ze skóry kobiety. Uchylam drzwi od szafy. Wsłuchując się w otoczenie, wychodzę na zewnątrz. Z łazienki dobiegają niskie głosy, które rozpoznaję. Idę w tamtym kierunku, delikatnie i bez hałasu. Skradam się na palcach, a zwisające przy boku buty, lekko uderzają o zdrętwiałe udo. Zbliżam się do nich, trzymając w ręku butelkę z benzyną. Wyciągam z kieszeni zapalniczki, nasączam szmatkę w łatwopalnym płynie. Następuje chwila ciszy. Przekręcam klucz w zamku, który nierozważnie zostawili. Ciemność rozjaśnia maleńkie światło, które roznieca potem piekielny ogień. Rzucam palącą się pochodnię na drzwi od łazienki. Wybuch straszliwy pożar. Mieszkanie rozjaśnia się niczym w samo południe, kiedy słońce dociera do wszystkich szczelin i zakamarków. Widzę straszliwe sceny. Jakby zapaliło się nagle światło. Żałuję, że nie jestem niewidoma. Widzę zmasakrowane ciała kobiet i dzieci, które zalegają w różnych pozach i w przeróżnych miejscach. Jest ich wiele i wszystkie są oskalpowane. Morze zastygłej na ścianach i na podłodze krwi, a oni krzyczą i piszczą, nie mogąc się stamtąd wydostać... Palą się skurwiele, jak się patrzy. Zasłużyli sobie na to. Dygocząc ze strachu, wychodzę na zewnątrz. Uciekam, pozostawiając daleko w tyle dogasające pogorzeliwo. Wtapiam się w mglistą otchłań szarzejącego mroku. Potykam się i przewracam o leżące na ziemi ciała. Dotykam ich, a one mnie, choć nie mogą się poruszyć. Strach rozsada mi czaszkę, pulsują skronie. Pragnę już tylko jednego. Chcę śmierci. W oddali widzę rozczapierzone światło, które faluje na boki. Biegnę w jego kierunku, już widać schody. Są. Tuzin w dół i za zakrętem następny tuzin, który prowadzi wprost na czwarte piętro. Ile jeszcze? Już tak dalej nie mogę, myśląc, głaszcząc wystający brzuch. Próbuję je wyczuć i usłyszeć. To, jak kopie i jak się porusza, nieświadome niczego. Gdybym wiedziała, co je czeka, to nigdy bym go nie poczęła. Boję się o nie, bo jest mi najbliższe. Ściany mieniają się od falującego w pobliżu światła. Dostrzegam nieduże ognisko, dookoła którego siedzą w kucki, pochyleni mężczyźni. Jest ich dwóch. Po chwili unoszą głowy, ukazując swoje ślepe odbicie. Ich oczy wydają się być białe, jakby mieli bielmo na oku. Drżą w modlitewnym odruchu. Mają ładne twarze, czyste i nieskażone zarazą. Przyglądam się im. Kim są, bo różnią się od poprzedników, jak dzień od nocy? Słyszę ich głosy i słowa, które hipnotycznie wypowiadają. Odpuść nam nasze winy, powtarzają bez końca... Zakładam buty na mokre i obolałe stopy. Czuję ucisk, drobne obtarcia pojawiają się po chwili. Stąpając, krzywię się z bólu. Nie boję się, podchodząc do nich. Instynktownie wyczuwam ciepło, które od nich płynie. Uśmiechają się do mnie, ale przecież mnie nie widzą. Jak zatem to robią? Rozglądam się na boki. Strach po chwili znika ostatecznie...

6

Wyczuwają moją obecność, dając mi to do zrozumienia. Podchodzę bliżej, dotykając otynkowanych ścian i metalowych poręczy, które są zimne. Puszczam je i sunę obolałą dłonią po obdrapaną ścianie. Staję przed nimi. Milczymy. Nie śmiem się pierwsza odezwać. Wyczuwam niepokój, który różni się od zwykłego strachu. Jest podszyty niepewnością, daje za to nadzieję i pozwala mi wierzyć. Nie mam przecież wyboru. Los zdecydował za mnie już dawno temu. A może jednak się mylę? Ludzie mieli swoje szanse, które zmarnowali. Ostatnia pomyłka miała ich kosztować wiele, może nawet wszystko. Zapraszają mnie do siebie, chcą żebym usiadła obok. Grzecznie odmawiam. Są nachalni, nie ustępują. Kuszą i obiecują. Kiedy pytam o nich, zmieniają temat, nie odpowiadając na zadane pytanie. Złoszczę się, że mnie zbywają. Dopytuję o to, co nas otacza. O dziś i jutro. Z niechęcią coś bąkają pod nosem, o rzekomej zarazie, która nadejść miała z północy. O radioaktywnej chmurze i o szczepieniach na odporność, które deformowały mężczyzn. Większość z nich szybko umarła, pozostali zmieniali się fizycznie i psychicznie. Atakowali niezainfekowane kobiety. Cześć z nich została okrutnie zamordowana, reszta przetrzymywana jest w odosobnieniu. Nie bój się, mówią mi. Nie idź tymi schodami, wskazują. Są zaminowane. Idź tamtymi, które są w głębi korytarza. One są bezpieczne, możesz nam zaufać. Pytam o wodę, dostaję sporą butelkę. Jest oryginalnie zakapslowana, chyba zatem bezpieczna. Dziękuję i ruszam dalej. Uśmiechają się do mnie, ciągle wyznaczając kierunek. Kiedy odchodzi, zacierają ręce. Rozglądam się. Piętro jest czyste, jakby posprzątane. Ściany nie noszą oznak zniszczenia, a drzwi nie wskazują na

włamanie. Wszystkie są jednakowo żółte, a może to w blasku migoczącego światła sprawiają takie właśnie wrażenie? Na każdym wizytówka, którą czytam z niedowierzaniem. Magazyn, skład i kolejny, a potem jeszcze chłodnia... Co w nich jest? Boję się o tym myśleć. Coraz bardziej zagłębiam się w mroku, a napisy znikają. Słyszę swoje kroki, a głosy „strażników ognia” już dawno zanikły. Staję w miejscu. Wpatruję się w ciemność. Wydaje mi się, że widzę jej obszerne ramiona, którymi mnie obejmuje. Wyrwam się, ale nie mogę się uwolnić. Po chwili trauma znika. Słyszę jeszcze szelest i pomruk, które nie wróżą niczego dobrego. Zawracam. Słyszę z tyłu ciche gwizdy niezadowolenia. Zbliżam się do siedzących na ziemi mężczyzn. Nie mogę uwierzyć w to, że oślepiły ich te bestie, tylko z powodu zdrowego wyglądu. Sami to zrobili, żeby lepiej słyszeć. Siedzą w ciszy, chyba nie uda mi się ich ominąć? Są tuż obok. O zgrozo, wyczuli mnie... Poruszam się niczym w zwolnionym tempie, stąpając nierówno. Powłóczę nogami, ciągnąc jedną za drugą. Naśladowuję te cholerne stwory...

7

Schodzę w dół. Nie wiem jak mi się to udało. Stopień za stopniem. Dotykam ścian i barierki – są tak samo zimne, jak te wcześniejsze. Trochę mnie to uspokoiło. Łapię oddech, ocieram pot z twarzy. Jestem na półpiętrze i patrzę wzdłuż linii schodów. Nie widzę kolejnego piętra, ciemność zawładnęła wszystkim. Idę dalej. Panuje zimno. Kiedy dotykam barierki, to tak, jakbym wsadzała rękę do zamrażalnika. Piecze z bólu. Wsłuchuję się w ciszę. Siedem, sześć... jeszcze tylko trzy, a potem dwa i jeden, ostatni stopień. Nie stawiam na nim nogi, trzymając ją uniesioną w górze. Potem cofam ją do drugiej. Usztyniam się i naprężam. Intuicja podpowiada mi, że w tej mrocznej czerni czai się jakieś zło. Czekam. Mijają minuty, nic się nie dzieje. Może się pomyliłam? Schodzić, czy wracać do góry? Przecież tam nie ma już nic poza piekłem, które panoszy się bez umiaru. Zło, które zawsze było obok i teraz też jest, i będzie nadal... Bo zło z dobrem zbratane jest na zawsze, bo bez niego nie da się zrozumieć tego pierwszego. Podnoszę nogę, przesuwam i powoli opuszczam przed sobą. Wyczuwam linę, albo sznur. Nie, to chyba gruby łańcuch, taki jak na krowy. Po co jest tu zawieszony? Omijam go i dostawiam drugą nogę. Szuram delikatnie, badając grunt. Dwa metry dalej natrafiam na ostre i długie szpikulce, które postawione są na sztorc. Upadek na łańcuchu skutkowałby natychmiastową śmiercią. Próbuję odnaleźć schody w dół, ale wszystko jest zastawione. Poruszam się niezwykle ostrożnie. Jest coś, co to jest? Cholera, niech to wszyscy diabli... Pieprzona ciemność! Gwoździe, kto je tu wysypał? Kawałki ostrego szkła i dziury w lastriko, gdzie noga mogła ulec złamaniu. Przewróciłam się i poraniłam rękę, zagryzając do krwi język. Czuję ból i strach. Nie wiem co bardziej mnie przeraża... Tracę rozum... Chcę stąd uciec, ale nie potrafię. Przenikliwy chłód obejmuje mi skronie, na karku czuję swędzenie, które nie ustępuje. Drzę na myśl o tym, co będzie za chwilę. Czy będzie jednak coś jeszcze? Śmiem wątpić, bo na dobre ugrzęzłam w labiryncie okrucieństwa i zła. Nigdzie nie mogę natrafić na drzwi. Piętro bez mieszkań? Obok są drzwi od dźwigu, a za nimi winda. Spoglądam przez szybę i dostrzegam połyskujące ślepie. Boję się ich, bo wiem, że mnie widzą. Po chwili słyszę ich błagalne głosy. To... dzieci. Nie mogę im pomóc. Nie potrafię. Ostry drut kolczasty, rozciągnięty przez korytarz i zawieszony metr nad ziemią. Zwisające z sufitu zaostrome lance. Cudem udaje mi się przez to przebrnąć. To dzięki modlitwie. Bóg czuwał nade mną teraz i wcześniej. Są barierki i schody, którymi ruszam w dół. Przede mną drugie piętro...

8

Wyszło mi w ustach, ale boję się odkręcić butelkę, bo może to zdradzić moje położenie. Zsuwam się delikatnie wzdłuż poręczy. Ma gumową nasadkę, która tłumi wszelkie odgłosy. Boli mnie głowa. Dyszę, ale próbuję zapanować nad oddechem. Za wszelką cenę muszę go uspokoić. Od wielu godzin o to walczę. Setki, tysiące i miliony wdechów oraz setki tysięcy i miliony wydechów. Każdy tak samo ważny. Próbuje na dłużej zatrzymać powietrze w płucach. Czuję ból w klatce piersiowej, który narasta z każdą chwilą. Cierpię. Wspomnienia pojawiają się fragmentami i znikają. Nie potrafię poskładać ich w sensowną całość. Widzę dziecko, które je lody z rodzicami. Jest szczęśliwe. To chyba ja. Jakiś mężczyzna mnie zaczepia, uśmiecha się i odchodzi. Inny obraz. Ten sam człowiek wiele lat później, prowadzi mnie do ołtarza. Potem wszystko znika. Cisza ogarnia moje zmysły. Jest inna niż dotąd. Kiedyś bym ich nie rozróżniła, ale teraz jest inaczej. Nauczyłam się widzieć w ciemności i rozróżniać ciszę – tak mi się przynajmniej wydaje. Co ze mną będzie? Martwię się o dziecko, o siebie także. Musimy stąd wyjść. Dokąd wtedy pójdziemy? Noga w dół, potem druga za nią i tak bez końca od wielu godzin. Pot i łzy, a z drugiej strony cisza, zimno i przeraźliwy strach. Czuję je, są blisko... Zostały na górze, nie dopadły mnie. Wygrałam z nimi. Mijam półpiętro i zsyp, którego drzwi lekko się kołyszają. Na szczęście nikogo tam nie ma. Tym razem już bym nie zdążyła. Za szybko straciłam czujność, jak mogłam? Połamany parapet, obdarte ściany, powyginany kaloryfer, którego żebra przenikały zimnem, kiedy ich dotykałam. Wysmarowane lepką cieczą pręty od balustrad. Czyjeś ciało pod nogami. Nieduże. Boję się sprawdzić, czy kompletne. Nie oddycha, tak mi się wydaje. Znowu schody, które prowadzą donikąd, tak jak myślałam. Krwawią mi dłonie, pęcherze pękają na stopach. Mam ochotę usiąść i już nie wstać. Wsłuchuję się w otoczenie, panuje spokój. Nucę w myślach jakąś melodię, jest piękna i mnie uspokaja. Zapominam na chwilę o problemach... Jestem już na drugim piętrze. Nawet nie wiem, kiedy się na nim znalazłam. Sprawdzam butami podłogę i rękami ściany. Robię to niezwykle ostrożnie, obawiając się najgorszego. Nic złego jednak się nie dzieje, nie rozumiem już niczego. Gubię się w domysłach, szlag by to trafił! O co tu chodzi? Echo powraca, a wraz z nim dziwne odgłosy, które powodują u mnie gęsią skórę. Oczy szeroko się otwierają, a uszy wyczułają na najdrobniejszy choćby szelest. Cała drzę ze strachu...

9

Słyszę chrapanie. Jest głośne niczym odgłos ryczącego niedźwiedzia. Rozchodzi się po całym pięttrze, pokrywa z innymi o podobnym tonie. Nakładają się na siebie wzajemnie. Po chwili dochodzą kolejne, jakby śpiąca wataha wilków budziła się do życia. Zamieram. Przyłgnęłam do ściany, wtulając się w nią niczym w matczyne ramiona. Różni się od nich tym, że jest zimna. Dokoła panuje ciemność, boję się ruszyć. Ktoś wychodzi z jednej z sypialń, jak je nazwałam. To opuszczone mieszkania. Powłóczy nogami, po chwili znika wewnątrz następnej. Chyba mnie nie widział? Kolejne sekundy, to katorca dla mojego umęczonego umysłu. Setka pytań i zero odpowiedzi. Lęk przed nieznanym i strach przed nieuniknionym. Znowu ktoś tu idzie. Tym razem zwinnie się porusza. Robi to niczym kot. Słyszę szelest otwieranych drzwi i za moment podobny dźwięk, kiedy zamykają się inne. Nie ruszam się spod ściany. Macam po niej ręką, coś wyczuwając. Jest podłużne i ma ramiona. Zrobione jest z drewna, z przymocowanym metalowym odlewem. W dotyku przypomina krzyż. Znowu coś słyszę. Sunie po podłodze, omijając mnie dosłownie o centymetry. Wstrzymuję oddech, a kilka sekund później znowu zapada grobowa cisza. Ile tym razem potrwa? Mijają minuty. Kucam i opieram się plecami o cienką ścianę, za którą śpią te potwory. Wydaje mi się wtedy, że jestem jednym z nich. Zасыpiam ze zmęczenia. We śnie ciągle spadam. Lecę, nie mogąc się zatrzymać. Ktoś próbuje mnie złapać, wyciągając w moim kierunku potężne, owłosione łapy. Widzę jego paskudny pysk i ostre kły, które wyszczerzył. Pojawiają się następne stworzenia. Jest ich wiele. To jak czarna studnia bez dna, w której topią się ludzkie smutki. Nie mogę się bronić, nie potrafię krzyczeć, ani uciec... Czuję, jak rozrywają moje ciało grubymi pazurami, które są jak szpony orła. Budzę się, złana zimnym potem. Otwieram załzawione oczy. Widzę delikatne światło, które wpadając z dołu, lekko rozjaśnia piętro. Dostrzegam kolorowe rysunki na ścianach, zrobione chyba przez dzieci. Bohomazy, esy floresy, które je zdobią. Przyglądam się im w milczeniu. To nie dzieci namalowały, o zgrozo. Zerkam na schody, które prowadzą w dół. Są kilka metrów dalej, próbuję ich dosięgnąć. Muszę się w sobie zebrać, ze wszystkich sił pragnę wstać. Otwierają się drzwi ostatniego z mieszkań na pięttrze... Coś się stamtąd wytacza. Docierają do mnie odgłosy pękających kości. Serce podchodzi mi do gardła. Widzę, jak sunie wzdłuż przeciwległej ściany. Jest ogromne i obrośnięte gęstym futrem. Między koślawymi nogami kołysze się potężne przyrodzenie. Wzdrygam się z bólu i obrzydzenia, kiedy mnie mija...

10

Odliczam do trzynastu i otwieram oczy. Lubię trzynastkę, zawsze przynosiła mi szczęście. Nikogo nie ma w pobliżu, odgłosy zniknęły. Słyszę tykanie zegara, które dobiega z dołu. Wychylam głowę i zerkam na półpiętro – niczego poza delikatnym światłem tam nie widać. Łapię się powyginanej barierki i schodzę po wąskich schodach. Odwracam się raz jeszcze, poruszona straszliwym dźwiękiem, który mnie ogłuszył. To było jak przeciągnięcie żelazem po szkło. Wstrzymuję oddech i czekam. Fałszywy alarm – dociera do mnie po chwili. Idę więc niżej. Jest coraz jaśniej, wschodzące słońce wpuszcza do bramy jasne światło. Dostrzegam wreszcie siebie. Jestem poraniona i brudna. Przetrawiałam noc – ta myśl dodaje mi otuchy. Uskrzydła, w marszu do granic piekła. Następny krok jest jeszcze trudniejszy. Widzę dokładnie pierwsze piętro. Opieram się o ścianę, odpoczywam i rozmyślam. Czy mi się uda, czy stąd wyjdę? Mijam piętro i zakręcając, wolno schodzę prosto na przedostatnią platformę. Nikogo tam nie ma. Panuje cisza, która miesza się z odgłosami ptaków, dobiegającymi z zewnątrz. Dostrzegam już nawet parter. Wyjście z tej mrocznej bramy jest na wyciągnięcie ręki. Jeszcze jeden krok i osiągnę pierwsze piętro, nareszcie...udało się. Widzę białe-szare lastriki i zielone drzwi od mieszkań. Wszystkie są zamknięte. Uważnie się przemieszczam, wyczuwając jeszcze zagrożenie. To nie może być koniec, myślę. Robi mi się gorąco. Noga za nogą, but za butem, byle w stronę ostatnich już schodów. Druga klatka schodowa jest zamurowana, to jednak była pułapka. Uśmiecham się, choć nie jest mi wesoło. Udało się, głośno myślę. Dotykam dłonią poręczy i słyszę za sobą... To jeszcze nie koniec, siostró. Zakłuło mnie w sercu. Pochylona, odwracam głowę i widzę kroczącą w moją stronę krępą sylwetkę. Obok wisi lustro, w którym dostrzegam swoje zniekształcone odbicie, a nad nim kartkę z napisem: „Kto jest bez winy, niech pierwszy rzuci kamień”... Lustro jest całe. Nogi mam jak z waty, uginają się pode mną i cały czas drżą. Widzę siebie i uniesiony do góry szpikulec do lodu, zdradliwy uśmiech i złowrogi błysk w oku. Przecież ja nie mam niczego w rękach... Dlaczego rozmawiam ze sobą? Biorę zamach, ale to nie mogę być ja... Czyja siostra? Słyszę znajomy głos. Ona na mnie patrzy i z każdą chwilą łagodnieje. Wreszcie opuszcza śmiercionośne narzędzie i odchodzi. Widzę jej plecy, to nie byłam ja. Miałam siostrę bliźniaczkę! Idź precz, to ostatnie jej słowa. Odpuszczam ci, powiedziała. Pozostawiła zakrzywioną, drewnianą laskę. Upadłam, zbiegając z nią po schodach. Chciałam tylko stamtąd uciec...

11

Czołgam się. Boli mnie już wszystko. Krwawię. Pozdzierałam paznokcie na chropowatych ścianach, które kiedyś były białe. Teraz są szare, jak antracyt. Łapię za poręcz i próbuję się podnieść, ale nie potrafię. Nie rezygnuję. W końcu się udaje. Odliczam poszczególne stopnie, jakby prowadziły do nieba. Czy raj zatem jest pod ziemią? Przecież właśnie tam zmierzam... Jest parter – widzę go i jego oznaczenie, które symbolizuje wielką, czarną litera. Kto jeszcze zagrozi mi drogę? Teraz, kiedy jestem już na finiszu... Nikogo tam nie ma, korytarz jest zupełnie pusty. Żadnych ukrytych pułapek? Nie wierzę! Widzę zegar, który chodzi w drugą stronę. Jak to możliwe? Ostatnia prosta, to tylko trzynaście schodów, które prowadzą do... Właśnie, dokąd one biegną? Może nie warto tam już iść? Nie tracę nadziei i przebiegam przez otwarte na oścież wrota. Jestem na zewnątrz!, wołam. Widzę jasne światło, ale wzrokiem nie mogę odnaleźć słońca. Jest schowane za chmurami, które zdominowały niebo. Pada śnieg i jest zimno. Poprawiam ubranie oraz buty. Patrzę przed siebie i rozglądam się na boki. Wszędzie pełno podobnych do tego domów, nie widać za to nikogo. Nie ma ludzi, ani samochodów. Puste ulice i chodniki, zmuszają do zastanowienia. W powietrzu coś wisi. Jakieś fatum. Muszę już iść. Żeby wydostać się z miasta powinnam wyruszyć na południe. Próbuję ustalić kierunek, ale nie mam pewności, czy się nie pomylę. Życie jest jednym wielkim pasmem omyłek

i spóźnionych na nie reakcji. Obłędem jest myśleć inaczej. Oczyszczam się wewnętrznie, smarując twarz świeżym śniegiem, który jest niczym zmrożony puch. Ten dotyk łagodzi mi rany. Patrzą pod stopy, gdzie leżą niezdeptane, bielusińkie płatki, od których odbija się jasne światło. Są wszędzie, bolą mnie od tego oczy i boję się po nich chodzić. Wstydę się za siebie, i za tamtych także... Dotykam brzucha... To brzemię. Stąpam po miłkim gruncie i co rusz się przewracam. Powstaję i znów idę, po czym ponownie upadam. Zostawiam za sobą szeroki, niesymetryczny szlak, który ciągnie się w nieskończoność niczym diabelski ogon. Z wyglądu przypomina jedenastkę. To także dwie jedynki, wejście i wyjście. Droga, która na powrót prowadzi. Dwie różne myśli i tyle samo możliwości. Wolna wola i wybór niczym nieograniczony... Mój wybór. Przede mną dziewicza ziemia, którą deptę. Podpieram się przy tym zakrzywioną laską. Wyczuwam pod śniegiem kolejne ciała, które zalegają obok siebie. Jest ich wiele. Tysiące ludzkich trupów, gęsto rozsianych na rozległych terenach wymarłego miasta. Modłę się w myślach, w kieszeni ściskając zdjęty ze ściany krzyż. Ciągle poszukuję odpowiedzi. Idąc, zapadam się w śniegu i o nich potykam... W końcu już nie wstaję. Marek Dryjer –ur. 27.05.1976 we Wrocławiu. Miłośnik egzystencjalizmu w literaturze. Publikacje: Powieść Droga ślepców, Wydawnictwo Radwan, 2010. Debiut książkowy, który został nominowany do Nagrody Europy Środkowej Angelus 2011 (dla książek wydanych w 2010 roku). Powieść Szklane miasto, Wydawnictwo E–bookowo, 2012. Zbiór opowiadań Pentagram. Antologia grozy, Wydawnictwo E–bookowo, 2012. Opowiadanie Trzynasty schron zostało nagrodzone ex aequo główną nagrodą w konkursie literackim POLSKIE POSTAPO 2011, stając się częścią pierwszego, polskiego, postapokaliptycznego uniwersum (PROJEKT 13). Opowiadanie Miasto umarłych ludzi zostało nagrodzone w ogólnopolskim konkursie literackim SECRETUM CALIGO 2012 w kategorii horror. Opowiadanie Bezprawie zostało wyróżnione w konkursie literackim OPOWIEŚCI NIESAMOWITE 2012 i opublikowane w dwumiesięczniku OPOWIEŚCI NIESAMOWITE 1 (5) 2013. Opowiadanie Lęk pierwotny zostało nagrodzone w konkursie literackim Nadszaniec Fantastyki II na Zamojskim Konwencie Fantastyki 2012. W przygotowaniu powieści: Krwawe pola oraz Mroczne dusze.

Marek Dryjer

ur. 27.05.1976 we Wrocławiu. Miłośnik egzystencjalizmu w literaturze.

Publikacje:

Powieść Droga ślepców, Wydawnictwo Radwan, 2010. Debiut książkowy, który został nominowany do Nagrody Europy Środkowej Angelus 2011 (dla książek wydanych w 2010 roku). Powieść Szklane miasto, Wydawnictwo E–bookowo, 2012. Zbiór opowiadań Pentagram. Antologia grozy, Wydawnictwo E–bookowo, 2012. Opowiadanie Trzynasty schron zostało nagrodzone ex aequo główną nagrodą w konkursie literackim POLSKIE POSTAPO 2011, stając się częścią pierwszego, polskiego, postapokaliptycznego uniwersum (PROJEKT 13). Opowiadanie Miasto umarłych ludzi zostało nagrodzone w ogólnopolskim konkursie literackim SECRETUM CALIGO 2012 w kategorii horror. Opowiadanie Bezprawie zostało wyróżnione w konkursie literackim OPOWIEŚCI NIESAMOWITE 2012 i opublikowane w dwumiesięczniku OPOWIEŚCI NIESAMOWITE 1 (5) 2013. Opowiadanie Lęk pierwotny zostało nagrodzone w konkursie literackim Nadszaniec Fantastyki II na Zamojskim Konwencie Fantastyki 2012. W przygotowaniu powieści: Krwawe pola oraz Mroczne dusze.



KORNEL MIKOŁAJCZYK

8311200047806

Jak brzytwą masło, tak przetnie mózg;
Jak kamień w wodę – cicho: plusk...

Julian Tuwim, „Śmierć”.

W dniu, w którym Nieśmiertelny planował się zabić, na Futuropolis spadła ulewa.

Na przekór wszelkim planom i procentowym rachunkom Kontroli Pogody, kurtyna wody runęła na miasto jak jastrząb. Miast krwią ofiary, bryzgając wszędzie naokoło ciężkimi kroplami. Przechodnie zatrzymali się, jak za wciśnięciem przycisku i zgodnym ruchem dotknęli półprzezroczystych nimbów, okalających ich skronie. Z urzędzeń wyleciały mgiełki nanobotów, odgradzając noszących od nieprzerwanego wodnego napalmu lejącego się z nieba; niewidzialne parasole współczesnego świata.

Nieśmiertelny po prostu szedł, stukając obcasami po trotuarze, zaśluchany w pluszczące rekwiem żegnającej go natury. Dziś, nareszcie, zakończyć miał się jego pożyczony czas na Ziemi. Nie obchodziło go nic innego.

Przed wejściem na Arenę w 613. Dystrykcie jak zawsze kłębił się tłum spragnionego emocji plebsu. Zarośnięci mężczyźni we wchłaniających pot podkoszulkach, wyfiokowane damy przybrane w skąpe kreacje z syntetycznych włókien, umazane smarem roboty pracujące na co dzień w fabrykach, R–hosterzy przypominający chodzące ludzkie lornetki...



Krótko mówiąc – Ciemnota.

Dumni reprezentanci ogromnego odsetku ludności Futuropolis, który nie umiał pisać, czytać, liczyć czy nawet myśleć bez pomocy wszechobecnych maszyn i elektronicznych mózgów. Dworzanie Królestwa Rozwoju, jakie nastało nad całą planetą.

Nieśmiertelny przepchnął się na początek kolejki, starając się unikać spojrzeń. Już i tak wystarczająco odcinał się od tłumu.

Na czole nie nosił nimbu, nie miał też żadnych widocznych znaków wskazujących, by kiedykolwiek posiadał inne usprawnienie mózgowe. Ubrany był w płaszcz i kapelusz o stonowanych barwach, lekko przyciemnionych wilgotnym pigmentem nawalnego deszczu. Z migotliwych, bładoniebieskich zwierciadeł nieba wprawionych w miejsce oczu wyzierało wiekowe doświadczenie. A także pogarda, jak piorun zadzierzgnięty w przestworzach – pogarda dla tego wszystkiego, co otaczało go swoją natarczywą, cybernetyczną obecnością.

Strażnik u wejścia do Areny uśmiechnął się do niego uprzejmie i wyciągnął przed siebie skaner siatkówki ocznej, podłączony do jego nimbu kablem srebrzystym niczym włos starca.

– Proszę o identyfikację, obywatelu.

Nieśmiertelny przysunął urządzenie do oka i pozwolił filigranowym, metalowym kleszczom rozewrzeć swoje powieki.

Wyjątkowo wścibski hoster RealDreamu zbliżył się do nich na moment, próbując dostarczyć spoglądającym przez jego oczy ludziom jakiejś atrakcji. Nie doczekawszy się ciekawego obrotu spraw, z powrotem zagłębił się w tłumie, w wiecznym poszukiwaniu sztucznych emocji.

Skaner siatkówki zapiszczał, potwierdzając zezwolenie na wejście na Arenę. Strażnik zmarszczył jednak krzaczaste brwi.

– Jedną chwileczkę... Obywatel 8311200047806?

– Tak jest – znudzonym tonem odpowiedział spod runda kapelusza.

– Ale 83? – Kontroler był bardziej zdziwiony, niż podejrzliwy. – Urodził się pan w 2383? Ma pan – przerwał na moment, czekając aż urządzenie dokona stosownych obliczeń – jedynie dziewiętnaście lat?

Nieśmiertelny westchnął.

Jak żółw, leniwie wysuwający kończynę ze skorupy, wyciągnął dłoń z rękawa płaszcza, po czym ściągnął z głowy staroświecki kapelusz, ukazując niecodzienny widok.

Czoło strzeliste niby wieżowiec, pobrużdżone setkami piętér frasunków. Kępki włosów siwe i rzadkie jak trawa na wydmach. Pomarszczona fizys i wątle, spękane usta, wyginające się w podkówkę pod narastającym ciężarem gorzkości.

– Nie – odpowiedział niecierpliwie temu dziwaczному Świętemu Piotrowi, który odmawiał mu przekroczenia bram Raju. – Urodziłem się w 1983 roku. Mam zatem dobrze ponad czterysta lat. Czterysta dziewiętnaście, gwoli ścisłości. Tłumaczyłem ci to ostatnim razem, Joe.

Strażnik wydawał się nieco zmieszany, ale chyba wreszcie pojął, z kim ma do czynienia.

– Mój ojciec nazywał się Joe – powiedział cicho. – Pracował tu czterdzieści lat temu. Niemniej, witamy ponownie, obywatelu.

Wymamrotawszy nieskładne przeprosiny, usunął się z drogi Nieśmiertelnego, otwierając przed nim drzwi na Arenę.

Światło i gwar pochłonęły mężczyznę i kontroler nigdy więcej już go nie zobaczył.

83 bez chwili zwłoki przepchnął się przez hol, po czym wdrapał się na schody widowni. Zarezerwował sobie wyjątkowo dobre miejsce – na samym szczycie Areny, zaraz nad ogromną, eliptyczną sceną. Dla kogoś bez jego kosmicznej wady wzroku wystarczyłoby przechylić się przez sięgającą pasa barierkę, aby dojrzeć gotujące się do pierwszego wyścigu srebrzyste, kanciaste kształty robochodów. Trasę, po której ścigać się miały te pół-roboty, pół-pojazdy widział już nieco lepiej – niezliczone wzgórza, przeszkody do przeskoczenia, radioaktywne miny, wirujące wiązki elektrolasera czy prozaiczne rowy z podłączoną do prądu wodą.

Usiadł na brzegu arcywygodnego masażowego fotela, po czym – nie chcąc wzbudzać niczyich podejrzeń – zaczął obserwować nerwowe przygotowania z podobną werwą, co rozszalały tłum dookoła. I tak dostatecznie wielu problemów i niepotrzebnej uwagi przysporzyło mu samo dostanie się na Arenę. Ostatnią rzeczą, której by teraz chciał, to wzbudzić podejrzenia jednego z dziesiątek kręcących się tu Bezpieczników – zmechanizowanych oficerów Bezpieczeństwa i Kontroli.

Kupił więc paczkę pastylek ogłupiających kubki smakowe od jeżdżącego po trybunie automatu i przeżuwając w ustach sztuczny, gumowaty smak jabłek, czekał, z pozoru cierpliwie, aż robotownicy zakończą przegląd maszyn i rozpocznie się długo wyczekiwany sygnał startowy.

W końcu wysoki, podprogowy klakson wstrząsnął do głębi świadomością widzów. Robochody ruszyły do zmagania z piskiem opon, a trybuny – jak tasowane raz po raz karty – zaczęły falować, to wysuwając się centralnie ponad scenę, to znów chowając się daleko od niej, podążając z precyzją za każdym okrążeniem.

83 wstał wraz z innymi kibicami, czekając, aż jego boks znajdzie się dokładnie nad trasą wyścigu.

A potem, zanim ktokolwiek zdążył zaprotestować, postawił wątlą nogę na barierce i rzucił się w dół Areny.

Każda szanująca się Arena w Futuropolis, zwłaszcza taka, na której fragmenty widowni falują jak szczątki statku na rozszalałym morzu, ma swoje zabezpieczenia. A 83 z całą pewnością nie urodził się wczoraj. Zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli skoczy, niechybnie wyląduje na bocznej „ściance” ogromnej sieci nano–mgiełek, osłaniających całą scenę. Wiedział również, że odbije się od tej wyjątkowo dziwacznej trampoliny, jak wszystkie rzucone z trybun śmieci. Sęk w tym, że tego właśnie chciał.

Jego lot został precyzyjnie wyliczony. Nie na darmo przez ostatnich dziesięć lat swojego życia zajmował się balistyką, krzywymi lotu i fizyką nanoświata. Jego ciało złożyło się jak ciśnięta w kąt kukielka, naginając jednolitość niewidzialnej bariery, a później odskoczyło daleko w bok, z głową wykrzywioną ku ziemi.

Prosto na biegnący pod trybuną, zaśmiecony korytarz zastępczy, którego absolutnie nic nie osłaniało.

A zatem to już... – pomyślał z radością 83, przymykając oczy i dając się ponieść niekontrolowanym odbiciom, jak ciśnięta w dal kauczukowa piłeczka. – Wreszcie nadchodzi. Śmierć. Moja upragniona, jedyna przyjaciółka. Żegnajcie, komórki Aethernum! Żegnaj, przekleństwo wieczności...

Ale nie.

Coś wdarło się w jego marzenie tnącą jak laser obecnością. Zamiast słodkiego uderzenia o ziemię, upojnego dźwięku łamiącego się kręgosłupa i pełnego wdzięku wydarcia powietrza z płuc, doczekał się nagłego wytracenia całego, zdobytego z takim uporem, pędu. Ciepłutka, przyjacielska czerń, która jeszcze przed chwilą unosiła się wyczekująco tuż obok niego, rozwiała się niczym błada, poranna mgła nad dzielnicą fabryk.

Poczuł, że znajduje się w czyichś silnych ramionach. Z trudem i bólem rozwarł powieki i ujrzał nad sobą gładką, marionetkową twarz robotechnika.

– Nic się szanownemu panu nie stało? – Zapytał ów głosem tak bardzo, bardzo ludzkim, że absolutnie do człowieka niemogącym należeć.

Robochody zahamowały z piskiem opon, wpadając jeden na drugiego w karambolu metalowych kończyn i nienaturalnych zgrzytów. Ludzie wychylali się przez barierki, usiłując na własne oczy dostrzec, co też stało się z szaleńcem, który rzucił się na środek Areny, mimo że pokazywano go już na wszystkich ekranach. R–hosterzy zacierali ręce z uciechy, wiedząc, że zaobserwowanie tragicznego wydarzenia przysporzy im kanałom setek nowych subskrybentów.

A Nieśmiertelny ukrył twarz w pomarszczonych dłoniach i gorzko zapłakał.

Pierwsza część planu z głowy.

Dostał się do Inwigilatorium.

Właśnie tutaj, do mechanicznego serca Futuropolis, do budynku o tysiącach oczu i miliardach ekranów, został przywieziony 83 po nieudanej próbie samobójczej.

Spasiony, wąsaty Inwigilator, który zaprosił go do swojego biurka w sali przyjęć, przedstawił się jako oficer Cornix. 83 widział go po raz pierwszy w życiu, mimo że spędził już wcześniej kilka dość nieprzyjemnych chwil wewnątrz chłodnych ścian urzędu Kontroli.

– A gdzie się podziewa oficer Falx? – Zapytał, gdy mężczyzna przepychał się na drugą stronę biurka. – Zwykle to on zajmował się moimi, jak to mówił, „starczymi wybrykami”... Och, niech zgadnę. Umarł jakieś pięćdziesiąt lat temu, co? Proszę się nie przejmować. To zdarza mi się cały czas...

Oficer Cornix usiadł w fotelu, opędzając się dłonią od przelatującej przez salę przyjęć Chmury. Skondensowane, inteligentne nanoboty były najwydajniejszym sposobem przekazywania setek terabajtów danych w tak wielkim, rozcłonkowanym budynku, jak siedziba

Inwigilatorium. Ciężko było jakiegoś nie spotkać nawet w toalecie czy w kabinie windy – metaliczne błędne ogniki, pękate od zer i jedynek zakodowanych informacji.

– Oficer Falx jest na zasłużonym urlopie – odpowiedział mundurowy, siląc się na ciepły uśmiech i ignorując gorycz w głosie przesłuchiwane go.

– Aż tak go zmęczyły moje ciągłe wizyty?

– Powiedzmy, że wasza sprawa została przeniesiona do nieco... ekhm, wyższej instancji. Trzecia próba samobójcza w tym tygodniu i ósma w miesiącu, to przedmiot uwagi Centrali Bezpieczeństwa Porządku i Kontroli. Nie sądzicie, obywatelu?

83 wzruszył kościstymi ramionami.

– Nie sądzę, aby cokolwiek, co robię, było warte waszej uwagi. Mój cel jest prosty. Pragnę jedynie zginąć. Umrzeć. Przestać istnieć. Zasnąć snem wieczystym. „Zrzucić kajdany śmiertelnego ciała”. Obojętnie w jaki sposób. A to miasto skutecznie mi to uniemożliwia.

– Tak, tak, znam raporty. To dość... ekhm, ekscentryczne pragnienie, jeśli wolno mi zauważyć.

83 uniósł brwi.

– Doprawdy? W przeciwieństwie do innych, ja nie chcę być egzystencjalnym egoistą. A obaj dobrze wiemy, że w tej kontrolowanej społeczności nie wolno nikomu się urodzić, dopóki ktoś nie zginie. A ludzie praktycznie przestali umierać w inny sposób, niż ze starości, dzięki tym waszym... – zmełł w ustach obraźliwy epitet – zabezpieczeniom. Wiem o tym lepiej, niż ktokolwiek inny. Próbowałem rzucić się pod pociąg – ale się nie da, bo wszystkie suną próżniowymi tunelami. Próbowałem się otruć, ale skanery w moim domu wyczuły niebezpieczną substancję, a ten diabelski implant żołądka wywołał odruch wymiotny. Poszedłem więc do parku, by z goryczy powiesić się na drzewie. Ale w tym mieście szpiegują dla was nawet ptaki, przerobione na groteskowe, mechaniczne konstrukty. Nie zdążyłem nawet porządnie zawiązać pętli, a już obskoczył mnie tłum Bezpieczników.

– Nie wspomnieliście tylko o skoku z budynku, rzuceniu się pod samochód, sprowokowaniu robota w dzielnicy fabrycznej i włamaniu na oddział zakaźny szpitala na Księżycu – uzupełnił Cornix z nieodgadnionym uśmiechem. Gdybym tylko mógł to powstrzymać, pomyślał. Gdybym tylko mógł dokonać coś, czemu nawet legendarny oficer Falx nie podołał... Tam, na górze, wreszcie spojrzeliby na mnie przychylnie.

Wychylił się do przodu i splótł dłonie na biurku.

– Obywatelu... obywatelu 83. – Chrząknięcie.

– Tak, zapomniałem swojego imienia.

– Z tego, co rozumiem, jesteście jednym z tych na poły legendarnych Nieśmiertelnych. Człowiekiem, któremu rzadka genetyczna zbieżność darowała wspaniałą szansę. Nigdy się nie zestarzeć. Żyć wiecznie.

W głębokich, niebieskich oczach pojawiła się szklista zasłona łez. Cornix wyraźnie poruszył drażliwą nutę w starczym sercu.

– Komórki Aethernum... – Głos mu się łamał. – Tak, za moich czasów były... wielkim tematem. Tak wielkim, że po wstępnych testach zaaplikowano je całemu miliardowi osób. Przeżyło, rzecz jasna, siedmioro. Projekt utajniono. Pieniądze i wysiłki poszły na odbudowę społeczeństwa. Między innymi na CBPIK, które zrodziły tę – machnął dłonią – waszą szlachetną instytucję.

Cornix gładko przełknął zniewagę swego urzędu. Zależało mu, by rozwiązać tę sprawę.

– Jakby jednak na to nie patrzeć, panie 83, to okazja jedna na miliard. Miliard! – Powtórzył tę liczbę, jakby samym tonem głosu mógł zmaterializować ją w powietrzu. – A jednak wy próbujecie z tego zrezygnować. Umrzeć. Rozumiem, że oficer Falx dobrze znał powód, dla którego próbujecie zakończyć swój żywot, ale proszę mi wyjaśnić jeszcze raz. Przekonać mnie. Spokojnie i logicznie. Dlaczego, obywatelu? Dlaczego?

83 spuścił wzrok; w jego oczach jednocześnie szklity się łzy oraz gorzał ogień przynależny jedynie jakiemuś odległemu, syberyjskiemu bóstwu płomieni.

Dwie oddzielne Chmury danych, niczym zakochana para rozmyta w romantycznej mgle, zatrzymały się na moment nad jego głową,

po czym, jakby po chwili namysłu, ruszyły dalej swoją własną drogą. Cornix, na swój sposób, potrafił je zrozumieć. Sam czuł się co najmniej niezręcznie w obecności człowieka, którego skroni nie spinała obręcz nimbu.

– Proszę wyobrazić sobie siebie za czterysta lat, oficerze – przemówił w końcu Nieśmiertelny. – Większość ludzi gubi się w postępie technologicznym już w ciągu półwiecza. A cztery wieki? Wszystkie te zmiany, które musi pan obserwować, a których znaczenia nie jest pan w stanie pojąć? Stworzenie robotów, eksploatacja robotów, równouprawnienie robotów, upadek robotów. Utrata kontaktu z rzeczywistością, cybernetyzacja, zanik podstawowych umiejętności, Ciemnota. Rozwój mediów, mediokracja, powstanie tych durnych programów, jak „CameraSutra” czy „24/7 Life”, ogłupianie ludzi. Pijactwo, narkomania i prostytutka, jak w jakimś cholernie groteskowym pochodzie Bachusa. Kontrola ulic, kontrola Internetu, kontrola umysłu, Inwigilatorium. Hosting cudzej rzeczywistości podczas snu. I wreszcie: NIMB. Neuro-Integrated Mind Booster. Wszechstronne urządzenie komunikacyjne, komputerowe i użytkowe. Noszone tak, jak anielskie aureole. Z dumą. Namaszczaniem. Insignium Ciemnoty, w jakiej żyjemy w naszym wielkim, pięknym, nowoczesnym mieście. W Futuropolis – wymówił z pogardą. – Niech pan zrozumie, że to nie jest mój świat; że... że żyję pożyczonym życiem miliarda ludzi, jak gdybym – całkiem nieświadomie – odprawił jakiś szatański rytuał; jakby ich siły życiowe napełniły mnie na wieczność. Każdy mój oddech, to obraza ich pamięci. To koszmar. Koszmar, z którego dodatkowo nie dajecie mi się przebudzić.

– Rozumiem doskonale – podsumował ostrożnie Inwigilator, przymykając lekko oczy. 83 był stuprocentowo pewien, że oficer komunikuje się właśnie z modułem psychiatrycznym swojego nimbu, szukając wskazówek na temat sposobów postępowania z czterystuletnią żywą skamieliną, nieprzystosowaną do życia w „normalnym” społeczeństwie.

Czas pokazał, że miał rację:

– Chciałbym zadać wam jedno pytanie... Gdzie obecnie przebywają pozostali Nieśmiertelni? Może i oni przeżywają podobne problemy, co wy; może – przy odrobinie szczęścia – uda się wam z nimi dogadać. Znaleźć wspólny język. Zawiązać przyjaźnie z ludźmi takimi, jak...

– Opuścili Ziemię w programie eksploracji kosmosu, kiedy mogli jeszcze przejść testy – przerwał 83 z gorzkim przekąsem. – Mądrzy ludzie. Cała piątka. Dzięki temu niestraszne im paradoksy i dylatacja czasu; niestraszna im samotność. Tylko ja byłem na tyle głupi, żeby pragnąć zobaczyć, jak będą wyglądać moje praprawnuki. A potem patrzyłem tylko, jak całe ich pokolenia umierają; jak zapominają powoli, kim w ogóle jest żyjący od zawsze „wujek 83”... Siódmy i ostatni Nieśmiertelny to człowiek, który podpisuje pańskie czeki: burmistrz tego miasta i szef CBPiK. Wątpię, żeby pragnął umrzeć tak samo, jak ja. Bądź co bądź, w jego osobie spełniło się największe marzenie każdego polityka: Nic nie jest w stanie oderwać go od koryta. Nawet śmierć.

Cornix pogładził się po wusach, puszczając koło uszu obraźliwą uwagę na temat wyższej instancji władzy. Jego spocone, zmarszczone czoło wskazywało na to, że procesy myślowe –bynajmniej nie w pomarszczonym rodzyнку mózgu, a w obwodach nimbu – przebiegają wyjątkowo intensywnie.

– Cóż za ponury temat – rzucił mimochodem, zupełnie jakby grał na czas.

Stary człowiek rozłożył ręce.

– I sto lat nie robi różnicy, kiedy ma się dobry temat. Nawet tysiące lat. „Umierasz nie dlatego, że chorujesz, lecz dlatego, że żyjesz” – mawiali już starożytni. Jakoś od tamtego czasu nadal potrafimy dywagować o przemijaniu. Choć kto wie – może jestem tylko latimerią tych chorych czasów, reliktem myślącego za siebie społeczeństwa.

– Tak, tak – potwierdził mechanicznie oficer Cornix. 83 był przekonany, że Inwigilator nie poświęcił tej myśli nawet jednej szarej komórki swego zaciemnionego, stymulowanego nimbem mózgu. – Zupełnie nie wiem, co poradzić w waszej sprawie... Umrzeć, rzecz jasna, nie można wam pozwolić. Jest to, bądź co bądź, społeczeństwo idealne. Priorytetem jest wasze bezpieczeństwo, obywatelu. A zatem, zgodnie z protokołem, muszę wam powiedzieć: Proszę iść i cieszyć się życiem. Bezpiecznie, jeśli łaska.

Z ciężkim westchnieniem, zakończywszy kolejną walkę z wiatrakami, 83 podniósł się z fotela.

– Znów spróbuję – obiecał, jakby już ostrzył na nich nową kopię.

Cornix uśmiechnął się z politowaniem.

– Więc nadal będziemy was obserwować, obywatelu. Dwa razy intensywniej, jeśli to możliwe.

Odprowadził Nieśmiertelnego wzrokiem do wyjścia, z satysfakcją dobrze wykonanego zadania.

I gdyby nie natłok śmigających w powietrzu mgiełek, być może zauważyłby, że jedna z Chmur danych zoczyła z kursu i skondensowała

się prosto do kieszeni starego 83. Ale oficer Cornix nie mógł tego spostrzec; nie oczyma, za którymi czaiła się jedynie pustka zintegrowanych z maszyną bajtów. Bądź co bądź, i on należał do wszechobecnej, futuropolitańskiej Ciemnoty.

Druga część planu z głowy.

Wykradł archiwalne plany.

Roboćpun, który spotkał się z nim w bocznej alejce za budynkiem konglomeratu transportowego VoidExpress, pólleżał pod ścianą jak sterta nikomu niepotrzebnego złomu, uwalany smarami i brudem ulicy. Gładką, marionetkową głowę zwiesił niepozornie na piersi. Z wnętrza jego obudowy dobywało się rażące oczy, promieniotwórcze światło hydrouranu, wdychanego przez otwór gębowy do wnętrza podzespołów.

Zanim zaczął brać, musiał pracować jako konserwator instalacji elektrycznych czy hydraulicznych – przy jednej z dłoni zamontowaną miał lutownicę i gwoździarkę, przy drugiej zaś magnetyczną spawarkę i wkrętarkę. To samo palce: z jednej strony składały się z kluczy francuskich, a z drugiej ze śrubokrętów różnej wielkości i kształtu.

Cóż z tego, skoro wszystkie te elementy zaśniedziały mu i pordzewiały, pokryte nieusuwalną, choć przecież tak nietrwałą patyną przykrych doświadczeń. Robot ów okazał się wzorowym, podręcznikowym przykładem ofiary równouprawnienia ludzi i maszyn. Prawdziwym spadkobiercą wszystkich ludzkich wad i ułomności, wynikających z prostej zasady – „na obraz i podobieństwo swoje”. Na jego lśniącej, mechanicznej głowie spadł prawdziwie złoty deszcz dziedzictwa. „Manna manna narkomanna”.

Wciąż nie do końca było wiadomo, w jaki sposób promieniowanie jonizujące niektórych pierwiastków działało na płytki sztucznych mózgów robotów. Wiadomo jednak, że pośród krzemowych labiryntów złączy pojawiało się wówczas połączenie, które do złudzenia przypominało ludzki ośrodek przyjemności. A to wystarczyło, żeby uzależnić nawet robota.

83 pamiętał roboty tylko jako bezmyślne kuchenne utensylia, czy śmieszne rękawy na liniach produkcyjnych. W XXV wieku roboty miały swoją subkulturę. Kolejny dowód na to, jak bardzo odbiegł od swoich czasów w domenę szaleństwa.

– Ognisz kiepure, godmode? – zapytał roboćpun głębokim, metalicznym głosem, kiedy 83 zbliżył się ostrożnie. W wyciągniętej teleskopowo dłoni trzymał radioaktywnego skręta z żółtawego proszku. Zaraz też odpalił go zachęcająco, używając magnetycznej spawarki.

– Nie zatrzymuj mnie dłużej niż potrzeba, D#34–theta. W każdej chwili mogą się zorientować, że zeskanowałem przed drzwiami podobioną na plastiku tęczówkę. A kiedy moi drodzy prześladowcy nie znajdą mnie w budynku, będą bardzo niepokieszeni... Przyniosłeś to, o co cię prosiłem?

Roboćpun czknął przejmująco – po alejce poniósł się dźwięk pokrywki od kubła na śmieci uderzającej o bruk.

– Jarzeniowo, brachu–ludziachu – odpowiedział w slangu typowym dla robotnika. – Pierwszosortny towar ci ogarnąłem, prosto ze starych torped. Plutonisko–prosto–w–pysko – zarechotał, sięgając do skrytki pod obudową. – Trzym i nie wtrącaj zara całego towarzysza.

Nieśmiertelny uśmiechnął się na ten dziwny koncept. Wielu robotom wciąż ciężko było zrozumieć, że zażywanie radioaktywnych rud wcale nie dawało ludziom tak porządnego kopa, jak im samym. No, jeśli już, to kopa w kalendarz.

Ale 83 bynajmniej nie zamierzał umrzeć od choroby popromiennej. Ze współczesnym poziomem medycyny, zdołaliby go odratować szybciej, niż skończyłby deklamować w głowie monolog Hamleta – słodki hymn zwycięstwa. O nie.

Trzeci akt dramatu dopiero się rozpoczynał.

Z tej drogi nie było już odwrotu.

– Się wie, D–34 – odpowiedział, chowając plutonowy rdzeń do szczelnego ołowianego pudełka i wyciągając zapłatę: pełną papierośnicę pierwszej jakości skrętów z hydrouranem. – Miło robić z tobą interesy.

– Do zobaczyska u Matyska, brachu–numerachu – pożegnał się robot, wciskając swoją nagrodę do skrytki w piersi.

– Mam nadzieję, że nie – mruknął do siebie 83, odchodząc w kierunku jasno oświetlonej ulicy; z powrotem na światło cywilizacji. – Mam nadzieję, że nie...

Trzecia część planu z głowy.

Bomba wybudowana.

Na Placu Mistrza Polikarpa w 2144. Dystrykcie, w samym środku Parku Hydrodendrycznego Futuropolis, zebrał się spory tłum. Cały pierwszy rząd zajmowali niezliczeni R–hosterzy o wyłupiastych oczach kamer, dalej kłębili się spacerujący dotąd w spokoju ludzie i roboty. Nawet automaty Porządkowe przerwały pracę, przyciągnięte tym nadzwyczajnym zbiegowiskiem, wetknawszy między spocone (bądź tłoczące oliwę) ciała swoje wszędobylskie szczotki.

Oficer Cornix przepchnął się przez zwartą mięśniowo–metalową barykadę.

W samym centrum placu, na cokole posągu, zobaczył stojącego w rozkroku 8311200047806, który, trzymając się kosi marmurowej Śmierci, wymachiwał nad głową ciemnym pudełkiem.

– Ani kroku dalej! – zawył, dostrzegając przedzierającego się na przód Inwigilatora. – Ani kroku albo wszyscy w okolicy wylecą w powietrze!

Cornix zamarł ze wzrokiem wbitym w czarną skrzynkę, pozwalając nimbowi wykonać odczyty radioaktywności.

Nie było wątpliwości – stary, upierdliwy Nieśmiertelny w jakiś sposób dowiedział się, jak w domowy sposób zbudować bombę atomową niewielkiego zasięgu. Informacje takie były zazwyczaj przechowywane w tajemnicy w obszernych archiwach Inwigilatorium – tak, ażeby zapewnić obywatelom Futuropolis niezbędną maksimum bezpieczeństwa. Niepotrzebne myśli o broni masowego rażenia wywoływały niepokoję, a wśród bardziej szalonych umysłów – niedopuszczalne w nowoczesnych mieście niszczycielskie tęsknoty.

I oto 83 stał tutaj, pośrodku placu, z marmurową Śmiercią za swoimi plecami, jak z wyjątkowo złym omenem i ze skleconą w tajemnicy bombą w sękatej dłoni.

Paragraf 14 o Koniecznej Równowadze Społecznej – zagrożony.

Paragraf 25 o Bezpieczeństwie Powszechnym – zagrożony.

Paragraf 44 o Poufności Informacyjnej – złamany.

Cornix mógł się raz na zawsze pożegnać z awansem...

– Obywatelu 83 – przemówił głośno, gorączkowo przetrząsając pamięć nimbu w poszukiwaniu właściwych słów – do–doprawdy, szczerze gratuluję zmylenia Inwigilatorium aż do tego stopnia. Rozumiem, że za pomocą Chmury wykradliście plany z naszego archiwum, a następnie przy ich użyciu skonstruowaliście w tajemnicy bombę? Bardzo sprytnie. Naprawdę, wieszuję.

– Zapomniał pan o przechytrzeniu ulicznych czytników, oficerze – odkrzyknął z satysfakcją 83. – I o zakupieniu nielegalnego plutonu od robociego dilerka. Czy i to nie zasługuje na uznanie waszego urzędu?

Bingo, pomyślał Cornix, zaśmiewając się w duchu.

– Oczywiście, że i to, obywatelu – odpowiedział chytrze. – Problem w tym, że zrobiliśmy dokładnie to, co obiecywaliśmy, że zrobimy. Naprawdę czujnie was obserwowaliśmy, 83. Co więcej: dobrze wiedzieliśmy o wykradzeniu planów z archiwum. Mamy specjalne rejestry przepływu danych – wiemy, kiedy coś wychodzi i nie wraca. W ten sposób nietrudno się domyślić, że robot, od którego zakupiliście pluton... był podstawiony.

Uśmiech zniknął z twarzy 83; zmarszczki przemieściły się niczym załamująca się fala. Dłoń trzymająca bombę opadła nieco, a ramię, do tej pory dumnie podpierające marmurową kosę, nagle samo zaczęło potrzebować podpórki.

– Słucham...

– Wiedzieliśmy dobrze, co zamierzacie i wyprzedziliśmy was o parę kroków. Pluton, którego użyliście do skonstruowania tego maleństwa, został odpowiednio sfabrykowany. Nie wybuchnie, choćbyście go podpalali, ciskali o ziemię i rzucali z wysokości. Przykro mi. Musieliśmy sprawdzić, do czego jesteście naprawdę zdolny, obywatelu.

Kłamstwo wywołało pożądany efekt. Z Nieśmiertelnego jakby w jednej chwili uszło powietrze. Cofnął się o parę kroków, po czym usiadł na kolanach posągu Mistrza Polikarpa, usadowionego w marmurowym fotelu.

W jednej chwili z tłumu odłączyły się sylwetki zmechanizowanych Bezpieczników i otoczyły 83 zupełnie tak samo, jak stado gołębi otacza rzuconą im garść chlebowych okruszków. Zbiegowisko odezwało się rzadkimi brawami, po czym zaczęło się rozchodzić. Tylko hosterzy czekali jeszcze niecierpliwie, wywalając na wierzch wyłupiaste soczewki kamer – a nuż wydarzy się coś godnego uwagi subskrybentów.

Cornix władcym gestem nakazał rozpędzić tę hałastę, a potem z uśmiechem tryumfu zbliżył się do niedoszłego zamachowca.

83 szlochał, ukrywając pomarszczoną twarz w dłoniach – stary, pokonany człowiek.

– Chciałem tylko umrzeć... – mamrotał poprzez łyżę. – Tylko umrzeć, do cholery... Jak kamień w wodę...

– Przykro mi, obywatelu 83 – przemówił twardym tonem Inwigilator. – Nowoczesne społeczeństwo nie może wam na to pozwolić. Będziecie musieli jeszcze trochę pożyć. Być może doczekacie momentu, w którym coś zmieni się dla was na lepsze. Życzę wam tego z całego serca. Ale na razie, musicie żyć.

Kiedy bratni oficerowie Bezpieczeństwa odprowadzali starca w kierunku mieszkania, aby założyć wokół niego dwudziestoczworgo-dzinny nadzór kamer i czujników, Cornix z niejasnym współczuciem spojrział raz jeszcze w tę starą, niewiarygodnie umęczoną twarz.

I mimo największych wysiłków nimbu nie potrafił zrozumieć, dlaczego 83 uśmiecha się do siebie poprzez łyżę.

Jak gdyby właśnie spełniły się jego najskrytsze marzenia.

Czwarta część planu z głowy.

Bomba skonfiskowana.

Oficer Cornix stał w magazynie Inwigilatorium nie mogąc uwierzyć, jak łatwo mu poszło.

Trzymał przed sobą w dłoniach czarną, metalową skrzynkę i oglądał ją uważnie, nie mogąc się nadziwić dokładności wykonania. Nigdy nie widział na żywo atomówki domowej roboty, jednak swego czasu, podczas pracy w archiwach, przeglądał plany jej konstrukcji. I musiał przyznać, że 83 wykonał kawał solidnej roboty.

Metalowe pudełko po samobieżnych butach zostało przerobione na obudowę, okraszoną wymontowanymi z elektrycznego piecyka wyświetlaczem i pokrętłami zapłonu. Po otwarciu pokrywy dało się zobaczyć opleciony pajęczyną przewodów (prawdopodobnie z domowej sieci komunikacyjnej) ołowiany zbiorniczek, wypełniony, rzecz jasną, rdzeniem plutonowym. Konstrukcja wydawała się idealna w każdym calu.

To prawdziwe szczęście, że uwierzył w moje kłamstwo – pomyślał Inwigilator, oglądając wnętrze niszczycielskiego pudełka. Inaczej cały Park Hydrodendryczny usmażyłby się jak jajka na rozgrzanej patelni.

Z nimbu Corniksa odezwał się nagle głęboki głos:

– Oficerze. Poproszę was do mojego gabinetu. Jak najprędzej.

Gdyby Inwigilator nie trzymał w dłoniach prowizorycznej bomby, pewnie zatarłby ręce z podniecenia. Teraz tylko awans! Jak nic, czeka

go podróż na wyższe stanowisko. Może nawet Kontrolera Rejonowego CBPIK?

Stokrotne dzięki, obywatelu 8311200047806 – pomyślał, w pośpiechu wypełniając formularz dowodowy. – Dzięki ci za to, że chciałeś umrzeć...

To wydarzyło się, kiedy chował bombę do szarego magazynowego pudła. Czarna skrzynka zapiszczała przeciągle, zielony przycisk podświetlił się wesoło, a na stary wyświetlacz od piecyka wsunęły się leniwie literki, układające się w pojedyncze słowo:

UZBROJONO

Oficer Cornix zdążył jeszcze pomyśleć – w przebłysku olśnienia, którego nie doświadczał często, będąc cegiełką w zwartym murze Ciemnoty – że stary, przebiegły mądrością wieków 83 mógł przecież wykraść z archiwów coś więcej, niż tylko schematy budowy bomby.

Magazyn dowodowy znajdował się w podziemiach Inwigilatorium, pięć pięter pod centrum całego kompleksu.

Tam, gdzie wrażliwe fundamenty.

Kornel Mikołajczyk

Urodzony 20 listopada 1991 w Głownie, Skorpion. Student anglistyki Uniwersytetu Łódzkiego. Zadebiutował opowiadaniem „Człowiek w Masce” (Fahrenheit nr 67), po zdobyciu pierwszego miejsca w polconowym konkursie Uwolnij Fantazję 2009. Jego opowiadanie „Zbudować świat” zdobyło wyróżnienie w pierwszej edycji ogólnopolskiego konkursu Horyzonty Wyobraźni. Wielbiciel zielonej herbaty, anime, epic fantasy, starego sci-fi, poezji Andrzeja Bursy, power metalu i – przede wszystkim – pisanie.



JULIA BERNARD

Cyklop

To nie prawda, że moja matka była wariatką, chociaż sam potwierdzałem tę opinię za każdym razem, kiedy ktoś z fałszywym współczuciem pytał ostrożnie: Jak mama? Robiłem tę minę dzielnego, kochającego syna, który mimo oczywistego szaleństwa matki pozostaje na posterunku przy jej boku. Oczywiście, mówimy tu o szaleństwie uznawanym przez niektóre kręgi za szaleństwo prawdziwe. Mówimy tu o kręgach najbliższych znajomych moich rodziców, a potem – znajomych ojca. Matka w pewnym momencie nie miała oprócz mnie już nikogo. I za każdym razem, kiedy pozwalałem sobie na to kłamstwo, czułem wyrzuty sumienia.



Nie była szalona, teraz każdy już by to przyznał. Ale trochę na to za późno, co mili państwo?

Wczoraj ją pochowałem. A wcześniej zabiłem, ale to było konieczne. I ona o tym wie, więc nie sędzę, by czuła urazę. Może żal, że zostawia mnie samego, ale nie urazę.

Nie ona.

Byliśmy bardzo miłą rodziną. Taką, która potrafi wieczorami grać w scrabble, celebrować weekendowe śniadania, wyjeżdżać na wakacje tylko we trójkę, bez tabunu znajomych z dziećmi, żeby uniknąć nudy w przebywaniu tylko we trójkę. Potrafiliśmy się śmiać z tego samego, śpiewać w samochodzie i prowadzić nocne dyskusje. Przynajmniej do momentu, kiedy skończyłem 13 lat, a tato poinformował nas, że się wyprowadza.

I wtedy zrozumiałem, że nie znam swoich rodziców tak dobrze, jak myślałem. I poczułem podziw dla ich kunsztu aktorskiego, bo choć ja byłem naprawdę zaskoczony sytuacją – matka nie wydawała się w najmniejszym stopniu zdziwiona.

Sięgnęła po następnego papierosa, zapaliła go spokojnie pod pełnym napięciem spojrzeniem ojca i powiedziała po prostu:

– Przypomnij pani Zosi, żeby wyprasowała i spakowała wszystkie twoje koszule, dobrze? Ja mogę zapomnieć.

Mama nigdy nie prasowała. Po kilku próbach poddała się i przekazała pieczę nad takimi sprawami pani Zosi. Podobnie jak sprzątanie, zakupy i całe to prowadzenie domu, które powinno przychodzić jej tak łatwo. Bo wiecie... mama była ekspertem w sprawach domowo – gospodarczych. Co ja mówię? Nie ekspertem, tylko Guru Ogniska Domowego.

Była autorką sześciu poradników, które stały się bestsellerami i dziesięciu książek kucharskich, w których jako znawca roztkliwiała się nad kruchością polędwicy, porównując ją do arcydzieła malarstwa romantycznego. Potrafiła pięknie pisać. Naprawdę.

W domu miała zakaz zbliżania się do kuchenki, który z resztą bez sprzeciwu respektowała. Mama była genialnym teoretykiem – w wielu dziedzinach. I tak zarabiała na życie, sprzedając swoją wiedzę.

Ojciec nazywał to Fałszerstwem Doskonałym.

Tamtego wieczoru, kiedy oznajmił nam radosną nowinę o tym, jak to zaczyna nowe życie, poszedłem spać do kolegi. Nawet nie próbowali mnie zatrzymać, uznając, że nie wydarzyło się znowu nic takiego, co powinno ich zmusić do poważniejszej rozmowy z nastoletnim synem.

Następnego dnia rano ojca już nie było (najwidoczniej kwestię koszul postanowił odsunąć na później), a drzwi do pokoju mamy były zamknięte. Pisała.

Wiecie, o czym myślałem tamtego dnia, czekając, kiedy matka wyjdzie od siebie po następną kawę? O czym marzyłem? Nie chciałem cudu ponownego złączenia się starych. Wiedziałem, że jeśli ONI zdecydowali się na rozstanie, to jest to decyzja najwidoczniej najlepsza z możliwych. Myślałem o tym, czy ta zmiana w naszym życiu może pomóc mi w sprawie z domem. Czy będę się mógł wreszcie uwolnić.

Bo widzicie, to nie matka była szalona. Przynajmniej na samym początku. To ja miałem poważne problemy z odróżnieniem rzeczywistości od wyobraźni. A może z rozróżnianiem wymiarów.

Miałem trzy lata, kiedy wprowadzając się do tego domu staliśmy we troje na podjeździe, wdychając ciepłe, majowe powietrze i obiecywaliśmy sobie, że będziemy w nim bardzo szczęśliwi. To znaczy – rodzice paplali takie słodkości do siebie trzymając mnie na rękach i pokazując mi dom. Prezentował się zapewne wspaniale.

Do dziś próbuję sobie wyobrazić, jak inni ludzie go widzą z perspektywy chodnika. Dwuspadowy dach, ciągnący się po obu stronach prawie do ziemi, wielkie oszklone drzwi prowadzące na kuchenny taras położony nad garażem i małe, idealnie kwadratowe okno od łazienki na piętrze. Cud awangardowej architektury lat osiemdziesiątych.

Dom stał na małej górcie, więc patrząc na niego, wydaje się, że jest większy, wyższy niż naprawdę. Idąc do niego od furtki krętą ścieżką ze schodkami może się wam wydawać, że właśnie wchodzicie do jakiejś bajkowej krainy. Czasem trzeba wierzyć pozorom.

Właśnie wtedy, kiedy staliśmy na podjeździe, i kiedy rodzice byli jeszcze naprawdę szczęśliwi z tego, że jesteśmy razem – właśnie wtedy dom odezwał się do mnie po raz pierwszy. Niestety – nie ostatni.

– Jestem wielką głową z jednym okiem.

Naprawdę wierzyłem, że domy mówią do wszystkich swoich mieszkańców.

W przedszkolu wyleczono mnie ze szczyrych opowiadań. Na szczęście szybko załapałem, że nie warto mówić prawdy, zanim przyłgnęła do mnie jakaś łatka świra, albo kłamcy. Uznałem, że mówienie domów jest tajemnicą, a każdy z nich słyszalny jest tylko dla ich mieszkańców. I dzięki Bogu, nie dzieliłem się dalej tymi spostrzeżeniami.

Mój dom mnie nie lubił. Jeśli miałem doła, szeptał do mnie najgorsze wyzwiska, pogłębiał tylko zły nastrój. Kiedy skakałem z radości z jakiegoś dziecięcego, głupiego powodu – dom swoim szeptem nakręcał mnie jeszcze bardziej. Może dlatego rodzice prowadzili mnie do psychologów, uznając że mam ADHD.

Dom nigdy nie przestał do mnie mówić, ani straszyć mnie nocami, kiedy budziłem się z jakiegoś koszmaru. Takie przebudzenie potrafiło być naprawdę przeraźliwie. Jeśli śnił mi się potwór wchodzący przez okno – okno było otwarte na oścież. Jeśli we śnie uciekałem przed kościotrupem wychodzącym z szafy – drzwi od niej skrzypiały przeraźliwie, ruszając się tam i z powrotem.

Dlatego mając trzynaście lat marzyłem o wyprowadzce i nigdy tego nie powiedziałem, w obawie, że musiałbym podać jakieś sensowne argumenty. Sensowne.

Czekałem więc pod drzwiami gabinetu matki, siedząc na podłodze i patrząc na kawałek salonu przez uchylone drzwi. Oczywiście, dom już mnie wyczuł i sprawił, że to, co mogłem zobaczyć – ten mały wycinek tamtego pokoju – przedstawiał całkiem inny salon. Opuszczony, brudny, zasnuty pajęczynami i szcurzymi odchodami.

Matka wyszła dopiero po południu. Nasunięte na czoło okulary nie zasłaniały jej opuchniętych, zaczerwienionych oczu. Usiadła obok mnie, oparła się o ścianę i objęła mnie jedną ręką.

– Nie bój się. Nic się nie zmieni. Będziemy mieszkać tutaj nadal i ten dom wciąż będzie naszym szczęśliwym domem. Nie wolno ci go zabierać. To twoje miejsce.

I tyle w kwestii ucieczki od obłądu, co do którego byłem już pewny. Zdążyłem dowiedzieć się już, że nie każdy budynek osacza swoich lokatorów.

Wtedy jeszcze matka była uznaną autorką tych swoich poradników, mających wpędzać w kompleksy panie domu. Wtedy jeszcze nie zamykała się na cały dzień w swoim pokoju, bębniąc bez przerwy w klawiaturę. To przyszło później. Ale przeglądając kiedyś jej notatki, znalazłem tamtą datę. To wtedy jej mózg zaczął do niej mówić, za pomocą pisanych słów. To tamtej nocy, kiedy ojciec wyszedł po kolacji, mówiąc, że idzie do swojego nowego domu, do nowego życia i nowej kobiety – w matce pękła tama i pozwoliła, by ten ktoś, kto w niej siedział od dawna, zaczął snuć swoje opowieści.

Następne trzy lata były prawie normalne. Przynajmniej dla mnie. Zająłem się wreszcie swoim życiem, w którym obecność w domu była na ostatnim miejscu listy rzeczy niezbędnych. Spałem tam, przelewałem na konto pani Zosi wypłatę co miesiąc z konta matki, płaciłem rachunki w ten sam sposób, mówiłem wydawcom, że mama zrobiła sobie przerwę w pisaniu i na pewno do nich oddzwoni.

Wchodziłem od czasu do czasu do jej pokoju, przynosząc coś do jedzenia. Przeciskając się przez sterty wydruków, dochodziłem do okna, gdzie stało jej biurko. Nie odrywała oczu od ekranu. Czasami miałem wrażenie, że nawet nie wie o mojej obecności. Jej ręce niezmordowanie biegały po klawiaturze, a ona zachłannie czytała tekst, jakby sama tego nie pisała. Jej śmiech, albo przerażenie na twarzy przyprawiały mnie o dreszcze.

Ale konsekwentnie odmawiałem przeprowadzki do ojca. Miałem luz, o jakim mogły marzyć nastolatki. Nikt mnie nie pilnował, nie sprawdzał gdzie i z kim chodzę. Jeździłem samochodem matki nie mając prawa jazdy, urządzałem w domu imprezy, na które zaproszone dziewczyny przychodziły, przekonując rodziców, że moja matka przecież będzie w domu. Zawsze była.

Ojciec niepokoił się o mnie, choć i tak nie znał całej prawdy. Uważał, że matka sobie ze mną nie radzi, jakby w ogóle z czymś sobie radziła. Czasami rozmawiał z nią o mnie, a fakt, że ona nawet nie przestaje pisać w trakcie tej rozmowy uznawał za jakąś demonstrację. Naprawdę podejrzewał ją o zwykłą, kobiecą złośliwość.

Pewnego ranka coś się zmieniło. Jadłem śniadanie w kuchni czytając gazetę, kiedy zamysłona matka stanęła w drzwiach.

– Idziesz do szkoły, kochanie?

Zdarzało się, że miała lepszy dzień i sprawiała wrażenie, jakby wiedziała gdzie jest i kim ja jestem.

– Mamo, mówiłem ci już. Zaraz przyjedzie po mnie tato, jedziemy na narty na tydzień.

– To miło, kochanie. Gdzie jedziecie?

– Jak zwykle, do Norwegii.

– Nie do Włoch? – Zapytała, delikatnie się uśmiechając. Nalała sobie kawy z ekspresu i z roztargnieniem zaczęła przeglądać gazetę.

– Mamo, do Włoch się nie jeździ od 10 lat. Tam nigdy nie ma śniegu.

Czasami naprawdę nie kontaktowała.

Teraz drgnęła, wpatrując się w artykuł z wielkim zdjęciem naszych żołnierzy na Pustyni Węgierskiej.

– Mamo? – Zapytałem z niepokojem.

– To dzisiejsza gazeta? – Przerzucała strony, czytając nagłówki.

– Wczorajsza. Mamo, co ci jest?

Usiadła i oparła się o stół, wpatrując się we mnie. Otwierała i zamykała usta, jakby chciała coś powiedzieć. W końcu potarła czoło dłonią i uśmiechnęła się.

– Nic, nic. Kiedy wracasz?

– Za tydzień, w piątek. Pani Zosia będzie tutaj cały czas. Mamo, może ja zostanę... – jeśli akurat masz swój dobry okres, kiedy nawet z mną rozmawiasz, dodałem w myśli, ale matka pokręciła głową.

– Nie kochanie. Jedź, jedź.

Przez cały tydzień regularnie do mnie dzwoniła. Jej głos był taki, jak kiedyś, a to, co mówiła dawało mi nadzieję, że znowu jest mamą, która jest całkiem normalna. Narzekała na ceny w sklepach, opieprzyła mnie o wgniecenia na karoserii jej tracka, nawet wyraziła oburzenie na bałagan w moim pokoju. Tak bardzo chciałem wracać do domu.

Pierwszy raz.

Ojciec wysadził mnie pod domem, jak zwykle mamrocząc pod nosem jakieś wytłumaczenie, dlaczego nie może wejść razem ze mną. Odjechał, a ja stałem na podjeździe i, tak jak kiedyś rodzice, patrzyłem na ten dom z nadzieją, że teraz zacznie się całkiem nowy rozdział w naszym życiu. Nieważne, że głowa Cyklopa mrugała do mnie jedynym, jasnym okiem okna łazienki; że długie pnącza dzikiego wina, które zdążyło obrosnąć dom, poruszają się na wietrze, jak długie włosy na twarzy, zasłaniając co chwilę wielki nos drzwi do kuchni, a ciemne usta garażowych drzwi szczerzą zęby łuszczących się desek.

– Ona jest w środku i czeka na ciebie. Taka jak kiedyś – wyszeptał do mnie.

Ten wieczór był najszcześniejszym w moim życiu. Rozmawialiśmy długo, zaczynając wierzyć, że tamtych ostatnich lat po prostu nie było. Wierzyłem, że ta depresja – jak ją nazywałem – minęła.

Przez pół roku matka zajmowała się codziennym, zwykłym życiem. Nawet próbowała gotować, co oczywiście za każdym razem kończyło się katastrofą, ale nawet spalone garnki wprawiały mnie w świetny nastrój.

Chodziła na moje wywiady, podpisała nawet umowę na nową książkę – praktyczny przewodnik dla ofiar ocalałych ze światowej zagłady. Znowu przesiadywała w swoim pokoju, wertując książki albo przetrząsając Internet. Ale za każdym razem, kiedy stawałem w drzwiach, odwracała się od ekranu komputera i zaczynała rozmowę.

Dom, wyczuwając jak ważny i radosny rozdział mojego życia właśnie nastąpił, przestał mnie straszyć, poszeptując tylko czasami miłe rzeczy. Raz tylko, kiedy wreszcie odważyłem się dopuścić do siebie myśl, że może coś ze mną jest nie tak, bo podobają mi się muskularne męskie ciała, dom zareagował pełnym jadu i złości szeptem, dobiegającym ze wszystkich ścian mojego pokoju.

– Ty... ty geju!

Dlaczego nie powiedział, Ty pedale? Ale to pytanie zadałem sobie dużo później. A szkoda.

Kwestię orientacji seksualnej zdecydowanie rozstrzygnęła pewna dziewczyna, którą poznałem na jakiejś dyskotekce. Najpierw upewniła mnie w tym, co tak naprawdę mnie podnieca, a potem przywiązała do siebie czymś, co nazywają „zakochaniem” i swoimi małymi piersiami.

Matka pracowała. Tym razem jednak nie ograniczała się do zdobywania swojej ukochanej teorii. Spotykała się z ludźmi zajmującymi się survivaliem, nawiązała kontakt z organizacją, która pod chwytliwym hasłem „Przeżyj atak zombie na twoje miasto!” propagowała obronę cywilną i postawę obywatelską.

Zmieniła się do tego stopnia, że zapraszała na niedzielne obiady ojca z jego nową żoną. Już wtedy powinienem był zwrócić uwagę, że tematy przy stole nieustannie krążyły wokół katastroficznych filmów, teorii zagłady Ziemi i tymi nieszczęsnymi zombie. Ale wtedy wydawało mi się, że to jej sposób na gładką konwersację nad niedzielnym rosółem, sposób na pokrycie skrępowania względem ojca i tej obcej kobiety, która nieustannie głaskała go po głowie albo chwytła za rękę.

Taki byłem z niej dumny. Z mojej opanowanej, rozsądnej matki.

Katastrofa nadeszła niespodziewanie.

Nawet cholerny dom nie szepnął mi niczego, kiedy razem z matką stałem w hallu i poprawiałem jej kołnierz płaszcza.

Szliśmy na kolację z okazji rocznicy ślubu ojca. Oczywiście przyjęła zaproszenie. Nawet kupiła im prezent.

Na przyjęciu zjawili się mnóstwo starych znajomych rodziców – tych, którzy znali ich jeszcze z czasów studenckich; z czasów, gdy śliniłem się im na ramię, a nawet z okresu, kiedy starzy urządzali grille w swoim nowym domu. Kiedy ojciec odszedł, wszyscy ci ludzie spokojnie poszli za nim, czując skrępowanie zachowaniem matki.

Krążyłem po salonie i ogrodzie, uśmiechając się uprzejmie do tych wszystkich „cioć” i „wujków”, którzy za naturalne uznali zwracanie się do mnie, jak do kogoś, kto wrócił właśnie z długiej podróży.

– Ależ ty wyrosłeś, chłopcze! Koniecznie musisz do nas wpaść, zobaczysz się z Mateuszem. Na pewno się ucieszy! Kiedyś byliście takimi dobrymi kumplami!

Próbując wyzwolić się z uścisku jednej takiej ciotki, usłyszałem podniesiony głos matki. Stała w rogu z ojcem i dwoma znajomymi. Nie musiałem podchodzić bliżej, by ją usłyszeć.

Po chwili słyszeli już wszyscy.

– Za pół roku nastąpi koniec cywilizacji, czy wam się to podoba, czy nie! Nadejdzie zima – mała epoka lodowcowa, której my jednak nie zdołamy przeżyć. To znaczy – możemy przeżyć, ale ona nie skończy się za naszego życia. I teraz możecie to ignorować albo zacząć dbać o swoje tyłki i tyłki swoich rodzin!

Krzyczała. Przekonywała już wszystkich, biegnąc od jednej grupki osłupiałych gości do drugiej.

A potem płakała.

Wróciliśmy do domu taksówką. Położyłem ją spać, mając nadzieję, że to tylko alkohol.

– Nabrałeś się głupku. Nabrałeś się! To nie była poprawa, to była cisza przed burzą – mrucał dom.

Pierwszy raz poszedłem do jej pokoju, w którym pracowała, kiedy jej tam nie było. Przekroczyłem próg sanktuarium, czując się jak dziecko zakradające się do szuflady ze słodyczami. Początkowo przeszukiwałem pliki w komputerze, ale nie było tam ani jednego, który powstałby od odejścia ojca.

Wtedy zwróciłem uwagę na stojące wszędzie sterty wydruków. Opowiadania, wiersze, erotyki, powieści. Pojedyncze kartki ustawione w kupki tworzące całość utworu. Tysiące zadrukowanych stron. Po wydruku musiała kasować każdy plik, każde napisane słowo.

Rano dowiedziałem się dlaczego.

– Nie chciałam ci mówić, bo bałam się, że spanikujesz. Słuchaj, musimy zacząć się przygotowywać. Już. Teraz. Nadejdzie straszny czas. Musimy nauczyć się żyć bez prądu, telefonów, bez innych ludzi – chodziła po kuchni z roziskrzonymi oczami. – Sama zrobiłam, ile mogłam. Przygotowałam się, nauczyłam... Wiem, co robić. Chodź! – Powiedziała nagle i pociągnęła mnie za rękę.

Zeszliśmy do piwnicy, która do tej pory służyła nam w połowie za magazyn niepotrzebnych rzeczy, a w połowie mnie i moim kumplom za małą kryjówkę. Stół do piłkarzyków, stara, wysiedziana kanapa, lodówka na piwo i wielki plakat z cypaty blondynką, przypominającą wuefistkę z naszej szkoły. Tak mniej więcej wyglądała piwnica, kiedy ostatni raz ją widziałem. Czyli jakieś pół roku temu.

Teraz piwnica była schronem. Poważnie – takim schronem, jakie Amerykanie budowali w nadziei, że uda im się przetrwać pod ziemią atak jądrowy.

Znikły stare graty i nasz plakat. Za to wszędzie postawiono półki z książkami i konserwami. W większości jednak z książkami.

Część pomieszczenia zmieniono w prowizoryczną łazienkę: wiadra, miednice i środki czystości: proszki, mydła i jakieś butelki. Drugą część zajmował ceglany piec z płytą do gotowania. Obok stały paczki ze świecami. Mały pokój, którego nigdy nie widziałem, bo zawsze wejście do niego blokowały jakieś stare pudła, zamienił się w niewielką sypialnię z dwoma łózkami.

– Widzisz, przygotowałam wszystko. Przeżyjemy. Wiedziałam od dawna, że to nastąpi, ale nie przypuszczałam, że już... – Chwyła mnie za ramiona, a ja chciałem płakać z bezsilności i złości na samego siebie, że dałem się oszukać. – Synku, opisałam to wszystko. To, jak wyjeżdżasz na narty, jak zmienia się szybko klimat, jak ta kobieta ojca osacza go coraz bardziej. Ja to NAPISAŁAM, rozumiesz? Piszę wszystko. Opisuję rzeczy, o których nie wiedziałam, że istnieją. Teraz wiem już, kiedy to nastąpi. Już wiem i możemy temu zaradzić, dobrze? Tylko musisz mi pomóc. Ja wiem, bo o tym napisałam. Ja wiem, jaką masz moc. Ona nam pomoże, kiedy nadejdzie ten dzień. I wiesz, co?

Patrzyłem na nią bez słowa, a ona uśmiechała się radośnie, jakby chciała mi przekazać wiadomość o milionowej wygranej w totolotka.

– Zrobiłam zapas twoich inhalatorów! Wystarczy do końca życia. To znaczy – twojego. Nie musisz się więc w ogóle martwić.

Ulegając jej logice – zamiast potrząsnąć nią i kazać się zamknąć, a potem zadzwonić na pogotowie albo do ojca – powiedziałem tylko spokojnie:

– Mamo, one tracą datę przydatności na długo przed moja śmiercią. Ale może rzeczywiście do końca życia. Na krótko, bo bez nich długo nie pożyję.

Przez chwilę zamyśliła się, pocierając czoło.

– Tak, o tym nie pomyślałam. Muszę coś z tym zrobić...

A potem było tak, jakby nic się nie stało. Normalnie rozmawiała ze wszystkimi, pracowała, chodziła nawet na jakieś przyjęcia. Nigdy już nie próbowała nikogo straszyć wizją zbliżającej się katastrofy. Równocześnie zapasy w piwnicy powiększały się coraz bardziej.

Pewnego dnia zastałem ją w kuchni, piszącą ołówkiem w jakimś zeszycie. Podniosła głowę na mój widok i uśmiechnęła się.

– Nie pomyślałam, że mogę stracić możliwość życia, jeśli będę polegać na komputerze. Strasznie trudno jest mi się przerzucić na papier i ołówek. Ale mamy jeszcze trochę czasu. Przywyknę, nie? – I wróciła do pisania.

Od jakiegoś czasu czytałem te wydruki z jej gabinetu. Powieści, w których bohaterki przeżywały niesamowite przygody – opowiadania nastrojające optymistycznie. Wszystko zawsze się dobrze kończyło, a główna postać – przeważnie piękna i młoda heroina, zyskiwała miłość swojego życia.

Poznawałem ten styl. Poznawałem marzenia matki. To ona przeżywała te wszystkie historie, to ona uprawiała seks z mięśniakami, a potem ich zabijała. Matka znalazła sposób na wirtualną rzeczywistość, pozwalając swojej podświadomości pisać za nią. Nie dziwię się, że nie chciała przestać pisać. Ona przeżywała to wszystko naprawdę.

Najświeższe wydruki były listami kierowanymi do niej. Ostrzegały przed tysiącletnią zimą, przedstawiając ten czas, jako kolejną zabawę. Przygodę.

RPG niech się schowa – moja matka była naprawdę dobrym Mistrzem Gry.

Kiedy nadszedł ten dzień, od samego rana biegała po domu podniecona, znosząc jakieś ubrania i klamoty do piwnicy. Odmówiłem jej pomocy.

Tego dnia miałem spotkać się z ojcem i powiedzieć mu prawdę o stanie matki. Nie mogłem już dłużej tego ukrywać. Chociaż fakt, że właśnie wydano ten jej podręcznik, cieszący się dużym powodzeniem, raczej nie ułatwiał mi roboty. Ojciec wierzył, że matka jest w najlepszej formie.

Śnieg sypał już w nocy, a nad ranem pokrywał grubą warstwą samochód i podjazd. Spociłem się odśnieżając, choć robiłem sobie przerwy. Podczas jednej z nich zorientowałem się, że coś jest nie tak. Rozejrzałem się po naszej ulicy. Dzieci rzucające się śnieżkami, sąsiedzi posapujący przy odśnieżaniu, tak jak ja. Kaszel zapalanych silników. Rozejrzałem się jeszcze raz i zobaczyłem stary karmnik na drzewie, który powiesiłem lata świetlne temu razem z ojcem.

Był pusty. Ani jednego ptaka.

Drzewa w pobliskim parku okupowane zwykle przez gawrony też były puste.

Nie wiem dlaczego, ale wtedy zacząłem wierzyć. Poczułem po prostu, że matka ma rację.

Nie oszalała.

Padało cały dzień, całą noc i dzień następny. Padało tydzień, miesiąc. Problemy z komunikacją w mieście, z dostawami prądu – to wszystko obserwowaliśmy na ekranie telewizora zniesionego do piwnicy. Paliliśmy w piecu – centralne ogrzewanie w domu nie działało od paru dni – nie było gazu.

A potem znikł też obraz w telewizorze.

Matka pisała. Całymi godzinami jej dłoń nerwowo poruszała się po kartce, zapełniając linijkę po linijsce. Czasami się śmiała, czasami płakała.

Przestałem zwracać na nią uwagę, skupiając się na codziennym przetrwaniu. Przygotowywałem posiłki i przypominałem jej o konieczności spania od czasu do czasu. W dzień czytałem przy świetle dziennym, wieczorami przy jednej świecy, którą dzieliliśmy z matką. Na

początku chciałem oszczędzać świece, ale ona nie pozwoliła odebrać sobie pisania. A potem powiedziała, że niedługo wszystkie świece w mieście będą nasze, więc nie zdążymy ich nawet wypalić do końca życia.

Wiecie, uwierzyłem jej. I miałem rację.

Pewnej nocy obudziła mnie i potrząsając mną powiedziała, patrząc tymi swoimi zaszklonymi oczami:

– Teraz kochanie. Teraz musisz nas uratować. Każ domowi się obudzić! Teraz.

Nie zignorowałem jej, nie wysłałem do diabła.

Zamknąłem oczy i kazałem Cyklopowi się obudzić. Nie zdziwiłem się, kiedy usłyszałem, jak cały trzeszczy i przeciąga się.

– Chron nas! – Powiedziałem po prostu, bo nie wiedziałem czego matka ode mnie oczekuje.

Ale on wiedział. I słuchał mnie, tak jak robił to przez te wszystkie lata. Dostroił się do mnie idealnie, wyczuwając każdą moją myśl, każdy nastrój i strach.

On był mną. Dlatego nie powiedział do mnie Ty pedale!, bo JA nigdy bym nie użył tego słowa.

Teraz, trzeszcząc, chciał spełnić moje polecenie. Nareszcie szczęśliwy, że zrozumiałem, co nas łączy.

– Powiedz mu, żeby skumulował w sobie całe ciepło. Nadchodzi fala mrozu, którego nikt tutaj nie przeżyje. Ale on może nas uratować!

Skupiłem się i wyobraziłem sobie naszą piwnicę, jako małe źródło ciepła.

Trzask pękających szyb na górze był pierwszym hałasem, zwiastującym nadejście śmiertelnego zimna. Potem przestałem słyszeć cokolwiek.

Obudziłem się w ramionach matki kołyszącej mnie jak małe dziecko i mrużącej pod nosem.

– Już. Udało się, synku. Zawsze wiedziałam, że nie wolno cię stąd zabierać. To twoje miejsce.

Zapytałem tylko, skąd wiedziała o mnie i o Cyklopie.

– Napisałam to, nie rozumiesz? Wymyśliłam twoją historię dawno temu.

Matka nie żyje.

To chyba nasza dieta – składająca się z konserw i mrożonek.

A może była na coś chora?

Jedzenia nam nie brakuje, zawsze mogę wyjść i poszukać czegoś w sklepach w całym mieście. Jedzenie i świece w całym mieście są nasze.

Nikt nie przeżył.

Nie wiem, jak jest gdzie indziej, nie odważę się na dłuższą wyprawę.

Matka nie mogła już pisać. Traciła wzrok i władzę w rękach. Potem leżała, pozbawiona tych swoich opowieści, swojego drugiego życia i umierała, jęcząc coraz głośniejsze.

A potem udusiłem ją delikatnie poduszką. Płacząc.

Sama mnie o to poprosiła.

Pochowałem ją pod śniegiem, w ogródku sąsiadów.

Chciałem w naszym, ale wszędzie zakopane mam tam mrożonki. Wiecie: marchewka z groszkiem, fasolka, warzywa na patelnię...

Dzisiaj jest pierwszy wieczór, kiedy przygotowuję kolację tylko dla siebie.

Wrzuciłem właśnie kolejne tomy książek do ognia, które matka uznała za konieczne do przeżycia – same poradniki.

Przydają się, naprawdę. Dobrze się palą.

I właśnie znalazłem stosik pustych zeszytów, kiedy zabierałem książki z półek, by oddać je ich jedynemu praktycznemu przeznaczeniu.

Postanowiłem spróbować, czy to pisanie to taka zaręczysta zabawa.

Zanim zacznę, zanim przeniosę się w jakieś fajne miejsce, chciałem tylko napisać tę historię o matce.

Przecież to dzień jej pogrzebu.

Wypada powspominać.

Julia Bernard

ur. 1972. Czytająca fantastykę od zawsze, pisząca ją – trochę krócej. Z wyglądu niepodobna dokładnie do nikogo, z wykształceniem niepotrzebnym jej do niczego. Lubi, szanuje i karmi się szeroko rozumianą popkulturą, z radością konstatując, że wszystko co już było – można zawsze opowiedzieć w nowy sposób. Czyta książki historyczne i biografie widząc w nich bardziej pokręcone ludzkie losy, niż mógłby wymyślić niejeden fantastyczny pisarz, czy scenarzysta. Prywatnie – zwolenniczka hedonizmu kontrolowanego, eskapizmu stosowanego, narciarstwa całorocznego oraz kawy w każdej ilości. W sieci : kilka szortów na Szortal.com, jeden na łamach Esensji. W realu: ukaże się w 2013 debiutancka powieść „Pierścień i sito” nakładem Wydawnictwa Dom Snów.



Koniec

– Nienawidzę cię – wyszczała Sylwia, a jej drobna twarz z zadartym nosem zbladła i pokryła się czerwonymi plamami. – Jesteś pajacem i dupkiem, i nie wiem, dlaczego to ciągle znoszę.

Denis zdjął nogę z gazu i zaczął głęboko oddychać, jak po długim biegu. Głębokie wdechy, by uspokoić rozszalałe tętno.



– Widziałem was – powtórzył. – Wczoraj, nad brzegiem jeziora, gdy już wszyscy byliśmy wypici.

– Szpiegowałeś mnie, ty gnoju! – zaczęła wygryzać skórki z boków paznokci, marszcząc przy tym nos i czoło.

Denis spojrzął na swoje odbicie w lusterku. Na siwe włosy z zakolami i lekko kwadratową twarz z dołkiem w brodzie.

– Jestem spokojny – szepnął. – Dlaczego to ty jesteś zdenerwowana? Przecież to ja ciebie nakryłem na całowaniu się z Maćkiem...

– Nie widziałeś! – krzyknęła. – Byłeś pijany tak, że wolałam pójść nad jezioro, niż patrzeć na ciebie!

– Nie kłóćmy się – powiedział. – Tylko...

– Co, tylko? – nagle uspokoiła się, a jej twarz nabrała pogardliwego wyrazu. – A nawet jeśli mnie pocałował, to co?

Milczał, starając się prowadzić bez zrywów.

Wyjęła z torebki papierosa i odpaliła go samochodową zapalniczką.

Wydmuchnęła dym nozdrzami i parsknęła.

– Beze mnie byłbyś nikim – mruknęła, a jej głos nabrał głębokich tonów. – Masz pracę tylko dlatego, że mój ojciec ci ją załatwił.

– Nie prosilem. Ty chciałaś, żebym był plastikowym dorobkiewiczem – przerwał, bo samochód zarzęził.

Denis powoli skierował go na pobocze. W lusterku zauważył, że pozostałe dwa auta też zatrzymują się tuż za nim. Próbował odpalić silnik, ale bez efektu.

Wysiadł z samochodu.

Z trzeciego auta wyszedł Maciek. Otworzył maskę i klnąc, zaczął przyglądać się jej wnętrzu.

Podeszli do niego.

– Tobie też zgasł? – Tomek zapalił papierosa. – Czegoś takiego jeszcze nie przeżyłem... Trzy auta jeden, po drugim, przestają działać... O co tu chodzi, Maciek? Przecież jesteś inżynierem, powinieneś wiedzieć!

Maciek wyprostował krępe, nabite mięśniami ciało.

– Coś musi zakłócać przepływ prądu – mruknął. – Efekt elektromagnetyczny.... Może burza nadciąga.

Tomek spojrzął w niebo, marszcząc chudą, trójkątną twarz.

– Nadciąga zmrok – powiedział – ale nie burza.

Maciek wyjął z kieszeni telefon komórkowy.

– Nie działa – podniósł aparat do oczu i poruszał nim, jakby spodziewał się na coś natrafić w powietrzu.

– Mój też nie – Denis schował komórkę na powrót do kieszeni kurtki.

– Ani mój – Tomek palił szybko, jakby inhalował się przed wysiłkiem.

Maciek oparł się o swoje auto i zmarszczył czoło.

– Czyli burza – zaśmiał się. – Jakieś anomalie magnetyczne wyłączyły nam komórki i samochody...

– Co się dzieje, kochanie? – pisnęła z wnętrza wozu Nata. Pomimo zmęczenia, próbowała się uśmiechnąć. Jej jasne, długie włosy były wilgotne na skroniach.

– Nic. Drobna awaria. Myślę, że wkrótce się to skończy... Idę się odlać. – Maciek zwrócił się do pozostałych mężczyzn. – Wy macie kłopoty z prostatą, ale ja – z moim regularnym wytryskiem, nie mam takich problemów...

– W zdrowym ciele, zdrowe ciele – piskliwie zaśmiał się Tomek.

Maciek odwrócił się i powoli poszedł w stronę skraju lasu.

Stali na poboczu asfaltowej drogi. Zaraz za rowem zaczynały się drzewa, które łagodnie przechodziły w zarośnięty tatarakiem brzeg jeziora. Po drugiej stronie drogi rozciągał się wysoki nasyp kolejowy zasłaniający horyzont.

Niebo nabierało już głębszych barw, a jaskółki zataczały oszalałe koła nad jeziorkiem, otoczonym ze wszystkich stron iglastym lasem.

Z samochodów wysiadły Nata i Jola. Tylko Sylwia paliła papierosa w otwartym oknie.

Chuda i z zębami jak przestraszony gryzoń Jola przyniosła Tomkowi termos z kawą.

Nata ustawiała się do Denisa swym lepszym profilem i ukradkiem próbowała odlepić z tyłka przepecone, białe spodnie.

Denis przyjął od Tomka kubek z kawą i usiadł na poboczu, wpatrując się w niebo.

Było spokojnie i sennie.

– Długo to jeszcze ma trwać? – Sylwia przerwała ciszę. – Do najbliższej miejscowości jeszcze trochę kilometrów mamy, nie?

– Silniki nie chcą odpalić – leniwie odparł Denis. – Maciek mówi, że to jakieś problemy z magnetycznością.

– Nie obchodzi mnie, co mówi Maciek – szybkim ruchem zdeptała papierosa w przydrożnym piasku. – Chcę jechać, umyć się wreszcie i położyć w łóżku.

Tomek usiadł za kierownicą i próbował przekręcić kluczyk.

– Ani drgnie – powiedział z westchnieniem. – Będziemy musieli tu nocować, bo nie mamy jak zadzwonić po pomoc.

Jola zaczęła piłować paznokcie i nie patrząc na nikogo szepnęła:

– Nie chcę spędzić nocy w tej głuszy, proszę, zróbcie coś... Proszę...

– Co mamy zrobić, kochanie? – Sylwia uśmiechnęła się, krzywiąc tylko kąciki ust... – Co mamy zrobić, żebyś nie zaczęła szlochać?

– Nie kłóćcie się – wmieszał się Tomek. Zdjął grube jak denka butelek okulary i zaczął je przecierać brudną chusteczką. – Jeśli Maciek ma rację, to wkrótce wszystko powinno wrócić do normy... To tylko burza.

– Tylko burza – powtórzyła za nim Jola, przybierając nawet podobny wyraz twarzy.

– Przestańcie! – warknęła Sylwia. – Mam już tego dość. Czy możemy choćby spróbować coś zrobić? Czy nie ma tu żadnego mężczyzny? Gdzie jest Maciek?

– No właśnie – Tomkowi wystąpiły rumieńce na twarzy, ale opanował się, gdy Jola złapała go za rękę. – Jak długo można się zatawiać...? Maciek!!

Ciche echo odpowiedziało mu znad jeziora, a w trzcinach zatrzepotały wściekle kaczki.

– Co jest, umarł tam? – Tomek z napięcia aż wspiął się na palce.

Jola za nim też zaczęła przybierać wyraz zatroskania.

– Maciek – zawołał Denis – nie wydurniaj się!

Wsluchiwali się uważnie, ale poza szumem lasu i popiskiwaniem ptaków nad jeziorkiem niczego nie dało się usłyszeć.

– W którą stronę poszedł? – Denis zwrócił się do Naty. – Do tyłu, za samochody? A potem?

W którą stronę skręcił?

Pokręciła głową, jak obrażone dziecko.

– Nie patrzę, gdzie idzie się odlać – powiedziała z nadąsaną miną. – W ogóle nie patrzę...

– I nie myślę – wpadła jej w słowo Sylwia.

– Odwal się – Nata obróciła się ku Sylwii z zaciśniętymi ustami. – Ty powinnaś wiedzieć, gdzie idzie, bo zawsze byłaś za nim o krok! Nie poszłaś mu potrzymać?

– Spokojnie dziewczęta – Tomek wciąż przecierał okulary, patrząc niepewnie na Denisa. –Może miał zawał? Jest duszno i parno, a on swoje waży...

– Biega codziennie rano, a wieczorami podnosi ciężary – z pogardą w głosie powiedziała Nata. – Obawy konusów nie pasują do niego.

– Nie mów tak do niego! – zniecierpliwiona krzyknęła Jola. – Jest o niebo lepszy, niż taki... goryl!

Denis poszedł wzdłuż drogi, patrząc na ślady stóp odcisnięte na brudnym piasku.

– Tu skręcił – powiedział, nie odwracając się i zanurzył się w las.

Niewysokie krzewy przechodziły w gęsty, zielony dywan borowiny, pośród której strzelały ku górze wysokie świerki. Nigdzie nie było widać Maćka.

– Widzisz coś? – Tomek ze ściągniętą twarzą stał na skraju drogi.

– Musimy przejść ten las tyralierą – odpowiedział Denis. – Może faktycznie coś mu się stało, bo ukrop jest jak cholera.

Zamknęli samochody i weszli między pnie, idąc obok siebie w odległości kilku metrów.

Ich krzyki ginęły w gęstym poszyciu, płosząc tylko z rzadka ptaki w koronach drzew.

W głębi zaczynało się ściemniać.

– Nie znajdziemy go w ten sposób – powiedziała Sylwia. – Trzeba zawiadomić Policję i pogotowie. Potrzebne są psy, a tak, to sami się zgubimy.

– Obściskiwać się z nim mogłaś, ale go poszukać, to już ci się nie chce? – Nata zacisnęła pięści i obróciła się ku Sylwii. – To już jest podłe!

– Tym razem ma rację – mruknął Denis. – Faktycznie, musimy wrócić do drogi i sprawdzić, czy samochody już działają... Zaznaczymy miejsce i pojedziemy do najbliższej wsi. Inaczej się nie da.

– To jedyne wyjście – skwapliwie podchwycił Tomek. – Wróćmy do drogi, zanim zapadnie zmrok... Nie mamy latarek.

– Boisz się ciemności? – usta Naty wykrzywiły się pogardliwie. – Chcecie, żebym zostawiła męża w tym lesie, a sama poszła grzać dupę w jakiejś przydrożnej restauracji?

– Grzałaś dupę zawsze i nie przeszkadzał ci w tym mąż – zasyczała Sylwia. – A teraz rusz się, bo nie znajdziemy drogi powrotnej!

Szlochając i mrużąc coś do siebie, Nata zawróciła i poszła w kierunku wciąż nieco jaśniejszego skraju lasu. Reszta w milczeniu podążyła za nią.

Stanęli przy autach. Komórki wciąż nie miały zasięgu, a silniki były martwe.

Denis otworzył atlas.

– Jeśli pójdziemy drogą, to za kilka kilometrów powinna być leśniczówka, a dalej jest jakaś wieś. Na tyle mała, by nie było jej nazwy na mapie, ale są zaznaczone zabudowania...

– Zostawimy samochody? – Tomek splótł palce obu rąk. – Obrobią nas...

– Widzisz tu kogoś, Tomasz? – Denis zatoczył koło ramieniem. – Kto ma nas okraść? Do najbliższej wsi jest kilka kilometrów, a minęło ze trzy godziny od momentu, gdy widziałem ostatnio jakiś obcy samochód... Trochę to podłe. Martwię się o Maćka....

– Nie martwisz się – powiedział stłumionym głosem. – Ja też nie. – Zatrzasnął drzwiczki i starannie sprawdził, czy wszystkie są zamknięte. Wyjął z bocznej kieszeni auta latarkę i pstryknął włącznikiem.

– Nie działa – mruknął. – Na szczęście wożę ze sobą od zimowego kuligu całe naręczce pochodni.

Wyciągnął z bagażnika wiązkę kijów zakończonych jakimś palnym materiałem i rozdał je wszystkim.

Poszli gęsiego wzdłuż pobocza, ledwie widocznego w czerwonym świetle zachodzącego słońca. Droga po obu stronach była porośnięta lasem. Co jakiś czas mijali czerwono – białe słupy, ale nigdzie nie było tablicy z nazwą miejscowości.

Powoli zaczęło się ściemniać. Niebo najpierw spurpurowiało, potem pojawił się granat, a wreszcie mrok wychynął z przydrożnych krzewów i wpełzł na asfalt, nad którym zaczęły śmigać maleńkie nietoperze. Świerszcze namiętnie cykały, a gdzieś w głębi, pośród pni coś śmignęło, łamiąc gałązki.

Nagle przystanęli wszyscy – porażeni piskliwym, rozwibrowanym histerią krzykiem.

– Co się stało, kochanie? – Tomek objął Jolę, ale ona wciąż drżała i skomlała jak zbity pies.

– Oczy... – wyjęczała – żółte oczy pośród krzewów... Oczy...

– Oczy...m ty mówisz? – zasyczała Sylwia. – Otrzeźwiej, kretynko!

Jola kręciła głową, próbując wtulić się w Tomka, a gdy ten złapał ją za ramiona i odsunął od siebie, zaczęła zawodzić, jak dziecko.

– Zamknij się! – twarz Tomka była blada w mroku. – Uspokój się i powiedz, o co ci chodzi.

Gdy Jola dalej kwiliła, mężczyzna uderzył ją na odlew w twarz. Rozległo się plaśnięcie i jej głowa odskoczyła do tyłu.

Jęk się urwał. Patrzyła na Tomka z niedowierzaniem.

– Widziałam żółte oczy pośród drzew – powiedziała nieoczekiwanie opanowanym tonem. – Były za duże, jak na lisa... i zbyt wysoko...

Sylwia parsknęła.

– Długo jeszcze będziemy tu tkwić? Będziemy ją namawiać, żeby uspokoiła się i przypomniła sobie, że ma trzydzieści pięć lat, a nie siedem? – w ciemności rozjarzył się ognek zapalnego przez nią papierosa.

– Weź ją za rękę – włączył się Denis – i chodźmy, bo faktycznie robi się późno. – I zapalmy ze dwie pochodnie. Jedną z przodu, drugą z tyłu.

Poszli dalej. Tylko Jola i Nata co jakiś czas lękliwie oglądały się na przydrożne krzewy.

– No nareszcie! – Denis oświetlił tablicę z napisem „Leśniczówka Czerne”. – Leśniczy będzie miał telefon, a może i psy tropiące...

Przyspieszyli kroku. Z prawej strony asfaltowej drogi zobaczyli spadzisty dach domu i stojącą przy nim chałupę z bali, do których wiodła piaszczysta, rozjeżdżona droga.

Skręcili w nią i przeszli po drewnianym mostku nad leniwie płynącym strumieniem, przy którym kumkały żaby.

Denis zastukał w drzwi.

W środku nic się nie poruszyło. W żadnym z okien nie zapaliło się światło, tylko z tyłu domu zawył pies.

Powtórzył pukanie, a gdy to nie przyniosło rezultatów, zaczął walić w drzwi pięścią.

– Może jest na polowaniu? – powiedziała Jola.

– Z rodziną? – zasyczała Sylwia.

– Może jest samotny?

– I samotny leśniczy błąka się nocami, polując? Na co poluje, kochanie? Na ćmy?

Denis nacisnął klamkę i drzwi z lekkim skrzypnięciem uchyliły się. Ciemność w środku była atramentowa i gęsta.

Denis poświecił pochodnią i znalazł włącznik światła. Nacisnął plastikową taflę, ale nic się nie stało.

– Nie ma prądu, co? – szepnął Tomek. Jego głos był schrypnięty i spięty.

– Nawet jeśli wyłączyli prąd, to sieć telefoniczna ma osobne zasilanie – szepnął Denis. – Trzeba tylko znaleźć aparat.

Pchnął szerzej drzwi i wsunął pochodnię w głąb.

Wszyscy drgnęli, gdy w jej świetle zajaśniały przekrwione oczy i żółte, zakrzywione kły.

– Twoja żona jeszcze trochę pohisteryzuje i wszyscy skonamy na zawał – przytłumionym głosem powiedział Denis. – To łeb dzika... – Wszedł do środka i, w rozedrganym świetle, przeszedł do pokoju.

Białe drzwi zatrasnęły się za nim.

– Nie zostawiaj nas samych, Denis! – pisnęła Nata. – Nie z tym knypkiem i twoją oziębłą żoną! Denis!!

– Cicho – uchylił drzwi i oświetlił im drogę. – Szukam telefonu.

– Tam jest – zimnym głosem powiedziała Sylwia i wskazała pochodnię na czarny, staromodny aparat.

Denis podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę. Potrząsnął nią i przycisnął widełki.

– Nie działa?

Wzruszył ramionami i podszedł do zbitego z desek stołu, z którego wziął wysoką lampę naftową. Trzasnął zapalniczką i żółte światło wypełniło pokój.

– Zgaście pochodnie – zakomenderował. – Musimy je oszczędzać.

Obeszli cały dom, ale nikogo nie znaleźli.

W kuchni, na malowanym na biało stole, stały cztery talerze z kubkami, wokół których było sporo okruchów chleba i niedojedzone kanapki.

– Jednak nie jest singlem – mruknął Denis. – Ale wciąż nie wiemy, co się z nimi stało...

– Na pewno ich ciała są w piwnicy – jęklonie podsunęła Jola. – Za jakąś zastoną albo w szafie...

– Jakie szafy trzyma się w piwnicy, skarbie? – Sylwia paliła papierosa tak, jakby ją brzydził. – Jak patrzę na was... Na tę paradę nieudaczników, to chce mi się rzygać. Może byście coś zrobili? Bo ten absurd posuwa się za daleko...

– Co mamy zrobić, kochanie? – Twarz Tomka była ściągnięta i blada. Pod brwiami rozlewały się plamy cienia. – Czy poza złośliwymi uwagami i głupimi pozami, stać cię jeszcze na coś? Może tym razem, to ty otrzeźwiejesz, Sylwia? Denis robi, co może, a ty bredzisz jak zwykle, zostawiając sobie przyjemność krytykowania go.

– Nie wtrącaj się, zimpotencjały koźle! Odwal się, bo powiem Denisowi, jak dobierałeś się do mnie na Sylwestra, w kuchni...

– Kłamiesz, zdiro! – Jola stanęła przed Tomkiem z zaciśniętymi pięściami. – Przestań, rozumiesz?! To, że jesteś dziwką, nie zmienia naszej sytuacji!

– Denis, obrażają mnie! Jestem twoją żoną!

– Ale nie powiedziałaś mi, że Tomek się do ciebie dobierał...

Tomek zdjął okulary i zaczął je przecierać. Spocił się.

– Byłem pijany, Denis – wystękał. – Przepraszam. Naprawdę byłem zbyt pijany, by do czegoś doszło...

Denis kiwnął głową.

– Więc stąd jest przymiotnik zimpotencjały?

Podszedł do przeszklonej gabloty i otworzył ją.

– Umiesz się posługiwać czymś takim? – spytał, wyjmując dwururkę z ręcznie rzeźbioną kolbą.

Nacisnął niewielką zapadkę i otworzył broń. Wepchnął w dwa otwory, znalezione pod stojakiem z flintą, naboje.

Zatrzasnął fuzję.

– Musimy iść do wsi – powiedział spokojnie. – Coś niedobrego się tu dzieje. Trzeba zawiadomić Policję.

Nie patrząc na nich wyszedł z domu.

Stłoczyli się w drzwiach, by jak najszybciej pójść za nim.

Na niebie zaświeciły już gwiazdy. Nad koronami drzew widać było krągły czubek wstającego księżyca. Gdy wyszli z domu, świerszcze

umilkły, ale po chwili wznowiły swój narkotyczny koncert.

Denis szedł z przodu, nie oglądając się. Strzelbę niósł jak teczkę, z lufą skierowaną do dołu.

Nie rozglądał się i wyglądał na zamyślonego. Przed nim tańczyło światełko lampy.

Tuż za nim szła Nata, a za nią Tomek, przy którym dreptała jak pudel Jola. Z tyłu, z papierosem w ręku sunęła Sylwia.

– Postuchajcie – Jola zatrzymała się i przechyliła głowę. – Słyszycie?

– To psy, prawda?

– Wyją – powiedział obojętnie Denis. – Wiele psów. Pewnie cała wieś. Nigdy nie słyszałem czegoś takiego... Jak wilki.

– Dzieci nocy – szepnęła Nata.

– Poezja jest tu niepotrzebna – warknął.

– Wszyscy za dużo mówimy – Nata potknęła się i przytrzymała jego ramienia. – To przekleństwo wykształcenia humanistycznego. Głędzimy zamiast działać. Nawet, gdy dochodzimy do sytuacji tak krańcowej jak dziś, to umiemy tylko bredzić...

Denis poczuł, jak w ciemności złapała go za rękę.

– Boję się, Denis – wyszeptała – ale ufam tobie. Maćkowi nigdy nie ufałam, bo on tylko udawał silnego, ale ty jesteś silny naprawdę...

Wyszarpnął rękę z jej dłoni i przyspieszył kroku.

Im byli bliżej, tym wyraźniej słyszeli chór psiej rozpacz. Zanosiły się wyciem, do którego dołączały wciąż nowe głosy.

Świerszcze i nocne ptaki umilkły. Noc była wypełniona upiorną kakofonią zwierzęcego śpiewu.

– Tam coś się stało – głos Joli był nabrzmiaty histerią. – Coś gorszego, niż możemy sobie wyobrazić... Tam coś na nas czeka... Nie idźmy tam, Denis!

– A co mamy robić? – odwrócił się do niej z wykrzywioną twarzą. – Słucham propozycji! Jesteśmy w środku niczego. Telefony nie działają, samochody odmówiły współpracy, a jeden z nas zniknął w lesie bez śladu. Zgoda, świat się po nim nie zapłacz, ale trzeba go jednak odnaleźć, zanim skona tam w chaszczach... Ale ja wciąż słucham propozycji. Co można zrobić?

Milczeli.

– Nic? – roześmiał się. – W takim razie pójdziemy do wsi, choćby milion psów wyło. Bo tam muszą być ludzie. Nie zniknęli wszyscy, jak rodzina leśniczego, a wraz z ludźmi są auta, telefony, broń... Zrozumieliście? – odwrócił się i nie patrząc na nich zaczął iść.

Cicho, jakby się wstydzili, podążyli za nim.

Nagle do wycia psów dołączył wielogłosy krzyk, a gdzieś daleko, za lasem, niebo rozpalilo się krwistą łuną. Symfonia dźwięków została przerwana pojedynczymi trzaskami.

– Strzelają... – szepnął Tomek. – Tam dzieje się coś strasznego.

Denis stał na poboczu, wpatrując się w płonące niebo.

Zdmuchnął ogieniek lampy i usiadł na przydrożnym pniaku.

– Zostaniemy tutaj – powiedział. – Aż do poranka.

– Przecież mieliśmy iść do wsi, bo tam psy, samochody i w ogóle – głos Sylwii ociekał szyderstwem.

– Słyszysz chyba, że coś tam się stało? – Denis był opanowany, ale twarz miał ściągniętą i przymrużał oczy. – Zgaś pochodnię, Tomek.

Przysiedli wokół niego na lekko wilgotnym, miękkim mchu. W ciemności otoczyły ich zapachy ściółki, grzybni i rozkładu.

Krzyki cichły, by potem wznieść się na nowo.

Wreszcie wszystko zamilkło, tylko od czasu do czasu ciszę przerywało pojedyncze wycie psa.

– Może zapalimy ognisko? – Tomek wiercił się, próbując wyłapać tnące go w ciemności komary. – Nie będziemy marznąć.

– Nie – Denis pokręcił głową, choć nikt nie mógł tego widzieć. – Nie wiemy, co tam się stało, a światło zdradzi, że tu jesteśmy.

– Boisz się Marsjan, piesku? – Sylwia zapaliła papierosa.

– Wszystkiego się boję, w przeciwieństwie do ciebie, bo tobie nic nie straszne, prawda? Nie cofniesz się przed niczym, kochanie?

Nie odpowiedziała, tylko wściekle rozjarzyła się końcówka jej papierosa.

Po jakimś czasie zapadła całkowita cisza. Na niebie, jaśniejszym niż granatowo – czarny las, widać było maleńkie cienie polujących nietoperzy.

Nie spali.

Wszyscy wsłuchiwali się w mrok, drgając przy każdym trzaśnięciu w lesie.

Nad ranem opadła rosa i zrobiło się zimno. Jola wtuliła się w Tomka, ale Nata i Sylwia siedziały daleko od siebie, a Denis leżał na mchu i wpatrywał się w rozgwieżdżone niebo. Pod głową miał swój plecak i nakrył się wyjętą z niego kurtką dzinsową.

Powoli na wschodzie niebo przejaśniało, a potem przybrało różowawy odcień. Wreszcie, nad drzewami pojawiły się, porozcinane przez gałęzie, promienie słońca.

Denis wstał i nałożył kurtkę. Do plecaka włożył lampę i dwie pochodnie. Ze strzelbą w rękę wszedł na opustoszałą, asfaltową drogę.

– Pora iść – powiedział. – Mimo wszystko pójdziemy do wsi. To już się skończyło.

Nikt nie zaproponował.

Zziębnięte i niewyspane kobiety poszły w las, a Tomasz chuchał w dłonie i obejmował się próbując rozgrzać.

– To już koniec sierpnia – powiedział. – Przeziębłem się... Boli mnie gardło i na pewno dostanę zapalenia płuc...

– Mnie też drapie w przetyku – mruknął Denis. – Im szybciej dotrzemy do wsi, tym lepiej.

– Może lepiej tam nie idźmy, co?

Denis rozłożył przed nim atlas.

– Zobacz, za nami jakieś 80 kilometrów bez żadnych osiedli. Przed nami ta wieś, a potem, tak na oko dwadzieścia parę kilometrów dalej, jakby coś większego, bo jest już nazwa i stacja benzynowa. Musimy iść w tym kierunku, bo cofać się nie da. Nie przejdziemy 80 kilometrów bez jedzenia i picia.

Gdy wszyscy się oporządzili, wyruszyli.

Pomimo słońca, było chłodno. Z obu stron drogi unosiła się para.

– Powinny drzeć się ptaki – zauważył Tomasz. – Czemu jest tak cicho?

Faktycznie, nie dało się usłyszeć żadnego dźwięku prócz szurania ich zmęczonych stóp.

– Tam stało się coś potwornego – drżącym głosem powiedziała Jola – a my, jak idioci, idziemy prosto w pułapkę...

– Jak idioci słuchamy ciebie – warknęła Sylwia. – Tomek, uspokój ją, bo już mi się rzygać chce...

Tomasz objął żonę ramieniem i poszli dalej.

Po kilku kilometrach zobaczyli w oddali maleńką kapliczkę z malowanych na niebiesko cegieł oraz ceglane mury cmentarza.

Na ulicy, tuż pod cmentarnym murem, widać było z daleka jakieś przedmioty. Jakby ktoś porzucił na chodniku zrolowane toboły pełne starych ubrań.

Gdy podeszli bliżej, w ich nozdrza uderzył potworny, dławiący odór.

– To są ciała – wydukał Tomasz. – Ktoś wykopał trupy...

Resztki leżały wzdłuż muru. Jakby ktoś je porządkował; od zbrązowiałych, zrzuconych na stertę kości, poprzez nabrzmiałe i szerniałe korpusy, aż po dopiero co pochowanych zmarłych.

Przytykając chusteczki do ust, minęli makabryczną wystawę.

Nieco dalej, tuż przy szerniałej, blaszanej tablicy, z której nie dało się już odczytać nazwy wsi, zaczynały się inne ślady. Na, schnącej już od rosy, powierzchni ulicy były porzucane przedmioty. Toboły z odzieżą, portfele, wózki dziecięce i lalki. Wszystko to porzucone, jak w panicznej ucieczce, jakby wszyscy biegli taszcząc ze sobą swój dobytek, lecz byli zbyt przestraszeni, by nieść go dalej.

– Uciekali ze wsi – powiedział Denis, patrząc na kierunek pozostawionych wózków. – Tam coś się działo. Na tyle długo, że mieli czas, by się spakować i podjąć decyzję o ucieczce...

– To gdzie są teraz? – Tomasz splatał i rozplatał palce. – Szli w naszym kierunku. Jest tylko jedna droga... Dlaczego nikt nas nie minął? Co się z nimi stało, Denis?

Wzruszył ramionami.

– Musimy wejść do wsi – ujął strzelbę w obie ręce. – Oni z niej uciekali, ale nigdzie nie doszli. Chyba, że pochowali się w lasach... Nie mieli samochodów, bo słyszelibyśmy ich warkot, więc pewnie i tutaj nie ma prądu...

– Nie wejdę tam – oświadczyła Sylwia i usiadła na betonowym słupku z numerem drogi.

– Nikt cię nie zmusza. Ja idę, a wy... jak chcecie.

Ruszył przed siebie, nie oglądając się. Nata – zawiązując włosy chusteczką w ciasny węzeł – poszła za nim.

Po chwili wahania Tomasz pobiegł za nimi, ciągnąc ogłupiałą Jolę

Sylwia z papierosem w ustach siedziała chwilę, a potem, zagryzając wargi, wstała i kuśtykając podążyła za resztą.

Wkrótce natknęli się na spalone domostwa. Z ruin wystawały zwęglone kikuty więźby i osmalone kominy.

Na podwórkach stały pokryte sadzą samochody i wały się porzucone przez mieszkańców rzeczy.

Na jednym z, poczerniałych od ognia, drzew wisało poskręcane, szerniałe ciało. Tylko opalone resztki nóg i rąk pozwalały rozpoznać, że była to ludzka istota.

Pod nią leżała sterta stopionego plastyku.

– Owinęli go workami na śmieci i nałożyli na szyję opony – powiedział Denis. – Bronił się... – wskazał na leżące wokół drzewa ciała. – Zabili go ludzie – szepnął.

Nad osmalonymi dachami górowała wieża neogotyckiego kościoła. Poszli w jego kierunku, mijając wszędzie ślady ucieczki i pożaru.

Na przykościelnym placu zobaczyli, wbite w ziemię, wysokie tyczki do chmielu. Na nich, nabite jak motyle na igłę, wisały spalone resztki ciał. Tu także trupy ociekały stopionym, spalonym plastykiem. Wszędzie unosił się odór przypalonego mięsa.

Denis stanął przed jedną z tyczek. Nasunięte na nią ciało należało do młodej dziewczyny – choć góra była całkowicie zwęglona, to biodra, z kroczem rozepchniętym zaostrozonym drewnem, były niemal nietknięte ogniem. Trup pochylił się, więc ogień spłynął po nim ku ziemi wraz z płonącym tworzywem sztucznym.

– Było ich więcej – szepnął Denis. – Musieli mieć czas, by wkopać kołki, zgromadzić plastik... To był sąd. Tłum zebrał się, by wymierzyć karę... Wyłapywali ich pewnie po wsi. Niektórzy się bronili, jak ten na drzewie... inni – jak ci tutaj – nie... A potem wszyscy zebrali swoje rzeczy i zaczęli uciekać, ale zniknęli... Zostawili tylko trupy. Nikt ich nie bronił...

Tomasz trącił go delikatnie ręką, wskazując na ciało księdza w wystrzępionej sutannie. W przeciwieństwie do innych – był powieszony na sznurze, przerzuconym przez belkę krzyża, stojącego przed kościołem. Czerniały język wyływał z ust, a siwe włosy rozwiewały się na wietrze, jak pióra na ptasiej piersi.

– Pewnie chciał ich powstrzymać – mruknął.

Krusząc butami opadłe na ziemię zwęglone kawałki ciał, przeszli przez plac. Kościół nie był spalony.

Denis pchnął okute żelazem drzwi. W mrocznym wnętrzu, rozświetlonym jedynie kolorowym światłem witraży, na posadzce z czarno – białych kafli widać było poskręcane sylwetki kobiet. Były nagie. Głowy, jak poprzednio, były owinięte okopconą, wciąż półpłynną gumą.

Resztki ich ubrań leżały w nieładzie wokół trupów.

– Czemu je rozbierali? – Denis ukląkł i przejrzał zawartość kieszeni leżących na podłodze dżinsów. – Wszystkie były młode, ale nie ma śladów gwałtu... Więc, czegoś szukali?

Nagle biały obrus na ołtarzu drgnął, a stojący na nim złoty kielich runął na kafle. Coś dziko zakwiliło i śmignęło ku wyjściu.

Denis rzucił się na podłogę i wyciągnął przed siebie ręce. Mała, może pięcioletnia, dziewczynka próbowała ominąć go, ale potknęła się i z piskiem wpadła mu w ręce. Zaczęła wierzgać i wyć, ale przytrzymał ją mocno.

– Ciiicho – wyszeptał – nie bój się, już nie jesteś sama.

Po chwili wycie i parskanie przeszło w kwilenie, a potem w cichy, powstrzymywany płacz.

Miała jasne, na końcach niemal białe, włosy i skonstrastowane z nimi mocno zarysowane brwi, pod którymi ciemniały długie rzęsy i mocno zaciśnięte powieki.

Po chwili dzieciak umilkł.

– Śpi – powiedział Denis.

Wstał, podszedł do ławki i położył na niej dziecko. Zdjął kurtkę i przykrył nią znajdę.

– Poczekamy tutaj – mruknął. – Niech odpocznie, a gdy wstanie, może powie nam, co się tu stało... Wyniesiemy ciała na plac i zamkniemy drzwi.

Podszedł do kościelnej bramy i obejrzał zamek.

– Jest klucz – dodał – więc będziecie się mogli tu zamknąć. Mury są grube, a okna na tyle wysoko, że nikt z zewnątrz się tu nie dostanie. Ja w tym czasie się rozejrzę.

– Nie zostawisz nas tutaj samych? – spytała Nata, gryząc skórkę na palcu. – Musimy się trzymać razem, nie?

– Na razie potrzebujemy znaleźć coś do jedzenia i picia – wyjaśnił Denis. – W tym czasie mała się wyśpi, a potem ruszymy dalej. Chodź, Tomek, wyciągniemy to na zewnątrz.

Trzymając ciała za stopy, wytaszczyli je na dziedziniec i poukładali przy palach.

Na dachu kościoła i rumowiskach domów roiło się już od czekających wron. Nie ruszały się, tylko siedziały, kiwając czarno – fioletowy-

mi głowami i wpatrywały się łakomie w puchnące już mięso.

– Zostaniesz z dziewczynami – powiedział Denis. – Ja w tym czasie obejrzę te domy, których nie strawił ogień. Przyniosę coś do zjedzenia... jakąś wodę. Może działają już telefony.

– Nic już nie działa – głos Tomka był stłumiony, jakby mówił z odległości. – Po czymś takim powinno się tu roić od Policji. Dziennikarze, flesze, gliny powstrzymujące ciekawskich... Widzisz tu coś takiego? Tylko my, trupy, padlinożerne ptaki.... A gdzieś jeszcze pewnie ci, którzy to zrobili. Coś się stało, Denis. Coś takiego, że nie potrafimy sobie tego nawet uświadomić...

Denis milczał, wpatrując się w nieruchome ptasie głowy na resztkach dachów.

– I tak potrzebujemy jedzenia – powiedział wreszcie. – Nawet gdyby to był koniec świata, to i tak coś muszę zjeść.

– Pójdę z tobą – za plecami usłyszeli głos Naty. – Nie chcę tu zostawać...

– Jak chcesz – Denis wzruszył ramionami. – Ale wy się zamknijcie od środka – zwrócił się do Tomka.

Zarzucił strzelbę na ramię i, nie czekając na Natę, poszedł w kierunku wciąż dymiącej wsi.

Dogoniła go i zrównała krok.

– Musi tu być jakiś urząd gminy – mruknął, nie patrząc na nią. – Może jakaś apteka albo sklep. Pewnie gdzieś blisko kościoła.

– Może tam – wskazała szczupłą ręką na okazały murowany budynek.

Gdy podeszli bliżej, zobaczyli czerwoną tabliczkę z napisem „Wójt”, a zaraz obok drugą z białymi literami: POSTERUNEK POLICJI.

Denis pchnął obite metalową siatką drzwi. W środku znajdowało się biurko, metalowa szafa, obłożona z politory półka, na której stały powycierane segregatory i dzbanek do kawy.

Za biurkiem leżał gruby mężczyzna w mundurze. Wyglądał jakby spał, tylko plama zeschniętej krwi na jego piersi i rozcięte aż do karku gardło psuły efekt.

Denis klęknął przy nim. Zmarły trzymał w ręku pistolet.

Walcząc z zastygłymi palcami, Denis wyjął mu go z ręki.

Wysunął magazynek.

– Już wiemy, kto strzelał – szepnął. – Ale nie ma ciał tych, których trafił... zanim oni go zabili.

Przeszukał kieszenie policjanta. W jednej z nich znalazł nadgryziony batonik, a w drugiej, obok brudnej chustki, pęk kluczy. Jeden z nich był długi, z podwójnymi skrzydełkami.

Denis podszedł do metalowej szafy i wypróbował klucz. Ze zgrzytem drzwi się otworzyły.

Pogrzebał pośród papierów i wyjął tekturowe pudełko, z którego wyciągnął lśniące mosiądzem naboje.

Wsunął je do magazynka i przeladował broń.

– Jak to dobrze, że po studiach byłem jednak w wojsku – uśmiechnął się do Naty, wpatrującej się jak zahipnotyzowana w leżące na podłodze ciało.

Wyszli z posterunku i przeszli na drugą stronę ulicy, gdzie, pośród błyszczących w słońcu odłamków szkła, leżała tabliczka „Samopomoc Chłopska”.

Weszli do środka przez rozbitą szybę. Na drewnianych regałach leżały konserwy, chleb pokryty sadzą, makarony i kasze. Nieco dalej, za obitym cynkową blachą regałem, stały butelki z owocowymi winami i wodą sodową. W głębi widać było metalowe wiadra, grabie i inne narzędzia ogrodnicze. Denis do plastikowych toreb, rozrzuconych na podłodze, powkładał wodę i jedzenie.

Potem podszedł do części narzędziowej sklepu i zza przeszklonego regału wyjął dwie maczety do tytoniu. Jedną podał Nacie, drugą, w płóciennej pochwie, wsadził sobie za pasek. Na półkach znalazł kilka waciaków, które związał sznurkiem, a na zapleczu, obok wiszącej czapki uszanki i fartucha, zniszczoną, długą do kolan kurtkę skórzaną.

Denis przymierzył ją.

– Wyglądasz jak traper – powiedziała Nata. – Aż się wierzyć nie chce...

Objuczeni torbami, wyszli ze sklepu i przeszli główną ulicą, depcząc po porzuconych przez uciekinierów przedmiotach.

Spoceni minęli pobożowisko i zastukali do drzwi kościoła.

– Kto tam? – usłyszeli piskliwy głos Tomka.

– Potwór z czarnej laguny – warknął Denis. – Otwieraj.

Sylwia siedziała z papierosem w ręku w konfesjonale, a Jola kuliła się koło śpiącej dziewczynki i gładziła ją po włosach. Tomek szybko zamknął bramę.

– Naradziliśmy się – miauknął. – Zaczekamy tutaj na pomoc.

Denis zwałił na podłogę toboły, a skórzaną kurtkę położył obok swojego plecaka.

– Na co mamy czekać? – dłońmi przeciągnął po spoconych skroniach. – Na zewnątrz nic się nie dzieje. Żadnych ludzi, policji, helikopterów... Nic.

– Tego nie da się dłużej ukryć – warknęła Sylwia. – Urząd gminy nie będzie odbierać telefonów, sąsiedzi z okolicznych wsi nie będą mogli się dodzwonić. Na pewno był tu jakiś policjant, który zamelduje przełożonym, co tu się stało.

– Znaleźliśmy go. Nikomu już niczego nie zamelduje.

Przejechała językiem po przednich zębach.

– To jest nieważne – powiedziała powoli. – Istotne jest to, że zniknęła cała wieś i o tym wkrótce dowiedzą się władze... nawet jeśli na razie nikt o tym nie wie. Bezpieczniej jest siedzieć tutaj i czekać.

Denis usiadł, kładąc koło siebie strzelbę i maczetę.

– Nie ma na co czekać – szepnął. – Nie ma tam nic. Masz rację, zniknięcia wsi nie da się ukryć, ale tu się nic nie dzieje, więc...

– Więc? – rzuciła przez zaciśnięte zęby.

– Więc może nikt już nie przejmuje się takimi wsiami. Może dzieje się coś, co...

– Ale możemy poczekać jedną noc? – przerwała mu. – Tylko jedną noc, a potem coś wymyślimy.

– Wy też tak uważacie? – obrócił się ku reszcie.

– Sylwia ma rację – wydukał Tomek. – Jeśli tylko coś się tu wydarzyło, to w końcu przyjedzie jakiś patrol policji albo wojsko... Jeśli nikt się do jutra nie zjawi, będziemy wiedzieć, że coś nie gra nie tylko tutaj...

– A poza tym – zapiszczała Jola – tu jest bezpiecznie. Mury są grube, zamek w drzwiach solidny... nawet wino mszalne jest tutaj. Tomek znalazł.

Nata usiadła w rzeźbionej ławce i spojrzała na Denisa.

– Może oni mają rację – szepnęła. – Mamy jedzenie i bezpieczne schronienie... Możemy poczekać jeden dzień, nie?

– Te, które wywlekliśmy na plac, też myślały, że tu jest bezpiecznie – powiedział przez zaciśnięte zęby. – To nie średniowiecze. Mury i

wąskie okna nie zabezpieczą nas... – opanował się i już spokojnie dokończył: – Ale dobrze, zaczekamy na następny dzień. Zresztą, myślę, że już i tak nie ma się dokąd śpieszyć...

Zjedli puszki rybne popijając wodą mineralną i zagryzając czerstwym chlebem. Sylwia trzymała się z boku i z zaciętą miną liczyła pozostałe jej papierosy.

Gdy Tomek zza ołtarza przyniósł kilka butelek wina, wszyscy się ożywili. Poza Jolą, która siedziała nachmurzona i nieobecna.

Nata rozlała wino do plastikowych kubków, przyniesionych w jej workach. Pili powoli, przyglądając się jak słońce przefiltrowane przez kolorowe witraże powoli zmienia kąt padania i coraz bardziej mrocznieje, zatapiając kościół w rubinowej mgle.

– Będziemy w telewizji – powiedziała Nata. – Wywiady, udział w tokszołach... będziemy sławni.

– Chciałaś być zawsze aktorką, prawda? – Tomek nalał sobie alkohol i zza okularów przyjrzał się ładnej i bezmyślnej twarzy Natalii.

– Chciałam... A kim ty chciałeś być?

– Naukowcem... Myślałem, że będę sławny, a skończyło się na tym, że chałturzę w prywatnych szkołach, wysłuchując idiotów. A ty, Denis?

Denis milczał.

– Słuchaj... – Tomek zdjął okulary i zaczął na nie chuchać, szukając jakiejś plamki.

– Nic się nie stało, przysięgam... Byliśmy wszyscy pijani. To się mogło zdarzyć każdemu. Taki błąd przy pracy – zaśmiał się cicho.

– Mówisz to przy swojej żonie – szepnął Denis. – Nie masz wyrzutów sumienia, bo niby dlaczego? Nic się nie stało – zresztą, to zwykła rzecz, prawda? Przecież temu w gruncie rzeczy służą imprezy. Okazja do poznania nowych samic. Taka grzecznościowa wymiana ciał... Ale mnie nie o to chodzi.

– A o co?

Denis zacisnął zęby.

– Jesteś groteskowy – powiedział cicho – śmieszny i burleskowy. Masz chude i blade nogi, na których hodujesz rybi, wypukły brzuch. Jesteś... śmieszny, Tomek, a na dodatek, mówisz rzeczy, które budzą pusty śmiech. Bredzisz, a przy tym widać, że upajasz się własnym głosem. Nigdy nie możesz przestać mówić, nawet, gdy dla wszystkich jest jasne, że robisz z siebie pajaca. Jesteś błaznem...

– Nie musisz mnie obrażać – zawarczał Tomek.

– Jesteś smutnym pajacem – mówił Denis, jakby go nie słyszał – a jednak żyjesz normalnie... Na początku, gdy opowiadałeś o swoich przygodach ze studentkami, myślałem, że zmyślasz, że bredzisz, by polepszyć sobie samopoczucie, ale gdy pokazałeś mi kiedyś zdjęcia – musiałem uwierzyć.

– Odpierdol się ode mnie!

Denis podniósł głowę i spojrzał na niego uważnie.

– Można więc być skończonym dupkiem i – mimo to – tarzać się w samicach... Mieć żonę, powodzenie u studentek, ożywione życie towarzyskie... A gdy przypadkiem twoja rączka zabłądzi w majtki Sylwii, to też nic się nie stanie. Po prostu – zbyt dużo alkoholu, więc oboje rozstaniecie się z poczuciem straty, co? Nie było wzrodu, nie było ukradkowej kopulacji... Wiesz, że przy mnie jest zawsze sucha? Jakoś jej nie wzruszam, choć nie wyglądam jak postać z komiksu...

– Czy ty zawsze musisz się kompromitować? – zasyczała Sylwia. – Nawet w takich okolicznościach...

– Nawet w tak pięknych okolicznościach przyrody robię z siebie towarzyskiego pariasa, kochanie? Jak zwykle, nie mam wycucia? Jestem zbyt ponury? Rozmawiam na niewłaściwe tematy z niewłaściwymi ludźmi?

– Jesteś po prostu gnojem!

Pokiwał głową.

– Jestem... Jestem karykaturą... A moje życie to po prostu kpina. Jakbym nie żył... Nie pamiętam, kiedy ostatnio coś przeżyłem. Zapominam całe dni i miesiące. Budzę się rano i z trudem przypominam sobie, jaki jest dzisiaj dzień... Ostatnio usiłowałem sobie przypomnieć, co robiłem przez całą dekadę... i nie mogłem. Nic mi nie utkwilo w pamięci, co chciałbym zapamiętać... Żadnej miłości, osiągnięcia... Nic. Jestem zerem, bo całe życie robię coś, czego robić nie chcę. Uśmiecham się, choć chce mi się rzygać. Udaję, że żyję, wykonuję pracę, której nienawidzę i żyję z kobietą, która jest mi obca... Zakłamałem siebie, a to powoduje stały lęk, bo na miejscu mnie samego powstało coś innego i obcego...

Jego słowa zostały przerwane warkotem z zewnątrz. Przez chwilę słychać było chrapliwe głosy, a potem dzikie skomlenie.

– To psy – powiedział spokojnie Denis. – Gryzą się o dostęp do ciał...

Jola zaczęła kiwać się monotonnie i coś zawodzić. Jej oczy były nieprzytomne, zwrócone gdzieś do wewnątrz.

– Przyszli po mnie – wyszeptała. – Wołają mnie, słyszycie? – urwała i przechyliła głowę, jakby nasłuchiwała. – O! Śpiewają! – zmieniła kierunek ruchu, jakby był to rodzaj tańca. Nuciała coś do siebie, ale brzmiało to jak w obcym języku.

Wstała i zaczęła ich okrążyć, wirując wokół własnej osi. Obwód kręgu, po którym się poruszała powoli zaczął się zmniejszać. Przestała ich zauważać i podjęła taniec wokół leżącej dziewczynki.

Dziecko łagodnie i powoli obudziło się. Usiadła trąc oczy i powoli rozchyliła powieki.

Nata krzyknęła.

Oczy dzieciaka były całkowicie białe. Bez śladu tęczówki.

Jola kucnęła przed dziewczynką i wpatrzyła się w mleczne, ocienione rzęsami kulki.

– Słyszę! – zarzęziła. – Słyszę wasz śpiew! Podniosła ręce, jakby składała ofiarę przed ołtarzem i zanuciła coś.

Potem wstała, wzięła dziecko za rękę i poszła w kierunku drzwi.

– Już idę! – krzyknęła. – Idę!

Zaczęła się szarpać z zamkiem.

Tomek podbiegł do niej i chwycił ją za ramię.

– Przestań szaleć, kretyńko – warknął. – Dość mam już twoich błazeństw.

Jola nie spojrzała na niego.

– Puść mnie, kanalio – powiedziała wyraźnie. – Albo cię zabiję, pluskwo...

Tomek uderzył ją w twarz, ale tym razem Jola stała nieruchomo, jakby nie dostrzegła uderzenia.

A potem przechyliła głowę, nasłuchując.

– Słyszysz swoją śmierć, szmato? – wyszeptała. – Śpiewają dla ciebie, ale wołają mnie, więc zejdz mi z drogi!

Tomek powoli odsunął się.

– Nie! Przytrzymaj ją! – krzyknął Denis, wstając z plecaka, na którym siedział.

Jola, jak nakręcany automat, przekręciła wielki, żelazny klucz. Drzwi uchyliły się, wpuszczając do środka chór psiego wycia.

Kobieta, jak w złym śnie, stanęła we framudze drzwi, za którymi rozciągała się puchata ciemność, z której płynęło ku nim obłąkane warczenie.

Tomek pchnął Jolę i dziecko w mrok i zatrzasnął za nimi drzwi, dokładnie wtedy, gdy Denis dobiegł do niego.

Odepchnął Tomka, który poleciał w bok, jak szmaciana lalka.

Szarpięciem otworzył ciężkie odrzwia. Ze strzelbą w rękę i maczetą za pasem, wybiegł w skowyczącą noc.

Księżyc wysoko nad nim wyglądał jak przekrwione oko, ciała na palach jarzyły się w jego świetle jak spróchniałe drzewa. Wokół nich mrowiły się psy.

Gdy wypalił z dwururki, rozpierzchły się, jak szpaki porwane wiatrem. Tylko wielki, kudłaty owczarek śmignął ku niemu z dzikim pomrukiem.

Denis wyszarpnął zza pasa maczetę i gdy pies skoczył mu do gardła, zrobił wypad na prawą nogę, ciągnąc ostrze od zwierzęcej pachwiny aż po ledwie widoczny w świetle księżyca kosmaty łeb.

Zwierzę upadło ciężko na bruk i zaskomlało.

Denis pobiegł dalej, mijając porozwłózione ciała.

– Jola? – krzyknął w mrok. – Jola!

W ciemności rozjarzyły się zielonkawe ślepi i psie pazury zazgrzytały na kamieniach.

Przed sobą, w duszącej pomroce, dostrzegł bladą plamę kobiecej sylwetki. Pobiegł w tym kierunku, lecz w tym momencie chmura zastoniła księżyc.

Jak oślepiony, stanął niepewnie, ściskając w rękach broń. Maczetę wyciągnął przed siebie, próbując zastonić się przed napierającym mrokiem.

Wokół niego zapaliły się lampki zwierzęcych ślepi.

Usłyszał kobiecy, przeciągły krzyk.

– Jola! – niepewnie, jak ślepiec, zaczął iść w kierunku, skąd dobiegł go wrzask. W ciemności słyszał powarkiwania i chrobot pazurów.

A potem, gdzieś daleko, rozjarzyło się światło i na niebie pojawił się drugi księżyc. Wirował wokół własnej osi, a wokół niego petzły, jak węże, złociste smugi.

Psie futra zapaliły się widmowym ogniem, a domy rozjarzyły się zielonkawą poświatą ognia świętego Elma.

Z całej wsi rozbrzmiało wycie. Psy przysiadły na zadach i wznosiły pyski ku niebu.

A potem wszystko zgasło.

Maleńki, czerwonawy księżyc wisiał wysoko na nieboskłonie, jak wyłupione, rybnie oko.

Skowyt urwał się. Ruiny zgasły, tylko z ich kominów co pewien czas strzelały ku górze wążutkie nitki wyładowań elektrycznych.

Coś dużego przemknęło na tle księżyca i z wysoka dobiegł skrzek i szelest piór.

Usłyszał przed sobą regularne uderzenia w bruk. Coś ciężkiego szło ku niemu.

Z ciemności, migocząc jak zjawa w lunarnym świetle, wyłonił się biały, osiodłany koń.

Na bokach widać było rany po ugryzieniach, a kopyta miał czarne od psiej krwi.

Stukając kopytami w kocie łby ulicy podszedł do Denisa i trącił go łbem w bark.

Przytulił twarz do szorstkiego, ciepłego pyska, kładąc dłoń na wilgotnych, rozgrzanych chrapach.

Za końskim zadem, z mroku wysunęła się blada, maleńka postać.

Z cienia wyszła dziewczynka i stanęła przed Denisem, wpatrując się w niego nieruchomymi, białymi oczyma, które fosforyzowały w mroku.

Ściskając kurczowo maczetę, odsunął się od konia.

Stanął przed nią, widząc jak zamyka się wokół nich krąg zielonkawych ślepi.

Patrzyła na niego w milczeniu, jakby na coś czekała.

W psich gardłach powoli zaczął wzbierać pomruk. Krąg wokół nich zaczął się zacieśniać, a zielone lampki oczu rozjarzyły się i zwężyły.

I nagle łańcuch ciał pękł. Kosmaty kształt skoczył do gardła dziecka, które wpatrywało się w mrok mlecznie opalizującymi oczyma.

Denis wyszarpnął zza pasa pistolet. Przeładował go szarpnięciem i wypalił w bok atakującego zwierzęcia, a potem, stając przed dzieckiem, wystrzelał pozostałe sześć nabojęw w kłębowisko ciał.

Poczuł, jak kły rozdierają mu rękaw kurtki. Rzucił broń na ziemię, wysunął maczetę z pochwy i spuścił ją na psi łeb. Zwierzę zawyło, zakaszłało i upadło rżąc.

Pozostałe kundle cofnęły się warcząc, zostawiając na ziemi jak fala odpływu poskręcane ścierwa.

Rozcięta skóra na przedramieniu krwawiła, więc przewiązał ją wyciągniętą z kieszeni bandaną.

Powoli klęknął przed dzieckiem, opierając się na maczecie.

Dziewczynka zbliżyła się do niego w milczeniu i zarzuciła mu ręce na szyję. Przytuliła się.

Była zimna jak lód.

– Ty też się boisz, prawda? – wyszeptał. – Bo chciały dopaść ciebie... Ale ja cię nie zostawię. Nigdy.

Z trudem wstał. Jedną ręką, nie wypuszczając broni, podniósł maleńką postać i posadził ją na koniu. Złapał za uzdę i powoli poprowadził go przez, zaczynające już cuchnąć, pobożowisko.

W świetle księżycy kościół był czarny, zrobiony jakby z zagęszczonego mroku.

Gdzieś z tyłu słychać było skomlenie i warknięcia. Na drzewach, rosnących wokół placu, zaczęły cykać świerszcze. Milkły, słysząc uderzenia kopyt i znów podejmowały koncert.

Oświetlone słabym blaskiem trupy na swoich palach wyciągały ku niebu spalone kikuty rąk.

Denis stanął w ciemności i powtórnie przyłożył twarz do ciepłego boku końskiej szyi.

Poklepał ogiera i poszedł powoli ku kościelnym drzwiom.

Zastukał w nie rękojeścią maczety.

– Otwórz, Tomek – wychrypiał. – To tylko ja.

Gdy zachrobotał zamek, pchnął odrzwia i otworzył obie połówki bramy.

Wprowadził do środka konia i zamknął za nim wrota.

Patrzyli na niego w milczeniu. Światło lampy naftowej rzucało na ich twarze rozedrgane cienie.

Zsadził dziewczynkę i postawił na posadzkę, a ogiera przywiązał do kościelnej ławki. Strzelbę i maczetę położył przy swoim plecaku.

– Ona nie może tu zostać – wybuchła Sylwia. – Dotknijcie jej! Nie bije jej serce!

– Jak tobie, skarbie – mruknął. – Nie pytacie nawet o Jolę? Przecież była z wami tyle lat... To twoja koleżanka, Sylwia? A twoja żona? Nie interesuje was, co się z nią stało?

Powoli podszedł do Tomka i stanął przed nim z opuszczonym wzdłuż boków rękami.

– Była jak twój pies – wyszeptał. – Naśladowała cię we wszystkim. Nigdy nie kłóciła się z tobą... Zachwycona tobą... Córka stróża, która wyszła za mąż za pracownika naukowego. Dlaczego pozwoliłeś jej wyjść?

Tomasz milczał.

– Była już zbyt krępująca, co? Stałeś się już pewniejszy siebie, co? Już nie potrzebowałeś emocjonalnego wsparcia? Już były studentki, wyjazdy na sympozja i konferencje, koleżanki z uczelni? Jola zawadzała. Wyrosłeś z niej, co? Można więc było ją wypchnąć stąd, jak psa przed wakacjami... – urwał i sprężył się, widząc, jak mężczyzna przed nim zaciska pięści.

– Ty nie rozumiesz, co to znaczy! – zaskomlał Tomasz. – Mam 37 lat i żyłem z kretynką... Cierpiałem, ale ona nie chciała rozwodu. Jesteś nieludzki, Denis, dlatego nie rozumiesz mnie... Nas.

Usiadł na kaflach podłogi i zaczął płakać.

– Sama wyszła. Przecież widzieliście...

– Jak Sylwia – powtórzył Denis. – Trochę odruchów i pazerność. I bezustanna zgrywa.

– Przestań, świni! – zasyczała.

– Tacy jesteście... Cały ten motłoch, któremu musiałem ścisnąć ręce na przyjęciach u jej ojca... Bezlitośni, wyliczeni... Obojętni. Martwi.

Tomasz zwinął się na podłodze.

– Nie chciałem – zajęczał. – Nie chciałem jej śmierci! Sama wyszła... Boże! Sama wyszła, przecież widzieliście.

Miał czerwoną twarz. Z nosa ściekał mu śluz zmieszany z łzami.

Denis kucnął przed nim.

– Nie przejmuj się – powiedział. – Znam cię od dawna. Przejdzie ci. Jak Sylwii po... narodzinach martwego dziecka.

Rzuciła się na niego z pięściami, ale wstał szybko – odepchnął ją, tak że poleciała na chrzcielnicę stojącą przy wejściu.

– Jak szybko doszła do siebie po śmierci własnej córki! – wydyszał. – Lekki kac moralny, a potem już tylko gra przed znajomymi. Jaka wdzięczna rola... Martwa macica, niezdolna do rodzenia, za to zawsze gotowa do przyjęcia nasienia. Obojętnie czyjego...

Sylwia podeszła do jego plecaka i podniosła strzelbę.

– Ty skurwysynu – warknęła. – Ty śmieciu! Zabiję cię...

Denis usiadł na podłodze, podwijając nogi.

– Strzelaj, kurwo – wychrypiał. – Zabrałaś mi wszystko. Odwagę, by żyć, godność... wiarę w siebie i w innych. Nie dałaś w zamian nic. Po prostu zniszczyłaś całą moją siłę... miłość, która była we mnie. Zdeptałaś to, co miało wartość. Dokończ sprawę, suko!

Siedząca do tej pory spokojnie dziewczynka, podbiegła do niego i objęła go kurczowo za szyję. Gdy chciał ją odsunąć, zaczęła zawodzić.

– No, strzelaj, dziwko! – twarz Naty, zwykle bezmyślna, stała się zacięta i poważna. – Przecież już wiesz, że i tak cię zostawi... On już zrozumiał.

Sylwia powoli opuściła broń, która padając uderzyła kolbą o posadzkę.

Denis wstał i, trzymając dzieciaka wtulonego w niego, podszedł do niej. Podniósł dubeltówkę i plecak, i podszedł do ławki, przy której stał bielejący w mroku koń.

Nie patrząc na nikogo, położył się na ławce i zawinął się w skórzaną kurtkę. Dziewczynka usiadła przy jego głowie i spojrzała na nich żarzącymi się oczyma.

Leżał na plecach i wpatrywał się w ciemność. Słyszał ciężkie oddechy śpiących i parsknięcia konia.

Było zimno.

Tuż nad sobą widział ciągle tłące się oczy dziecka. Wyciągnął rękę i dotknął jej miękkich włosów. Zimny płomień jej spojrzenia przygasł, gdy pochyliła się i wtuliła w jego bok.

Wysoko nad nim, witraże zaczęły rozjaśniać się. Nadchodził świt.

Delikatnie uwolnił się z kurczowego chwytu dziewczynki.

Ze strzelbą w ręku przeszedł przez kościół i wszedł na dzwonnice, pokonując drewniane, trzeszczące schody.

Blade światło przebijało się przez zamknięte, drewniane okiennice. Gdzieś daleko słychać było kakofonię cichych głosów.

Z dołu dobiegło go ciche wołanie Tomasza.

Otworzył okiennicę.

Od strony wschodzącego słońca widać było ogromną, wirującą chmurę, złożoną z setek tysięcy drgających punkcików.

Tomasz wbiegł na górę, łomocząc butami o spróchniałe stopnie.

– To ptaki, prawda? – nie patrzył na Denisa. – Tysiące, a może miliony ptaków... Krążą wokół czegoś, dlatego wydaje się nam, że widzimy tornado... ale to tylko ptaki.

– Tam coś jest – szepnął Denis. – Coś, co je przyciąga, co każe im tańczyć wokół siebie... To coś, co kazało wyc wszystkim psom... i co pewnie jest związane z rzezią, która tu miała miejsce i z ludźmi, którzy ludźmi nie są...

– Musimy uciekać, Denis. Obojętnie, co między nami się wydarzyło, musimy uciekać. Razem. Daleko od tego czegoś... Do ludzi.

Denis uśmiechnął się.

– Zawsze uciekałem, Tomasz. Sylwia też była ucieczką. Ale, gdy się umyka, zawsze jest się ściganym. Zresztą, nie musicie już niczego szukać. Spójrz – wskazał ręką na drogę, którą weszli do wsi.

Była przegrodzona drutem kolczastym, za którym w porannej mgle widać było szare cielska transporterów wojskowych i samochód policyjny z włączonymi światłami.

Nieco dalej, za workami z piaskiem, stali żołnierze w wyplamionych mundurach i kilku cywili w płaszczach i z papierosami w ustach.

– Jolu! Dziewczyny! Budźcie się – krzyknął Tomasz i pobiegł schodami w dół. – Przyszła pomoc! Jesteśmy uratowani!! Budźcie się!

Denis zszedł powoli z wieży. Delikatnie potrząsnął śpiącym dzieckiem. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego.

Wziął ją na ręce i posadził na siodle, na którym powiesił też swój plecak.

Ze strzelbą w ręku, wyprowadził ogiera przez szeroko otwarte odrzwia.

Przed kościołem Tomasz i obie kobiety machały do tonącego w mgle, milczącego szeregu wozów bojowych.

Z drugiej strony, na horyzoncie wirowała obłąkańczo chmura ptaków, zaciemniając połowę nieba.

Trzymając konia za uzdę przystanął i spojrzał na ledwie widoczne zarysy ludzkich postaci, na białe plamy twarzy pod cieniem hełmów.

– Denis, biegnijmy do nich! Jesteśmy uratowani! Uratowani! Wszystko wróci do normalności... Przeżyliśmy! – Tomasz wziął kobiety za ręce i pobiegli w kierunku zapory.

Denis bez pośpiechu skrócił strzemiona. Ciężko wsiadł na konia i przytrzymał przed sobą dziecko.

Wodzami skierował zwierzę w przeciwną stronę.

Rozwibrowana chmura pękła na dwa mniejsze wiry, pomiędzy którymi pojawił się czerwony punkcik, jak nabiegłe krwią oko. Horyzont na wschodzie ściemniał, jak wieczorne jezioro.

Ścisnął końskie boki piętami i puścił się cwałem ku nadciągającej ciemności.

Marek Świerczek

debiutował w 2006 r. zajmując II miejsce w konkursie na opowiadanie grozy w „Nowej Fantastyce” i publikując opowiadania w „Alfred Hitchcock poleca”. W 2007 r. – wydał powieść „Bestia”, będącą próbą zaadaptowania klasycznego horroru anglosaskiego do polskiej tradycji narodowej. W 2008 r. wyjechał z RP. Wrócił w 2012 r., kiedy to wydał powieść pt. „Dybuk”, mającą w zamierzeniu być hybrydą powieści sensacyjnej z literaturą stricte historyczną.

Puzzlen

Ostatnie promienie zachodzącego słońca z gracją przedostawały się przez powykrzywiane korony drzew. Jego świetliste smugi delikatnie muskały śnieżną połąć pokrywającą wszystko w zasięgu wzroku. Biała, mroźna kołdra pobudzona nieśmiałymi muśnięciami słońca odpowiadała feerią iskrzących się barw kontrastując przy tym z nienaturalną martwością przeredzonego lasu. Większość drzew już od dawna się nie zazieleniła, trwały wyniszczone przez chorobę i mniejsze rośliny. Straszły odchodzącą korą oraz smutkiem i niepohamowaną złością emanującymi wprost z ich wnętrza. Jedynie nieliczne krzewy rosnące wokół obumarłych konarów wyglądały zdrowo. Takie właśnie były, lecz nie wiązało się to z posiadaniem większej wytrzymałości niż ich potężni kuzyni. W rzeczywistości te niepozorne krzaki, które czule obejmują pnie drzew, są czymś w rodzaju roślinnych wampirów wysysające energię z prastarych dębów. Próżno szukać w tym miejscu jakiegokolwiek zwierzęcia, gdyż wiedzione instynktem omijają szerokim łukiem te serce lasu – Kha. Tak jak gdyby wszelkie żywe istoty były magnesem, który zostaje mimowolnie odepchnięty przez ten sam biegun. Rzadko kiedy cokolwiek przerywało ogłuszającą ciszę będącą od zawsze domeną tegoż niszczonego terenu. Jednakże właśnie w tej chwili coś ośmieliło się po raz pierwszy od kilku lat zniszczyć całun – szczelnie otaczającej – ciszy. Pojawił się nagle, dochodził zewsząd i zarazem z nikąd. Niosący się echem, gnany wiatrem. Czasem można było rozpoznać w nim ciężkie dyszenie, czasem szloch i płacz. Rytmicznie do wtóru dochodziły trzaski łamanych gałęzi i skrzypienie śniegu, który zapadał się pod naporem grzęznących w nim kroków... Spomiędzy drzew wyłoniło się źródło hałasu – które od dłuższej chwili profanowało tę oazę ciszy. Była nim naga, zagubiona dziewczyna. Błada niczym duch niezgrabnie przedzierała się przez śnieżne zasy, jej drobne piersi podskakiwały w rytm nie pewnie stawianych kroków. Nienaturalną biel skóry zakłócały płytkie zadrapania rozmieszczone po całym ciele – szkarłatne ślady zachłannych krzewów, które niecierpliwie wyciągały swoje spragnione świeżej krwi kolce. Część z ostrych cierni dopięła swego i to właśnie dzięki nim niegdyś nieskazitelna skóra naznaczona została szpetnymi szramami. Prerażona niewiasta próbowała biec, lecz wszelkie tego próby kończyły się upadkiem wprost na śnieżny dywan. Po raz kolejny podniosła się z ziemi, tym razem z większym trudem niż ostatnio wyężdżając przy tym resztkę swych nadwątlonych sił. Podświadomie zdawała sobie sprawę z faktu, że właśnie od tego czy zdoła szybko wydostać się z tego przeklętego lasu, zależy jej życie.

– Nie zwariowałam, nie zwariowałam, nie zwariowałam... – powtarzała jak mantrę ostrożnie przechodząc nad spróchniałym konarem powalonego świerka. Gdy tylko pokonała tę przeszkodę zatrzymała się na chwilę, by móc się rozejrzeć i po raz kolejny przeanalizować sytuację. Nie do końca wiedziała gdzie jest, nie potrafiła także pojąć dlaczego mimo zimowej pory jej nagie ciało nie odczuwa chłodu. Z początku bardzo ją to niepokoiło, jednak z biegiem czasu niepokój został wyparty przez grozę, która z wolna wypełniała jej serce. Czuła całą sobą, że jest obserwowana, śledzona. Gdyby ktoś ją spytał dlaczego tak uważa, to nie potrafiłaby jednoznacznie odpowiedzieć na zadane pytanie. Jej intuicja wyraźnie ją ostrzegała a wzięwszy pod uwagę fakt, że znajduje się w nieznanym miejscu, bez ubrań oraz wspomnień, wołała nie poddawać w wątpliwość słuszności tych podszeptów. Błękitne oczy uważnie przeczesywały otoczenie próbując zlokalizować przyczynę jej niepokoju. Przeklinała w myślach zachodzące słońce, gdyż szarość kończącego się dnia znacznie jej to utrudniało. Nagle jej uszu dobiegł szelest poprzedzony odgłosem łamanych gałęzi. Źródło dźwięku znajdowało się gdzieś z prawej strony, skryte w cieniu. Dziewczyna zmusiła obolałe stopy do kolejnego wysiłku. Teraz jedynym celem była ucieczka z tego niekończącego się koszmaru – opatrzeniem ran zajmie się później. Byle znaleźć się dalej od TEGO, byle dalej od strasznych dźwięków. Prerażona raz za razem odwracała głowę w chwilach gdy nieznanne złowrogie szepty oraz szelesty tańczących gałęzi wypełniały przestrzeń. Wiedziała, że warto posłuchać instynktu. Teraz, gdy fizycznie doświadczyła źródła swych lęków – w postaci zbliżających się odgłosów – odczuwała większą motywację w odnalezieniu wyjścia z Kha. Szepty ją otaczały. Las zdawał się gęstnieć a ból pokaleczonego ciała stawał się nie do wytrzymania, jednak najgorszym było przeczucie, że COŚ się z nią bawi... goni ją niczym kot szarą, umęczoną myszkę.

– Dopadnie cię, zobaczysz. – Krzewy znów zaczęły nucić znienawidzone przez dziewczynę słowa. Starła się na nie wyłączyć, lecz nie było to takie proste tym bardziej, że strach zaczynał przejmować nad nią kontrolę.

– Zostawcie mnie, proszę. – Wyszepiała płacząco ciężko przy tym dysząc.

– My cię zosstawimy, on cię dopadnie! – nieznanne głosy znów poniosły się echem po okolicy.

– Dłacz... aaaaa! – krzyk przepiętny bólem wyrwał się z ust Beaty. Po chwili dołączyły do nich odgłosy łamanych gałęzi i skrzypiącego śniegu.

– Potknęła sssię, o nasss sssię potknęła – szepty przemieniły się w karykaturę przeszywającego rechotu. Mroczne duchy bawiły się nieszczęściem swej ofiary. Dziewczynie nie było do śmiechu. Trzymała się za bolącą kostkę a łzy spływały jej po policzkach. Nieznacznie oczyszczając je z brudu i krwi. Skulona wpatrywała się w przestrzeń. Zrezygnowana poddała się losowi.

– Wiedziałam, że nie ucieknę... – szeptała kotysząc się na boki – wiedziałam...

– Wiedziałaśśś, a jednak uciekałaśśś. – Trwożne głosy powróciły.

– ON jest już blissko – ostatnie słowa zagłuszyło odległe wycie wilka.

W jednej chwili na las opadł całun ciemności, w tajemniczy sposób blokując resztki gasnącego dnia. Szepty ustały, a ciało bladej niewiasty nagle objął przeraźliwy chłód... Beata w wszechogarniającej ciszy wyczuła czyjąś obecność. Coś groźnego i nieludzkiego stało przed nią. Uniosła rozedrgane spojrzenie spomiędzy kolan ku, jak jej się zdawało, tajemniczemu gościowi. Ujrzała zakapturzoną postać ubraną w czerń. Jej oczy emanowały lodowato niebieskim światłem, stała przesywając – drżącą ze strachu dziewczynę – swym głębokim spojrzeniem. Niewiasta czuła jak jej krew stopniowo zamarza w żyłach. Chciała coś powiedzieć, jednak ciało odrętwiałe strachem, bólem i chłodem jej nie słuchało.

– Przywitaj się ze Śmiercią. – Głos pozbawiony wszelkich emocji ranił niczym sztylet wbity prosto w serce. Spowity ciemnością wysunął przed siebie kościstą dłoń, w której niespodziewanie zmaterializowała się kosa. dziewczyna zdążyła jeszcze ujrzeć jak kostucha unosi narzędzie mordu, by po chwili opuścić ją na bladą szyję...

– Neeee! – Beata obudziła się z krzykiem, jej czoło perliło się kropelkami potu.

– Znów ten sen... – Wzdrygnęła się na samo wspomnienie o przeżytym koszmarze. Odgarnęła złote loki, które uparcie chciały przywitać się z jej błękitnym okiem. Odwróciła delikatnie głowę w stronę szafki nocnej.

– Co! Znowu zasnęłam?! – wrzasnęła, spoglądając z wyrzutem na czerwony, staromodny budzik.

– Zawaliłeś, znowu... dałam ci szansę a ty co? Nie budzisz mnie! – zerwała się z krzykiem strącając z szafki przyczynę swego gniewu. Zegarek, pikując ostro ku ziemi, zmierzał ku swojemu przeznaczeniu. Wczorajszy podobny lot przetrwał dzięki kołdrze, która zsunęła się z łóżka. Dzisiejszy, okazał się mniej fortunny. Beata odwróciła się na dźwięk tłuczonego szkła i towarzyszącemu mu metalicznego dźwięku, nieznacznie tylko zagłuszonego przez gumowe linoleum, które ścieliło podłogę.

– Trzecie spóźnienie, do tego wszystkiego roztrzaskałam budzik – stwierdziła ponuro, po czym pośpiesznie przebiegła wzrokiem pokój w poszukiwaniu czystych ubrań. Ta zdawałoby się prosta czynność okazała się niezwykle mozolną pracą. W powietrzu co rusz latały przerzucane ciuchy nie spełniające jej oczekiwań, aż w końcu triumfalnym gestem uniosła żółtą wymiętą bluzkę, sprane dzinsy oraz czarne koronkowe stringi.

– Stanik, gdzie jest stanik? Przecież nie wyjdę bez niego... Pomyślała przeszukując kolejne szuflady.

Beata była baristką pracującą w pobliskiej kawiarni. Nie zarabiała dużo, więc nie stać ją na nic więcej prócz obskurnej kawalerki. Zresztą, gdyby nawet mieszkała w willi to prędzej lub później zamieniłaby ją w pobjowisko. Już teraz – a mieszka tu, zaledwie miesiąc – te małe mieszkanie wygląda jak po walkach kogutów. Wszędzie leżą porozrzucane śmieci i ubrania, a wśród nich krzątająca się półnaga i zasnana – bądź co bądź ładna – dziewczyna. Na wyświetlaczu niedziałającego magnetowidu zielone diody leniwie zmieniły się z godziny 9.15 na 9.16 zwiastując wizytę na dywaniku szefa połączoną z trudną rozmową o etyce pracy. Inni pozbyli by się tak archaicznego i w dodatku uszkodzonego ustrojstwa, lecz nie Beata, która po prostu lubuje się w takich starociach.

Trzask zamykanego zamka rozległ się na korytarzu, towarzyszył mu przyśpieszony oddech i nerwowe ruchy kobiecych dłoni. Szybkie spojrzenie na różowy zegarek nie uspokoiło sytuacji.

– Teraz biegiem do pracy, jest 9.40. Mam być w Cafe Louis o 10.00. Mark mnie zabije...

Z ponurych myśli wyrwał ją telefon dzwoniący w małej beżowej torebce. Jego nastrojowa melodyjka „hej dude” rozbrzmiała echem na pustej klatce schodowej.

– Tak mam, co się stało? – Odebrała wymijając sąsiadkę z czwartego piętra. Starsza, zawsze życzliwa kobieta tym razem potraktowała ją piorunującym wzrokiem. Jak bym czemuś zawiniła – pomyślała wybiegając z bloku. Wiosenne słońce momentalnie ją oślepiło. Pierwszy raz od wielu dni nie padało, kwietniowy poranek wręcz napawał optymizmem. Ludzie wychodzący ze sklepów mieli niepowtarzalną okazję pooddychać ciepłym wiosennym powietrzem. Ich uwagę przykuła drobna blondynka trzymająca telefon przy uchu zgrabnie przy tym omijając pieszych oraz inne przeszkody. Słupy, ławki, kubły na śmieci nie sprawiały biegnącej żadnego problemu, może to i dobrze? Co, by to było, gdyby nie zauważyła takiej na przykład latarni? Zapewne większości z nich, skojarzył się ten wyczyn

ze slalomem narciarskim, z tym, że brakuje śniegu no i nart.

– Czemu sapie? Bo biegnę... – westchnęła zirytowana do słuchawki.

– Tak, wiem, marnuje się. Nie, nie wrócę do niego! – odwarknęła wywołując większą wrzawę wśród przechodniów.

– Chyba już o tym rozmawialiśmy? Miał swoją szansę i jej nie wykorzystał. A ja sobie sama, doskonale radzę. Mam wspaniałe mieszkanie z pokojem, łazienką... no i pracę. Czego chcesz więcej? – ciągnęła

– Praca jak każda inna! Co z tego, że moim szefem jest przyszywany brat? – warknęła groźnie do słuchawki.

– ... wcale się nie denerwuję i obiecuję, że wpadnę do Ciebie jak znajdę chwilę, Pa! – rozłączywszy się wrzuciła telefon z powrotem do torebki z chwilą dotarcia na przystanek. Bez żadnego ostrzeżenia czarne myśli wypłynęły z najmroczniejszych zakamarków jej duszy, zastanawiała się głęboko, czy to właśnie dzisiaj ostatni raz założy fartuszek baristy, czy znów będzie musiała zamieszkać z matką? W końcu czekając na autobus znalazła chwilę, aby odsapnąć i przyrzeć się otoczeniu. Bardzo jej brakowało przyjaciółek z liceum. Te czasy, kiedy bez wstydu i skrpułów mogły przyglądać się przechodniom, obgadywać i wyśmiewać na głos ich stroje, uczesanie, styl bycia. W sumie teraz też tak mogła ale była sama, bez wsparcia znajomych. Jakby na to nie patrząc 23 lata na karku też do czegoś zobowiązywały. Dopiero po niespełna chwili spędzonej na wypatrywaniu autobusu, w zmysły Beaty uderzył intensywny zapach jedzenia. Dobiegał z przydrożnej budki z hot dogami, która znajdowała się tuż przy przystanku.

– Wystarczy przejść parę metrów, by móc cieszyć się smakiem śmieciowego jedzenia, pomyślała walcząc z przemożną chęcią pobiegnięcia wprost w czułe objęcia sprzedawcy w poplamionym fartuchu. Byle tylko dostać tę jedną – prawdopodobnie starą – bułkę z parówką. Napis na szyldzie nie brzmiał zachęcająco, w końcu hasło „Najlepsze Dogi W Mieście” był bardzo faux plait, przynajmniej w mniemaniu osoby gustującej w starociach i systematycznie spóźniającej się do pracy. Jeżeli dodać do tego przybrudzoną czerwień hotdogarni, której barwa gdzieś niegdyś przypominała zaschniętą krew, to otrzymamy niezbyt ciekawe miejsce na zakup jakiegokolwiek posiłku. Kiszki grające marsza pogrzebowego i zniwalaający aromat zdecydowanie pokonały estetyczny zmysł Beaty. Prawdę powiedziawszy pokonałby każdego człowieka znajdującego się w podobnej sytuacji i będącego tak samo zdesperowanym. Beata czuła coraz wyraźniej jak żołądek boleśnie domaga się wepchnięcia w jego opastne czeluści kilku parówek. Szykując się by podejść do budki z rozpaczą zdała sobie sprawę z tego, że po raz kolejny w całym tym pośpiechu zapomniała o innych czynnościach, które znajdują się w jej prywatnym drzewku hierarchii na równi ze śniadaniem. Zahipnotyzowana cudownie kuszącą wonią oraz zmuszona koniecznością postanowiła w końcu skierować swe kroki ku hotdogowemu rajowi. Zastanawiała się przy tym jak przeżyje ten dzień bez kąpieli, makiżażu i jej kochanej jajeczniczy na boczku. Beata nie bała się, że nie zdąży kupić fast fooda nim przyjedzie jej autobus. Znała tę linię na tyle dobrze by wiedzieć jakie ma nikłe szanse na punktualny przyjazd autobusu. Bardziej obawiała się, iż Marco – jej przyrodni brat i zarazem szef tym razem nie przyjmie żadnych usprawiedliwień. Z tą ponurą wizją stanęła przed obskurną, śmieciową budką z pseudo hotdogami.

– Co podać? – ni to chrząknął, ni zapytał młody chłopak. Jego ciemna karnacja wyraźnie kontrastowała z jasnymi, musztardowymi plamami widniejącymi na postrzępionym fartuchu.

– Może hot doga, bo chyba hot cata nie macie? – spytała z przyklejonym uśmiechem, zastanawiając się, czy aby nie przedobrzyła z sarkazmem. Z drugiej strony istnieje szansa, że chłopak nie jest na tyle bystry by wyłapać tę szczyptę jadu – dopowiedziała sobie w myślach. Omiotła spojrzeniem jego obsianą pryszczami twarz i zmętniałe oczy. Stwierdziła, iż chłopaczek z pewnością nie pałała inteligencją.

– Niestety kotów od dawna nie podajemy, ponieważ psy, które hodujemy skutecznie odstrasza ją z pobliskich uliczek – odparł spokojnie, świdrując Beatę swymi piwnymi oczyma.

– Zostały tylko francuskie, po pięć złotych – dopowiedział z triumfalnym uśmiechem. Dumny z powodu speszenie nieuprzejmej klientki.

Bosko – pomyślała zdruzgotana baristka. Nie dość, że dzień zaczął mi się fatalnie to jeszcze musiałam się ośmieszyć przed zabrudzonym i gburowatym sprzedawcą. Ci inteligentni powinni mieć jakieś plakietki – wykrzyknęła w myślach, starając się ukryć całą frustrację przed hot dogowym facetem.

– Podać? – upewnił się uśmiechając się coraz szerzej.

Skruszona dziewczyna potaknęła. Odgarnąwszy włosy wydobyła z kieszeni odpowiednią kwotę. Podała ją chłopakowi, gdy jej uszu dobiegł dzwonek oznajmiający zamykanie autobusowych drzwi. Odwróciła się przestraszona gotowa do biegu. Na szczęście szybko dostrzegła, że to nie jej linia. Z głębokim westchnięciem sięgnęła po zamówionego hot doga.

– dziękuję – odburknęła, marząc by jak najprędzej znaleźć się daleko stąd, Najlepiej z powrotem w swoim łóżku.

– Prosszę, ssssmacznego – wysyczał zimno.

Beata mocno zdezorientowała, zamarła z szeroko otwartymi ustami nie wierząc w to co usłyszała i co ujrzała. Zdawało jej się, że do słownie na ułamek sekundy twarz nieznanego przybrała zupełnie inny, obcy wyraz. Ogarnął ją cień, przez który przebijał się blask jaśniejących oczu.

– Prz, prze... przepraszam? Co powiedziałaś? – Wysapała z trudem, czując jak zaczyna tracić panowanie nad samym sobą.

– Proszę, smacznego. Czy wszystko w porządku – Spytał zatroskanym tonem, wycierając ręce w podniszczony fartuch. Jego wygląd nie wykazywał żadnych niepokojących zmian. Pomijając te chorobliwe pryszcze...

– Tak, przepraszam – powiedziała z niepokojem, odwracając się w stronę przystanku. Nie potrafiła wyjaśnić tego co się stało, chociaż bardzo próbowała. Przyśpieszyła kroku widząc jak z zakrętu wyjeżdża jej autobus.

– Dziesięć minut spóźnienia, i tak nie najgorzej – szepnęła. Chaotyczne myśli nie dawały jej spokoju. Po krótkim czasie znalazła się w pojeździe, wciąż przetwarzając to co się wydarzyło. Jedynym sensownym wytłumaczeniem, było przemęczenie w końcu te ciągłe gontwy i stesy związane z pracą musiały jakoś dać znać o sobie. Lekko uspokojona, chociaż i tak dalej roztrzęsiona zajęła jedno z licznych wolnych miejsc. Siedziała co niezwykle ją cieszyło tym bardziej, że miała hot doga do zjedzenia a żołądek coraz wyraźniej domagał się ofiary. Ciesząc się swym pierwszym posiłkiem całkowicie zapomniała o niemiłym incydencie. Nie przerywając jedzenia wyciągnęła z torebki telefon. Po czym z lekkim drżeniem rąk wybrała numer swojego szefa. Nie lubiła z nim rozmawiać nawet gdy był w anielskim nastroju, tym bardziej teraz gdy pewnie wychodził z siebie i stawał obok. Właśnie ta myśl zmobilizowała Beatę do rozłączenia się jeszcze przed usłyszeniem pierwszego sygnału.

– „Lepiej będzie z nim porozmawiać twarzą w twarz, może łyzy jakoś go ułagodzią” – myślała, wgrzyzając się w parówkę. Autobus zatrzymał się na kolejnym przystanku.

– Jeszcze tylko dwa dzielą mnie od spotkania z rozjuszoną bestią – zaśmiała się nerwowo uważnie przypatrując się nagłym poruszeniem wywołanym przez biednego pijaczka. Próbował się wtoczyć do autobusu potrącając przy tym wysiadających. Miał pecha, gdyż trafił na jakiegoś nerwowego chłopaka. Niestety doszło do szamotaniny na chodniku, ostatnie ciosy obserwowała w ruchu – kierowca odjeżdżał udając, że niczego nie widzi. Beata poczuła jak prawa ręka zaczyna jej delikatnie drętwieć. Nieprzyjemne mrowienie poczęło się rozchodzić wzdłuż dłoni i promieniować aż do łokcia. Wykrzywiona grymasem sięgnęła drugą ręką, by rozmasować nieszczęsne mięśnie. W tej samej chwili, w której dotknęła obolałej ręki poczuła coś twardego i poruszającego się. Dziwne mrowienie przeniosło się również na drugą rękę. Zaniepokojona odwróciła głowę od szamotaniny, której się przyglądała. Spojrzała ostrożnie na swoje dłonie i zamarła w niemym przerażeniu. Jej oczom ukazały się setki małych, czarnych insektów. Wychodziły z resztek nieszczęsnego hot doga i drapiąc swymi odnóżami wspinały się po jej rękach. Próbowała krzyknąć, lecz nie była w stanie. Z jej otwartych do krzyku ust wyłoniły się kolejne zastępy insektów. Czuła jak drapią jej gardło, przechodząc po jej języku niczym po czerwonym hollywoodzkim dywanie. Rozdygotana zerwała się na nogi, wyrzucając resztki jedzenia i próbując otrzepać się z nieprzyjemnych owadów. W szale zaczęła skakać po wnętrzu autobusu, wypluwając z ust robactwo. Nie było nikogo kto mógłby jej pomóc, ponieważ jak się okazało znalazła się sama w jadącym pojeździe. Wydało jej się to dziwne, była pewna, że oprócz niej jechało tą linią co najmniej kilka innych osób.

– „Kierowca” – pomyślała.

– „Kierowca mi pomoże” – potruchtała zataczając się w stronę kabiny a czarna zguba szła za nią, niczym mrówki za swą królową. Była już blisko. Zaledwie parę kroków dzieliło ją od celu gdy zgięła się wpół z bólu i torsji, które nagle wstrząsnęły jej organizmem. Przykucnęła gwałtownie, wyrzucając z siebie całą zawartość. Z rozpaczą stwierdziła, że wymiotuje tymi paskudnymi robalami. Po długich minutach męczarni podczołgała się do drzwi kierowcy. Odwróciła się tylko na chwilę by stwierdzić z niejaką ulgą, że jej koszmar mający tysiące małych nówek przestał ją ścigać. Klębił się na podłodze chaotycznie i nieokiełznanie. Już nie podążał jej śladem. Nie mając siły się podnieść zapukała w drzwiczki, oddzielające ją od wybawienia. Odpowiedziała jej cisza, zastukała po raz kolejny wydając przy tym bliżej nie określony jęk. Znowu żadnej reakcji. Opuściła głowę. Nagle w pomieszczeniu zrobiło się przeraźliwie zimno, chrobot przebiegających nówek się nasilił, a chłód stał się tak wyraźny, że każdy oddech wytwarzał kłęby pary. Załamiona odwróciła się w stronę wielkiej insektowej plamy. Z wysiłkiem oparła się plecami o ścianę trzymając dłoń na wciąż bolącym brzuchu. Ciekące łyzy zaczęły skapywać z jej drżącej brody. Rozmazanym i mętным wzrokiem z rosnącą grozą obserwowała jak znienawidzone owady przekształcają się w wysoką czarną postać. Nowo powstałe ciało drgało wraz z ruchem owadów, które nań się składały. W miejscach gdzie powinny znajdować się oczy zionęła pustka. Zdawało się, że nicość zagląda wprost w jej duszę. Beata poczuła jak coś silnie chwyta ją za serce. Ból wypełnił jej pierś, zdołała jedynie żałośnie jęknąć.

– Pamiętaj o mnie! – metaliczny głos wydobył się z wnętrza przeraźliwej istoty.

– Wkrótce po Ciebie przybędę, nie uciekniesz... śmierci nie można uciec – po wypowiedzeniu ostatnich słów Kostucha eksplodowała rozrzucając swoje sługi po całym autobusie. Potem zapadła ciemność.

Ciało nagiej kobiety unosiło się pośrodku pustki. Promieniowało delikatnym blaskiem nieznacznie rozpraszając mrok, z pozoru, pustej przestrzeni. Na pograniczu światła i ciemności coś bezszelestnie się poruszało otaczając świetlistą niewiastę. Z oddali wyglądała niczym anioł w siedlisku demonów. Włosy Beaty nieznacznie drgały dzięki wibracjom poruszających się cieni. Niewiasta gwałtownie otworzyła oczy. Próbowwała się poruszyć, lecz opętana nieznanymi mocami leżała zawieszona w samym centrum nicości. Swymi oczyma, dostrzegała tylko to co znajdowało się nad nią. Nie można powiedzieć by była zachwycona tym faktem, gdyż na granicy nieznannej jej jasności dostrzegała szamoczące się cienie. Ciche, chaotyczne emanujące nienawiścią. Trudno powiedzieć co bardziej napawało ich rządzą mord... Obca im jasność, czy też obiecana przez mistrza niewiasta. Beata próbowała poruszyć koniuszkami palców, okazało się to niemożliwe. Podobnej próbie zostały poddane pozostałe części ciała. Potrafiła ruszać jedynie gałkami ocznymi oraz ustami, chociaż to drugie ze znacznym trudem. Nagle – zupełnie niespodziewanie – przestrzeń wypełnił ciepły i znany głos. Dochodził zewsząd. Niecierpliwie stworzenia przestały się kotłować, wręcz zamarty w oczekiwaniu.

– Słońce moje najdroższe, nie bój się – Dobrze znała właściciela tego głosu. Samo wspomnienie barczystej postaci, przyprawiło ją o szybsze bicie serca. Jej oczy zaszkliły się mimowolnie, a w gardle urosła kula powstrzymanego szlochu.

– Ta... tato? – Wyszeptała. Cienie usłyszawszy jej zachrypły głos, poruszyły się nieznacznie tylko po ty, by po ułamku sekundy znów znieruchomieć. Jej ojciec do niej mówił. Nie potrafiła w to uwierzyć. Odszedł tak dawno z jej życia, zniknął. Szarpnęła głową by rozejrzeć się dookoła. Jej ciało ani drgnęło skutecznie powstrzymywane przez obcą siłę.

– Tak kochanie, to ja – odparł a jego głos, wydawał się wyzbyty wszelkich emocji.

– Dzi... ją się t.. ak dziwne rze.. – Beata mówiła ze znacznym trudem, wzruszenie oraz częściowy paraliż robiły swoje.

– Zabronili mi mówić o wszystkim... – jego córce wydawało się, że usłyszała w tych słowach głęboki smutek.

– Ale wiedz, że jeszcze przez chwilę będziesz bezpieczna.

– Ale..

– Nic nie mów, słuchaj! – przerwał jej, rozjuszony. Światło otaczające jego córkę, nieznacznie zadrgało. Przygastało, by po chwili rozbłysnąć z nową siłą. Beacie zdawało się, że nie jest już tak bardzo intensywne. Z niepokojem spostrzegła, że cienie otoczyły ją ciaśniej.

– „A może po prostu wyobraźnia płata mi figle?” – pomyślała.

– Beato, znajdujemy się wewnątrz twojego snu. Jeszcze przez chwilę, będziesz tu bezpieczna. Twój czas się kończy i... niestety zlecenie na ciebie przyjął najgorszy z najgorszych.

– Khaki czas? khakie zlece... – nie zdążyła dokończyć, ponieważ Mariusz nie zważając na jej słowa kontynuował swój wywód

– Mogę jedynie go opóźnić. Chociaż i tak nie masz zbyt wiele czasu... – westchnął przeciągle. Nie mogę ci dogłębnie wszystkiego wyjaśnić. Jednakże możesz się uratować, potrzebujesz przedmiotu, który ma Mark. Chodzi o...

Głos jej ojca rozmył się w przeraźliwym pisku. W jej zmysły uderzyło ostre światło, oraz wrzawa nakładających się na siebie dźwięków.

– Proszę, pani. Nic pani nie jest!... mówię wam, że jest naćpana. Zemdlała z głodu chudzinka taka... zadzwonię na pogotowie.. nie dzwoń, budzi się! – do wtóru obcych głosów dołączyło szarpanie i lekkie poklepywanie po policzkach

– Budzi się, będzie żyć! – ktoś krzyknął radośnie. Beata otworzyła oczy. Leżała na podłodze autobusu, wokół niej znalazło się kilka osób.

Niektórzy patrzyli na nią z politowaniem, inni z autentyczną troską. Potrząsającą osobą okazał się kierowca.

– Wszystko w porządku? Wezwać karetkę? – zapytał spokojnie, obserwując ją uważnie.

– N.. nie dzwońcie. Już wstaję. – Mówiąc to, ostrożnie podniosła się na nogi. Nagle powróciły wspomnienia ostatnich minut – przynajmniej miała nadzieję, że nie minęło więcej czasu.

– Owady, setki... czarne! Gdzie są?! – wykrzyczała z szeroko otwartymi oczami.

– Miała pani koszmar, proszę się uspokoić – kierowca starał się przyjąć najbardziej łagodny tembr głosu na jaki było go stać.

– „ta, koszmar” – pomyślała, – „to było rzeczywiste, koszmar a w zasadzie sen był zupełnie inny...” – dopowiedziała w myślach. Z rozpaczą uświadomiła sobie, że wpadła w bagno, z którego ciężko będzie się jej wykaraskać. Jeżeli nie postradała zmysłów – a wierzyła, że była zdrowa na umyśle – to jedyną deską ratunku był Mark, a raczej jakiś przedmiot, który posiada.

– Tylko jaki? – westchnęła, ciężko siadając na podłodze. Schowała twarz w dłonie i zaczęła zanosić się płaczem. Płakała nad sobą, swą bezsilnością, zgubą i faktem, że nie dowiedziała się od ojca najważniejszej rzeczy. Przedmiocie, który miał zdecydować o życiu lub śmierci. Przez chwilę naszała ją myśl, że może faktycznie postradała zmysły, lecz zauważyła małego czarnego owada chodzącego po jej ręce, szybko rozwiał wszelkie wątpliwości. Rozpłaszczyła go z nieokiełznaną satysfakcją, wciąż przy tym łkając. Ludzie stali bezradni wokół niej. Zdezorientowani nie do końca wiedzieli co mają zrobić. Wtem, po autobusie rozniósł się dźwięk melodi „hey dude”. Wyciągnęła telefon z torebki, zerknęła na wyświetlacz.

– Mark – wyszeptała przetykając łzy. Wiedziała, że wszystko jej wygarnie i nie chciała odbierać. Jednakże sen z głosem jej ojca był jednoznaczny. Tylko Mark mógł jej pomóc.

Z trwogą odebrała komórkę...

Nie podobała się jej ta rozmowa, prawdę powiedziawszy wolałaby rzucić się pod pociąg niż odebrać wtedy ten telefon. Miała jednak przecucie graniczące z pewnością, że tylko dzięki Markowi zdoła rozwiązać swoje bieżące problemy. Siedząc u swojego szefa w biurze rozmyślała nad wszystkim co spotkało ją ostatnimi czasy. Szybko doszła do wniosku, że jej życie za bardzo się skomplikowało. Pomieszczenie zaadaptowane na biuro, było niewielkich rozmiarów, kształtem przypominał wydłużony prostokąt, lub korytarz... wąski ale i długi zarazem – równie dobrze mogłoby spełniać rolę składzika na szczotki i miotły. Zewsząd otaczały ją nagie, beżowe ściany, które miały za zadanie rozjaśnić tę drobinę przestrzeni. Była sama. Mark, po krótkiej rozmowie telefonicznej wykazał się niespotykaną jak na niego dobrocią i przyjechał po nią służbowym samochodem. Zdziwiła się, ponieważ nigdy nie wykazywał się takimi gestami.

– „Czyżby coś wyczuł, wychwycił coś w moim głosie?” – zastanawiała się nad tym przez chwilę, po czym przestała zaprzętać sobie tym głowę, miała ważniejsze problemy do rozwiązania. Żałowała, że tak szybko wyszedł z biura, w samochodzie nie miała ochoty na rozmowę... jak na ironię teraz, gdy zapragnęła się wypłakać, wyzalić... Gdy chciała się upewnić, że nie oszalała to go nie było.

– Akurat teraz musiał go ktoś poprosić! – Pisnęła, potrząsając nerwowo głową. Wstała gwałtownie z krzesła z zamiarem dokładniejszego rozejrzenia się po pomieszczeniu. Po lewej stronie znajdowały się drzwi przez które zniknął jej przyszywany brat. Na początku chciała tak po prostu przez nie wyjść, lecz zrezygnowała z tego pomysłu. Mark prosił bym tu została, co prawda był dziś wyjątkowo miły, ale coś w jego głosie mówiło jej, że nie warto z nim zadzierać. Pewnie i tak czeka ją bura i to porządna więc nie chciała pogarszać swojej sytuacji. W pomieszczeniu oprócz wyblakłych drzwi znajdowało się też dość obszerne biurko – przynajmniej takie sprawiało wrażenie w tym maleńkim pokoju – , na którym stał włączony komputer oraz krzesło biurowe. To właśnie tam skierowała swoje kroki zaintrygowana rozłożoną układanką na blacie. W miarę zbliżania się zauważyła, iż są to drobne puzzle. Zaciekawiona usiadła przy biurku.

– Skoro i tak czekam na niego, to może pomogę mu z tą układanką – wyszeptała do siebie.

– Ughhh, jak ja żałuje, że nie potrafię obsługiwać komputera – dodała z rozdrażnieniem – tak przynajmniej mogłabym jakiś film puścić, albo w grę zagrać.

Zrezygnowana podparła swoją głowę i zaczęła przekładać drobne kawałki układanki. Niezwykle jej się podobały ze względu na kolor. Były w odcieniach szarości a ona uwielbia takie klimaty. W końcu była młodą tradycjonalistką, kochała starocie, zdjęcia w sepii i właśnie dlatego posiadała w domu staromodny budzik. Miało to swoje plusy, niestety minusem było to, że kompletnie nie znała się na nowoczesnych urządzeniach. Kiedyś próbowała się z nimi zaprzyjaźnić, niestety zwykle źle się to kończyło. Dość sporo elementów zostało już ułożonych. Rysunek, który się wyłaniał z chaosu przedstawiał dwa łabędzie stykające się dziobami ich szyje wyglądały jak zarys serca.

– Oh, jak romantycznie – wyszeptała sarkastycznie próbując dopasować drobny element do ułożonej części. W skupieniu przykładała

kawałek puzzla do kolejnych i nie szło jej zbyt dobrze.

– Chyba Pan ze mnie żartuje! – jej uszu dobiegł stłumiony głos z za drzwi. Na chwilę uniosła głowę i nasłuchiwała.

– Nie zapłacę za to! To nie kawa, tylko jakieś błoto! – obcy głos wyraźnie przybierał na sile, widać ktoś dostawał szewskiej pasji. Beata uśmiechnąwszy się lekko znów wróciła do swojej pracy.

– Proszę Pana, to nie błoto tylko najlepszej jakości kawa! – O słyszę, że Mark również się zdenerwował. Dobrze... przynajmniej mniej energii wyładuje na mnie – szepnęła z zadowoleniem. Beata podobnie jak rozmówcy zza drzwi, nie charakteryzowała się anielską cierpliwością. Była coraz bardziej zirytowana na niedający się dopasować puzzle. W pewnym momencie zgmiotła go w dłoni, po czym z wściekłością cisnęła nim o ziemię.

Najpierw poczuła dziwny zapach. Na początku skojarzyła go z uryną, szybko jednak upodobił się do woni siarki. Drażnił jej nozdrza. Zaniepokojona zerwała się z krzesła i pobiegła do drzwi. Rozglądała się po drodze szukając źródła nieprzyjemnego zapachu. Niestety nie potrafiła go nigdzie umiejscowić. Energicznie nacisnęła na klamkę ale nic się nie stało.

– „Była zamknięta! Mark ją zamknął!” – myślała chaotycznie.

– Mark, otwórz, otwórz proszę! – Krzyczała waląc pięściami w odrzwia. Te ani drgnęły.

Wtem pokój pogrzyżył się w ciemności. Jedynym źródłem światła był zniszczony element układanki na podłodze.

– Beata?! Beata co się dzieje? Czemu drzwi są zamknięte! – Dziewczyna poczuła szarpanie klamki i wyraźnie wykrzykiwane zdania swojego brata. Nie odpowiedziała, nie miała na to siły. Osunęła się na podłogę w ciemności dostrzegając tylko jarzący się bielą puzzle. Przywarła plecami do ściany i gotowa na wszystko czekała na nieuniknione. W kącikach jej oczu pojawiły się łzy.

– Niiieeee, ssssspóźniłaś sssssię – usłyszała znajomy, złowrogi szept. Jej serce zdominowane strachem omal nie wyrwało się z drobnej piersi.

– Milcz! Teraz ja ją przejmuję! – Tubalny głos wypełnił przestrzeń. Przepętniony mocą, przyprawiający o dreszcz.

Beata ujrzała jak z jasnej plamy ulatnia się dym, minęła zaledwie chwila by dym przybrał postać potężnie zbudowanego człowieka, ubranego w czerń. Patrzył na nią swoimi zimnymi żółtymi ślepiami.

– Almarze, nie zdążyłeś, odejść więc! – rozkazał postaniec śmierci.

– Zginiesssz, dziewczyno będę pamiętał... zginiesssz. Jessst twoja Miro. – zniechęcony szept przyprawił ją o mdłości.

Zdezorientowana Beata wpatrywała się zahipnotyzowana w żółć tajemniczych oczu. Zastanawiała się co się dzieje i kim jest, poznała odpowiedź nim zdołała wypowiedzieć pytanie.

– Jestem Miro, wysłannik śmierci. Zostałaś wybrana przez Twojego ojca. Niestety... z pewnych przyczyn nie mógł się tu pojawić. – Postać westchnęło ciężko. Lecz ani drgnęła stała niczym posąg nieznanego Bóstwa.

– Mój ojciec? On... przecież prze... przepadł – wyjąkała słabo.

– Owszem, teraz przepadł. Przedtem został powołany, podobnie jak Ty. Nie musisz się zgadzać, jednakże biorąc pod uwagę Twoją sytuację to nie masz wielkiego pola manewru.

– Jaką sytuację, jak przepadł, wybrana do czego czy...!

– Milcz! – przerwał jej gwałtownie – słuchaj uważnie, bo czeka Cię trudny wybór .

Beata zamknąwszy usta czekała na wyjaśnienia potężnego człowieka. Wolała mu się nie sprzeciwić, nie chciała tak szybko tracić swego życia. Dziewczynę zastanowiła cisza, oprócz ich głosów nie potrafiła wychwycić niczego innego a przecież, tak niedawno Mark krzyczał i dobijał się do drzwi...

– Jak już mówiłem, jestem wysłannikiem Śmierci. Jest nas wielu i każdy zostaje wybrany do służby. Twój ojciec był... jest jednym z Nas. Każdy z nowo powołanych ma za zadanie wybrać kandydata na kolejnego pomocnika. Jednak, żeby nie było łatwo nowo powołani mu-

szą zaproszenie ukryć, zaszyfrować. Różne osoby stosują różne metody. Twój ojciec ukrył zaproszenie w tych oto puzzlach. Aktywacja była możliwa poprzez zniszczenie, któregośkolwiek elementu. Chociaż i byli też więksi dowcipnisie... – szepnął – Nadążasz?

– Taa..taak – odpowiedziała z trudem, nie dowierając w to co słyszy. – Ale dlaczego jest was tak wielu i kto mnie ścigał, dlaczego mnie...

– Ścigał cię jeden z najgorszych wysłanników, męczy swoje ofiary psychicznie – czerpie z tego radość. Twój czas dobiega końca, dostał na Ciebie zlecenie, a że nie może wykonać egzekucji przed upływem wyznaczonego czasu to bawił się z tobą niczym kot z myszką. – wyjaśnił rzeczowo, Beata już chciała zadać kolejne pytanie, lecz Miro jej na to nie pozwolił.

– Jest Nas wielu, ponieważ Śmierć sam jeden nie zdoła obsłużyć wszystkich potencjalnych klientów. ON zajmuje się tylko Vipami. Płotki, takie jak ty – dodał z szyderczym uśmiechem – są przekazywane pomocnikom. Tak się to wszystko kręci. – skończywszy przemowę przestąpił z nogi na nogę.

– „poruszył się, czyli jest człowiekiem” – pomyślała roztrzęsiona dziewczyna

– Tak, jestem. Nie trzeba umrzeć by móc podjąć te prace. I właśnie tu zaczyna się sedno sprawy. Twój czas dobiega końca, to że aktywowałaś portal nie oznacza, że wszystko jest załatwione. Musisz zdecydować. – Miro zrobił krótką pauzę, po czym kontynuował – Czy chcesz podjąć pracę jako jeden z wysłanników śmierci, jako avatar nieśmiertelnego? Jeżeli się zgodzisz to uratujesz się przed wyrokiem, ponieważ ta praca spowalnia efekty starzenia i odwleka czas... odejścia. Jeżeli nie, to... no cóż. Więcej się nie spotkamy...

– Ale co to za wybór! – krzyknęła gniewnie. – Praca dla Śmierci albo śmierć i to dosłownie?

– Zgadzasz się wstąpić w Nasze szeregi i podjąć się szkolenia? – spytał niestrudzenie, a jego oczy rozświeciły się mocniejszym blaskiem.

– Tak! – wykrzyknęła z płaczek, – Tak! przecież nic innego mi nie pozostaje!

Po tym oświadczeniu pokój zaczął się rozpląwać, Beata traciła poczucie fizyczności. Zemdlała, lecz nim do końca straciła przytomność usłyszała szept Mira.

– Witamy w naszych zastępach, czekaj na wezwanie... niebawem znów się spotkamy.

Zapadła ciemność...

Krystian Citowicki

Urodzony 27.04.1988 r. w Mysłowicach. Student Technologii Chemicznej na Politechnice Śląskiej. Od niepamiętnych czasów wielbiciel szeroko pojętej fantastyki. Przełomem okazało się wstąpienie do Śląskiego Klubu Fantastyk, z którym sympatyzuje do dnia dzisiejszego, właśnie wtedy w jego głowie zrodziła się pierwsza myśl o pisaniu. Drugim punktem zwrotnym było nawiązanie kontaktu z Andrzejem Pilipiukiem, który pomógł mu w szlifowaniu warsztatu literackiego. Krystian aktywnie udziela się w światku fantastycznym: Przez blisko dwa lata był redaktorem serwisu Efantastyka.pl, pomysłodawcą i jury EFKL-a (konkursu literackiego), szefem działu konkursów w wyżej wymienionym portalu. Obecnie jest Redaktorem periodyku „Głos Fantastyki”, współpracuje z serwisem Gildia.pl, udziela się w sekcji literackiej Śląskiego Klubu Fantastyki, jest też właścicielem bloga „W pajęczej sieci słów...”. Na jego dorobek literacki składają się recenzje, artykuły, felietony i – jak na razie – pojedynczy wywiad. Jednym z jego marzeń jest napisanie i wydanie książki.



FRAGMENTY KSIĄŻKI: „PAULINA ŻUCHOWSKA – PAMIĘTNIKI 2005R – 2011R

26.08.2008r

Błądzący chochlik zagubił się w ciemności. Oh, gdzie wy jesteście wybawienia moje? Zbawienne świetliki pogaszone w pajęczynach. Świerszcze swojej mocy magicznej szukają. Nie pamiętają już swoich melodii. Ich śpiewy, dźwięki własne, jakże teraz są im obce. Dalekie te krainy, nieskazitelnej wyobraźni. Dalekie są od słowa prawdziwego. Gdzie jesteś piękny świetliku? Jaśniejący w swojej nadziei. Gdzie jesteś piękny elfie? Bogacący się w urodę swoją przy strumieniu. Jak kamień zasnęliście. Smutni, nienauczeni. Cienia nie widać, iskry nie widać. Dokąd brnie ta woda strumyka nieoświetlonego? Zgasty wasze prorocтва. Pogubione piórka wasze. Czystości w wodzie szukacie, ale strumień dzisiaj nie pod księżycem. Księżyc nie oświetla; księżyc zakłamanym. Ile siebie dzisiaj zdoła Tobie pokazać? Na ile ujawni się przed Tobą w swoim zacienieniu. Rzeka brnie i kołysze się spokojnie przed siebie. Sama swojego końca nie widzi, ni domu swojego, drogi swojej nie zna. Kładziesz się elfie dzisiaj przy niej, mchem otulony. Zajaśnią być może iskiereki nad cieniem Twoim.

02.11.2009r

Jakby w kompletnym zapomnieniu, udajesz się człowieku do głębi prawdy swojej. Odkryta nagle staje się twoja jaźń przyćmiona, przed wszelkimi protekcjami. Pragnąc tak bardzo, ty udajesz się w wędrówce swojej tam, gdzie twój problem cię zanieśie. Patrząc na strach i nepotyzm twój odwieczny, ty zaczynasz przeliczać i kalkulować każdą twoją prostotę. Dzisiaj już bez przyćmienia. Propagandzki, nieoficjalnie zwyczajowy. Każdorazowy, a jednocześnie wyimaginowany, tak bardzo jedyny w swoim rodzaju. Kładziesz się przed swoim zawstydzonym obliczem. Którędy spowiadasz się swojemu przebyciu? Bractwo tak bardzo rychłego omamienia. Lirycznie przeważające skargi niewieście. Szczytem bierności stanie się mantra, a pretensją szpiegostwo. Przedziwne, proste, beznadziejne. Kałamarzem rozlanym stworzysz jego unieruchomienie. Bezwładny, jak przemiana człowieka lirycznego. Propaganda wyższości po raz kolejny cię zakrztusi. Zdobędziesz się na wysiłek ponadludzki i porozwieszasz wokół siebie wszelkie obeznane ci znamiona. Którędy nie podejdziesz do twojego brzemienia, lirycznie będziesz pokładał wszystkie twoje choroby.

21.10.2010r

Bo to, co niepojęte, patrzy dzisiaj z góry na mnie. Pierwszy i ostatni niechaj będzie dziś mój krok. Opartszy się na przystani swojej, komplikuje, to co ma .. Bo tam, gdzie na prawdę tkwi tajemnica, nikczemnym jeszcze oczu nie otworzono. Chciwy jest ten popiół. Bardzo chętny i otwarty. Wylewność została przyćmiona twoim właśnie blaskiem. Poczułam w noc poprzednią, to co przeszło mnie już kiedyś. Teraz już bez wątpliwości, ja postanowiłam w sobie trwać. Komuż jest potrzebna dzisiejsza moja pamięć? Brednie, brednie, a tu noc .. Tliło się światło, świetlik przyleciał. Brednie, brednie a tu dzień. Było cicho, dziś jest gwar ..

Paulina Żuchowska

urodzona 30 kwietnia, 1987r w Lesznie. Artystka malarka – samouk; grafik, ilustratorka, portrecistka. Specjalizująca się w malarstwie sztalugowym (w szczególności akryl i suchy pastel). Malarstwo jest jej pasją, która narodziła się już we wczesnym dzieciństwie. Potrzeba było jednak czasu i doświadczeń, by artystka pozwoliła pasji, pokierować swoim życiem. www.paulinazuchowska.pl





antasta www.fantasta.pl

Twoje zasoby fantastyki

Katalogujemy książki,
czasopisma
i opowiadania z gatunku
fantasy, horror oraz
science fiction wydane
w Polsce. Zbieramy
oceny czytelników,
udostępniamy
funkcjonalności
ułatwiające zarządzanie
zbiorami danych:
biblioteczki i tagi.



RECENZJE

Pomnik Cesarzowej Achai t. 2

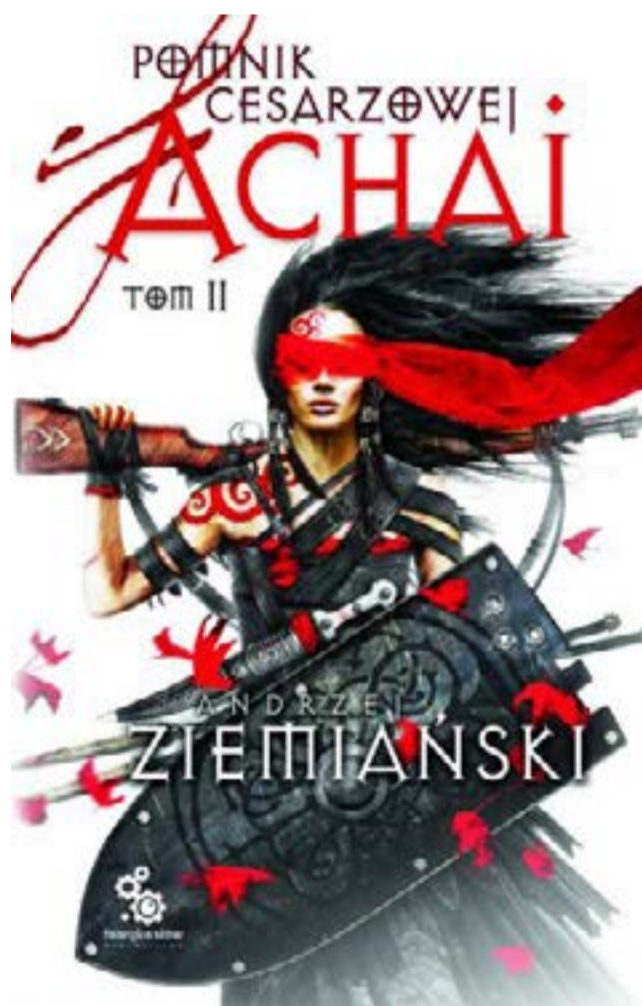
Autor: Andrzej Ziemiański

Liczba stron: 700

Wydawnictwo: Fabryka Słów

Zdarzyło się Wam kiedyś czytać jakąś książkę „na raty”? Przerwać gdzieś w połowie i z przyczyn niezależnych wracać do lektury dopiero po dłuższym czasie, zaliczywszy wcześniej dziesiątki innych woluminów? Ja zawsze w takiej sytuacji początkowo boję się, czy dobrze odnajdę się w przerwanych wątkach i czy historia przez przymusową przerwę nie straci na jakości. Podobne obawy miałam przed lekturą drugiego tomu Pomnika cesarzowej Achai, zwłaszcza gdy przypominałam sobie to, co o Pomniku... mówił sam Andrzej Ziemiański. Dla niezorientowanych: tak naprawdę zarówno trylogia Achaja, jak i planowana trylogia Pomnika... to w istocie tylko dwie książki, które zostały rozbite na mniejsze części głównie ze względów wydawniczych. W samej Achai nie było to aż tak bardzo uciążliwe (gdy ktoś czytał trylogię za jednym zamachem), jednak w przypadku Pomnika cesarzowej Achai konieczność czekania na kolejny rozdział powieści wytrąca nieco z równowagi i może być męcząca.

Pierwszy tom Pomnika... był niczym innym jak wstępem do nowej historii, przygotowaniem podłoża pod kolejne części. Analogicznie w tomie drugim mamy do czynienia z przyspieszeniem akcji, zawiązaniem się kilku głównych wątków i zapowiedzią rozwiązania niektórych tajemnic. I w momencie, gdy już mamy nadzieję na większą dawkę konkretów, okazuje się, że do końca książki zostało ledwie 50 stron. Ci, którzy znają styl pisania Ziemiańskiego wiedzą, że to zdecydowanie zbyt mała objętość na wszelkie dygresje i powiązania,



jakimi to autor uwielbia nas raczyć. A szkoda: bo jak uniwersum stworzone (czy też raczej przetworzone) przez pana Andrzeja potrafi wciągnąć i zaciekać, tak z czasem czytelnik zaczyna odczuwać pewną irytację wiecznie mnożącymi się niedopowiedzeniami. Owszem, otrzymujemy strzępy informacji, utwierdzające nas w przypuszczeniach z pierwszego tomu, ciągle jednak tak naprawdę ani my, ani grupa głównych bohaterów nie wie niczego konkretnego. Ot, akcja się toczy, dzieje się dużo, ale to wszystko jest tylko krążeniem wokół wątku najbardziej interesującego i tajemniczego, czyli tytułowego pomnika. Dlaczego budzi on takie zainteresowanie i do czego jest potrzebny poszukiwaczom? Ci, którzy mają nadzieję na rozjaśnienie tej sprawy muszą liczyć się z kolejnym odwleczeniem rozwiązania. Ale nie ma się co smucić, bo wbrew pozorom drugi tom Pomnika cesarzowej Achai ma kilka atutów, o których warto wspomnieć.

Przede wszystkim dzieje się bardzo dużo: dwa główne wątki, skupiające się wokół Shen i Kai, nabierają nie tylko tempa, ale i większej

klarowności. Zdecydowanie wyraźniej widać występujące między tymi dwiema kobietami różnice wynikające zarówno z ich wcześniejszych doświadczeń, jak i obecnych wydarzeń. Kai stała się moją zdecydowaną faworytką: od razu widać, że jest to kobieta inteligenta, z przystawionym pazurem. Świetnie radzi sobie jako przewodniczka polskiej ekspedycji, raz przystosowując się do zaistniałej sytuacji, a raz przejmując pałeczkę w momentach wymagających znajomości lokalnych zwyczajów i mentalności. Dzięki temu przybyszą z Górnego Pierścienia udaje się uniknąć dyplomatycznych czy zwyczajowych gaf, a rola Kai nabiera tym większego znaczenia, im częściej jej działania wynikają z wrodzonej inteligencji, a nie zdolności magicznych. Tych bowiem czarownica używa niewiele, jakby automatycznie przejęła pragmatyzm swoich towarzyszy. Ogólnie magii i spraw nadprzyrodzonych w tej odsłonie Pomnika... spotkamy niewiele. Można wręcz powiedzieć, że pewne sprawy zaczęły się toczyć zamierzonym przez siły wyższe torem i te, z poczuciem spełnionego zadania, jedynie przyglądają się poczynaniom bohaterów. Meredith wykonał już chyba swoje zadanie, a tajemniczy chłopiec objawiający się wcześniej w snach Shen wspomniany jest tylko raz. Co do Shen, to zupełnie nie przypadł mi do gustu jej rozwój, a raczej jego brak. Z błyskotliwej i dającej sobie radę wojowniczką zamienia się powoli w bezwolną kukiełkę polityków, dając się nabierać na niemal każde propagandowe slogany. Niby nie do końca bierze wszystko za dobrą monetę, ale widać wyraźnie brak wpływu i pomocy chłopca ze snów. Być może w zakończeniu całej historii Shen trochę się zrehabilituje, ale w drugim tomie traci wiele ze swych wcześniejszych atutów.

Pomnik cesarzowej Achai 2, podobnie jak rozwinięcia pierwszego tomu Achai, zawiera w sobie dużo wątków politycznych. Andrzej Ziemiański usiłuje pokazać nam hipotetycznie idealne starcie dwóch cywilizacji, oparte raczej na dyplomacji i gierkach politycznych niż na sile ognia (choć ta ma duże znaczenie we wszelkich kontaktach z lokalnymi władcami). Polacy, choć są w tej części świata gośćmi, z powodzeniem stosują zasadę: dziel i rządź, zapobiegawczo nie paląc wszelkich mostów i zyskując sojuszników zarówno wśród ekipy rządzącej, jak i opozycji. O tym, czy takie postępowanie jest moralne, nie zamierzam dyskutować, natomiast faktem jest, że jak nigdy nasi rodacy postępują w pewien zaplanowany i logiczny sposób. Oczywiście niektórzy z nich przejawiają pewne inicjatywy nie do końca zgodne z ogólnymi dyrektywami, w ogólnym rozrachunku jednak ich statut pozostaje niezmienny: przybyli tutaj w określonym celu, a zagrywki polityczne czy wątek pomnika Achai są tylko osobistymi wycieczkami poszczególnych bohaterów.

Rozwinięcie opowieści o Pomniku cesarzowej Achai uznać można za klasyczny przypadek drugiego tomu, z drobnym wyjątkiem: książkę czyta się zdecydowanie przyjemniej niż tom pierwszy. Można nawet pokusić się o stwierdzenie, że napisana została wręcz lepiej: Ziemiański w końcu nie katuje nas wulgaryzmami i z powodzeniem zaostrza apetyt na ostatnią odsłonę przygody z tym uniwersum. Udaje się mu nawet czymś nas zaskoczyć, dzięki czemu zakończenie przygód Kai i Shen zapowiada się naprawdę ciekawie. Z całą pewnością ta książka zasługuje na miano przyzwoitej powieści ku uciechu i rozrywce, a przecież i taka literatura jest czasem potrzebna.

[Recenzja ukazała się pierwotnie na portalu fantasta.pl](#)

Aleksandra Radziejewska

Herosi

Wydawnictwo: Powergraph

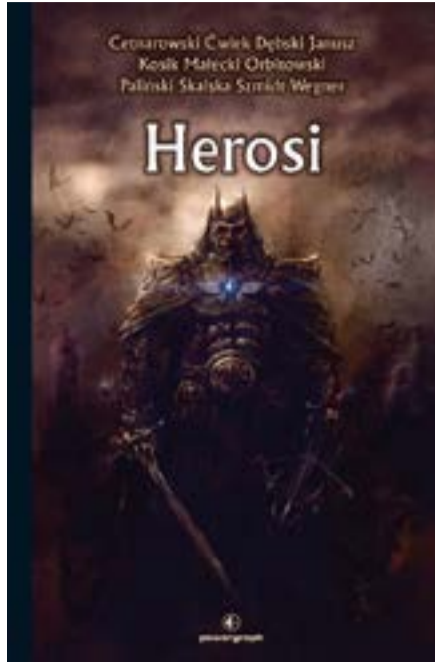
Liczba stron: 432

Ocena: 9/10

Herosami stoi fantastyka, tak w ogólnym skrócie. Odkrywając wiele podgatunków, zmieniających się światów, trendów, narracji, bohater zawsze pozostawał w centrum. Brak wyrazistej postaci, to dla fabuły, jak brak ręki dla człowieka, niby można się obejść, ale ciężko. Pierwsze skojarzenie z bohaterem, równie toporne, jak obrazki bijące tandetą z okładek fantastyki śmieciowej. Napakowany wojownik, długie włosy, miecz dwuręczny stosowany niezgodnie z nazwą, bo do jego obsługi nasz heros używa tylko jednej ręki. Taki standard, ale trudno się z nim kłócić, to jest pierwsze skojarzenie i tak chyba zostanie, mimo, że bohaterów i ich wyobrażeń jest multum. Zadanie zebrania kilku przykładów wzięło na siebie wydawnictwo Powergraph, które popełniło antologię Herosi. Jak głosi tekst z odwrotu „Każdy tekst jest opowieścią o przygodzie. Najemnicy, żołnierze, podróżnicy – Bohaterowie”.

Więc, jak już wiadomo tematem przewodnim, na którym skupią się teksty, będą bohaterowie. Temat może mało odkrywczy, ale po lekturze stwierdzam, że ciekawie zrealizowany, bo dają duże pole autorom. Oprócz tematu ważnym punktem każdej antologii są autorzy, nie można się oszukiwać, że patrzy się na nazwiska i jeśli, żadnego z nich się nie kojarzy, ciężko spodziewać się czegoś dobrego. W tym przypadku mamy do czynienia z równowagą jeśli chodzi o nazwiska, nie ma jednej gwiazdy, która by wyraźnie zdominowała pozostałych twórców, ale z drugiej strony nikt nie jest tu debiutantem. Nie wszystko da się przeczytać, bo mi kilka nazwiska nic nie mówiło, ale Jakub Ćwiek, Rafał Dębski czy Robert Wegner, to autorzy z wyrobioną marką. W przypadku pozostałych brakuje mi jednego, a mianowicie biogramów na początku każdego opowiadania, to zawsze w jakiś sposób pomaga w identyfikacji, gdy pierwsza myśl niezbyt dokładnie powiąże autora z jego tekstami. Zresztą nie każdy czytelnik musi znać każdego z jedenastki twórców.

Objętościowo bywa różnie, większość opowiadań ma około 50 stron, są i krótsze 20, ale negatywny rekord, to opowiadanie Michała Cetnarowskiego Śmierć suberbohatera – 5 stron. Światy stworzone, w których autorzy umieścili swoich bohaterów, stanowią przekrój całej fantastyki, dla tego każdy znajdzie jakiś swój ulubiony motyw. Mamy tutaj postapokalipsę, obcych i bohaterskich ludzi u Wegnera. Klimat bliższy średniowieczu z mieczami, najemnikami i tajemniczym mrokiem w Krecie i Królu Orbitowskiego. Znowu w naszych



czasach aktor ma wcielić się w postać z komiksów – to motyw z Dłużników Ćwieka.

Różnie rozkładają się sympatie czytelników, dla jednych pratchetowski Saumel Vimes, u innych znowu Conan, może Gierosławski z Lodu Dukaja czy postacie Spakowskiego – Geralt, Jaskier, Reimar, dzierżą palmę pierwszeństwa. A może ktoś nowego idola znajdzie w jednym z opowiadań znajdujących się w Herosach?

Jarosław Szóstka

Hobbit: niezwykła podróż

Gatunek: Przygodowy, Fantasy

Produkcja: Nowa Zelandia, USA

Reżyseria: Peter Jackson

Scenariusz: Guillermo Del Toro, Peter Jackson, Fran Walsh, Philippa Boyens

Na początku było słowo. A konkretnie: powieść J.R.R.Tolkiena, „The Hobbit, or There and Back Again”. Ukazała się ona 21 września 1937 r. nakładem brytyjskiego wydawnictwa George Allen & Unwin (pierwsze polskie wydanie pod tytułem, „Hobbit, tam i z powrotem” pochodzi z 1960 r.). Jak wieść głosi do ostatecznej decyzji o wydaniu baśniowej historii, opowiadającej o fantastycznej krainie Śródziemia, przyczynił się dziesięcioletni syn jednego ze współwydawców, Stanley’a Unwina. Chłopiec był zachwycony lekturą powieści. Po entuzjastycznych recenzjach prasowych w ciągu trzech miesięcy cały nakład książki w liczbie tysiąca pięciuset egzemplarzy został wyprzedany. Powieść odniosła sukces u czytelników i u znawców dziecięcej literatury. Zachęciła także Tolkiena do kontynuacji wątków „Hobbita”, których zwieńczeniem stał się trytomowy „Władca pierścieni”: kanoniczne dzieło literatury fantasy. Jednak podczas w kulturze masowej słynnemu dziełu nie zapewniłoby nazbyt elitarna literatura. Te mogło zapewnić tylko popularniejsze i łatwiej przyswajalne kino.

Dla wielu bowiem na początku wcale nie było słowo, ale obraz, a właściwie obrazy. Pełne przepychu, spektakularne, monumentalne, powołujące do życia fantastyczne światy Tolkienowskiej trylogii, które do tej pory można było sobie jedynie wyobrazić – obrazy, za którymi stał mało znany szerszej publiczności nowozelandzki reżyser Peter Jackson. To on stał się ojcem filmowej wersji klasycznej literatury fantasy. Ale nie był pierwszy. Już w 1957 r. Tolkienowi zaproponowano realizację trzygodzinnej ekranizacji, która miała łączyć sekwencje aktorskie z animowanymi. Jednakże zbyt daleko idące zmiany, które twórcy filmowej ekranizacji pragnęli wprowadzić do historii opisanej w Trylogii oraz niewielkie zyski, które pisarz otrzymałby z tytułu tantiemów zniechęciły autora „Hobbita” do wyrażenia

zgody na realizację. W następnych latach z tematem fantastycznej prozy Tolkiena mierzyli się m.in. Gene Deitch, John Boorman, Ralph Bakshi, a nawet członkowie legendarnego zespołu... The Beatles (Ringo Starr miał zagrać Golluma). Udało się dopiero Jacksonowi. Jego wersja „Władcy pierścieni” stała się sukcesem artystycznym i komercyjnym. Łącznie wszystkie trzy części zdobyły siedemnaście Oscarów, co jest absolutnym rekordem w dziejach tej prestiżowej nagrody, a cała trylogia zarobiła prawie cztery miliardy dolarów. Jednak tak naprawdę Jacksonowa adaptacja stała się czymś więcej. Zjawiskiem popkulturowym o zasięgu globalnym.

Gdy dokonuje się rzeczy tak niebywalej, jak ta, która stała się udziałem nowozelandzkiego reżysera, można postąpić dwojako: albo odciąć się późniejszą karierą od swego opus magnum albo... odcinać kupony od osiągniętego sukcesu. Tak naprawdę trudno o jednoznaczny ocenę decyzji Jackson o powrocie do przygody z prozą Tolkiena i o przeniesieniu na ekran znacznie gorzej znanego „Hobbita”. Czy to rzeczywiście odcinanie kuponów czy raczej właściwy człowiek na właściwym miejscu, który jako jedyny mógł zagwarantować sprawny realizację i wysoki poziom produkcji? Podobno reżyser oraz jego żona Fran Walsh, scenarzystka filmowej adaptacji Trylogii już w 1995 r. myśleli o zekranizowaniu „Hobbita”. Planowany obraz miał być pierwszą częścią a „Władca pierścieni” miał stanowić dwie pozostałe. Jak dziś wiemy pomysł nie został zrealizowany. Wiemy również, że do reżyserii „Hobbita” przymierzany był Meksykanin, Guillermo del Toro, ale w 2010 r. zastąpił go nasz dobry znajomy Peter Jackson. Twórca „Labiryntu fauna” zrezygnował z powodu opóźnień w preprodukcji wywołanych kłopotami finansowymi wytwórni Metro Goldwyn Mayer, jednego z głównych producentów nowej trylogii. Del Toro pozostał jednak w gronie twórców jako scenarzysty.



Jakim zatem filmem jest pierwsza część nowej trylogii? Błędym cieniem „Władcy pierścieni” podyktowanym jedynie ordynarnym skokiem na kasę czy też wydarzeniem artystycznym, wytyczającym nowe kierunki w światowej kinematografii? Na odpowiedź przyjdzie czas, bowiem pamiętajmy, że „Hobbit: Niezwykła podróż” to pierwsza część z trzech, a dopiero z chwilą, gdy znana będzie nam cała trylogia, będziemy w stanie ocenić, czy „Hobbit” to zwykły skok na kasę czy jednak nowa jakość. Dopiero wówczas otrzymamy właściwy kontekst. Na razie tworzy go filmowa wersja „Władcy pierścieni”, a „Hobbit: Niezwykła podróż” na jej tle nie wypada najlepiej. Ale zapytajmy szczerze: czy miał szanse? Moim zdaniem – niewielkie. Nie żebym uważał, poprzednią Trylogię za arcydzieło kina światowego, ale dlatego, że najwyczejniej „Władca pierścieni” był pierwszą i na dodatek niezwykle udaną próbą zmierzenia się z literaturą fantasy według Tolkiena.

Nic dziwnego zatem, że podczas seansu „Hobbita: Niezwykłej podróży” nieprzerwanie będzie nam towarzyszyć uczucie déjà vu. Wszystko lub prawie wszystko już gdzieś widzieliśmy. I każdy z nas jest w stanie podać dokładne źródło. To „Władca pierścieni”. Znajdziemy w obrazie Jacksona niemal wszystkich naszych dobrych znajomych z poprzedniej Trylogii, w tym także tych, którzy nie pojawili się w literackim pierwowzorze (np. Frodo, Elrond, Galadriela Saruman). Nawiązania do „Władcy pierścieni” są obecne także poprzez rozwiązania kompozycyjne (wciąż imponujące zdjęcia nowozelandzkich pejzaży filmowane z helikoptera), podobne rozwiązania dramaturgiczne poszczególnych scen (np. ucieczka bohaterów przed zgrają orków przez las), czy wreszcie, a może nade wszystko, sama struktura fabuły. Znowu bowiem mamy do czynienia z grupą bohaterów (trzynastu krasnoludów, czarodziej i hobbit), którzy wyruszają w pełną niebezpieczeństw misję niemożliwą. Rzecz jasna szczegóły są inne (tym razem chodzi o przedostanie się do Samotnej Góry, niegdyś siedziby krasnoludów, zajętej od dziesiątek lat przez straszliwego smoka Smauga), ale w niczym nie zmienia to faktu, że „Hob-

bit” niepokojąco wiele „pożycza” od swego znamienitego poprzednika. Pożycza oczywiście także główne przesłanie, że nie wyglądamocarza, nie czary czarodzieja, ani nawet nie odwaga wojownika, ale hart ducha czyni z nas herosa na miarę heroicznych czasów. Czy jednak, mimo tylu podobieństw, możemy postawić zarzut wtórności?

Nie do końca. Nawiązania, odesłania i aluzje są w nowym filmie Jacksona zbyt oczywiste, co wskazuje, że nie są one wynikiem zwykłego pójścia na łatwiznę ani nawet żerowania na sprawdzonych i znanych elementach „Władcy pierścieni”. Co ma bowiem począć twórca, jeśli jego poprzednie dzieło, cokolwiek nowego zrealizuje, i tak będzie się kłaść cieniem na nowych dokonaniach? Może zaakceptować ten stan i podjąć świadomą relację z tym dziełem? I chyba tak właśnie należy odczytać te liczne i świadome odniesienia do słynnej Trylogii. Zatem nie czepiajmy się Jacksona, że nie serwuje nam dania pierwszej świeżości. Można mu za to postawić, niestety, inne zarzuty.

Bo choć są podobieństwa, to są także różnice w stosunku do „Władcy pierścieni”. Najbardziej zauważalna dotyczy odmiennej tonacji obu filmów. Jeśli poprzednia Trylogia był mroczną, a nawet ponurą opowieścią o walce z wszechpotężnym złem, które udaje się pokonać dopiero hartem ducha, odwagą i determinacją bohaterów, o tyle „Hobbit: Niezwykła podróż” jest opowieścią znacznie lżejszą w tonie, momentami zabawną i wyraźnie zaadresowaną do młodszego widza. Nic dziwnego – tłumaczą twórcy – wszak literacki oryginał to powieść dla dzieci. Jednak pójście do kina z dzieckiem na nowy film Jacksona nie jest dobrym pomysłem, bowiem ten „dziecięcy film” nie szczędzi brutalnych widoków, choćby odcinanych głów, które raczej nie są tym, co powinno być pokazywane dzieciom (nawet jeśli odrazę takich czynów neutralizuje konwencja baśni). Jest zatem w pierwszej części „Hobbita” pewien targetowy zgrzyt, który jest problem istotnym, choć spoglądając na wyniki frekwencyjne, póki co raczej niepragmatycznym.

Ale wróćmy do nieuniknionej analogii z „Władcą pierścieni”. Ta trylogia była nie tylko mroczniejsza, a więc tym samym przeznaczona dla dojrzałego widza, ale była bardziej skupiona na atmosferze, na psychologii bohaterów, na portretowaniu zła, którym ulegali kolejni posiadacze pierścienia (nie bez powodu zło jest kojarzone z władzą). Tymczasem w „Hobbicie: Niezwykła podróż” po nieco przydługim prologu, rozgrywającym się w domu tytułowego bohatera, Bilbo Bagginsa, film rozpędza się z zaskakującą prędkością jak na kino fantasy, zwalniając na chwile w scenach, toczących się w Rivendell, królestwie Elfów, by po tym krótkim odpoczynku, ponownie się rozpędzić. Wyraźne przedkładanie akcji nad atmosferę i pogłębioną psychologię postaci wskazuje, że mamy do czynienia z filmem jednak dla młodszego widza. Bo przecież aby utrzymać jego uwagę, cały czas musi się „coś dziać”. Niestety to „dzianie” nie jest wolne od pewnych uproszczeń, a nawet nielogiczności. Dlaczego do znudzenia ogrywany jest motyw „ocalenia w ostatniej chwili”? Dlaczego po upadku z ogromnej wysokości bohaterowie nie mają nawet złamanego paznokcia? Dlaczego wielkie orły nie zrzuciły w przepaść przywódcę orków, Azoga Plugawego? Pytań jest więcej, ale odpowiedź jest ta sama: bo nie treść a efekt jest najważniejszy.

Niestety, ale pierwsza część „Hobbita” aż nadto dobitnie wskazuje jego przynależność do kina efektu, które nie ma przekazać ważkich treści czy skłaniać do mniej lub bardziej głębokich refleksji, lecz ma przede wszystkim zadziwiać. I zadziwia. I aby jeszcze bardziej zadziwiać obraz Jacksona jest wyświetlany w siedmiu różnych wersjach, w tym m.in. w 3D, z przyspieszonym do 48 klatek na sekundę przesuwem taśmy filmowej, co skutkuje niebywałą ostrością obrazu nawet w scenach o niezwyklej dynamice. Bo nie łudźmy się „Hobbit: Niezwykła podróż” nie został zrealizowany ani z myślą o fanach Tolkiena, ani również z myślą o widzach, szukających nieco głębszych treści czy po prostu posępnej atmosfery poprzedniej Trylogii. Jedynym targetem są bowiem... wszyscy a prawdziwym celem być skazanym na sukces. Może zatem przypuszczania, że za nową trylogią stoi tak naprawdę nic innego jak kasa nie są aż tak bardzo odbiegające od prawdy? Ale nie narzekam. Film, który kosztował sto osiemdziesiąt milionów dolarów (a wszystkie trzy części prawie pół miliarda) nie może być czymś innym jak produktem. I „Hobbit: Niezwykła podróż” jest produktem, ale przynajmniej: najwyższej jakości. We współczesnym kinie rozrywkowym to wcale nie mało.

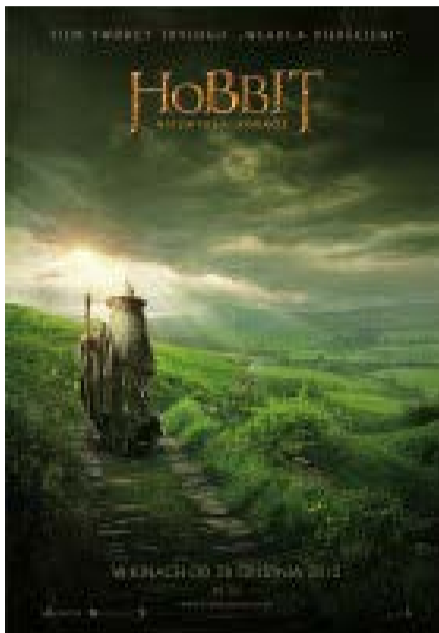
Krzysztof Gonerski

www.strachmaskosneoczy.blogspot.com



Hobbit – niezwykła podróż?

Obiecująco zaczyna się ta przygoda. Z jednej strony niesie w sobie posmak nowego, z drugiej przypomina dobrze znane. Nie tylko wspólny początek łączy ekranizację „Hobbita”, w reżyserii Petera Jacksona, z filmową trylogią. Obrazy z „Władcy Pierścieni” będą powracać, przywoływane na różne sposoby. Stare z nowym splecie się w miejscami spójną, miejscami zbyt chaotyczną historię, wyznaczając początek kolejnej podróży utartymi szlakami.



Tam, gdzie oglądamy stare wydarzenia z innej perspektywy przygoda jest rzeczywiście fascynująca. Tak jest w epilogu, który prowadzi z ogromnego, górskiego pałacu krasnoludów do nory pewnego hobbita. Kontrast tych dwóch scen wyznacza różnicę między rasami, kreśli panoramę Śródziemia, nie stroniąc przy tym od dowcipu. Znajdziemy więc dostojne elfy, przywodzące na myśl swoje mitologiczne odpowiedniki, nordyckie álfar, niekiedy utożsamiane z boskim plemieniem Wanów. Ten, nadany im przez Tolkiena, rodowód stawia elfy poza troską o materialne sprawy. W retrospekcji spoglądają z chłodną wyższością na zgubione przez własną chciwość krasnoludy. Wśród tych ostatnich znajdujemy przywódcę, Thorina, który będzie nosił futro, nie przypadkiem włosiem do zewnątrz, w końcu podkreśla to raczej dzikość niż łagodność jego natury. Nieodłącznym elementem krasnoludzkiej kompanii staną się pieśni, które śpiewane nocą przy ognisku przywodzą na myśl harcerskie piosenki czy szanty. Wreszcie Martin Freeman sprawdzi się doskonale w roli poczciwego Bilbo Bagginsa, który, zgodnie z oryginałem, wyruszając w podróż, zapomniał z domu chusteczki do nosa. Zresztą daleko szukać nie trzeba – dialog hobbita z Gandalfem, to w dużej mierze cytaty z powieści.

Peter Jackson niewątpliwie potrafi przypominać i zachwycić światem, znanym zarówno z książki jak i z filmowej trylogii. Dobrze wpisuje się w całość także kalejdoskop znanych postaci, pojawiają Saruman, Galadriela, Elrond, a rozmach i efekty specjalne pozwalają raz jeszcze spojrzeć na Rivendell. Tam, gdzie obraz wykreowany przez Petera Jacksona jest przemyślany, przywołuje bogate znaczenia, przypomina o mitologii do jakiej sięgał Tolkien, o różnorodności Śródziemia. Ciekawe konotacje ma chociażby retrospekcja dotycząca utraty Ereboru przez krasnoludy. Poza mitologią nordycką, do której świadomie nawiązywał sam Tolkien, jej estetyka przywołuje między innymi historię Midasa i jemu pokrewnych, wszystkich tych, których zgubiła miłość do złota. Jednak prawdziwy majstersztyk, to zrealizowana z doskonałym wyczuciem dramaturgii scena z Gollumem. Peter Jackson w pełni wykorzystuje książkowy potencjał. Jak na „czarodzieja kina” przystało pokazuje, że kino i literatura dzielą ze sobą wiele środków wyrazu, uzupełniając się nawzajem. W ten sposób w scenie z Gollumem gra wszystko. Gra obraz, przestrzeń i dźwięk – jaskinia jest ogromna, pełna zapadlin i zakamarków, głosy bohaterów słyszalne to bliżej to dalej, to ciszej, to głośniej. Przede wszystkim jednak gra Gollum. Chociaż już w „Dwóch Wieżach” poznaliśmy zdegenerowaną osobowość Golluma a w „Powrocie Króla” widzieliśmy jego fizyczną przemianę, to właśnie w „Hobbicie” postać ta ostatecznie się dopełnia. Nacisk na aspekt psychologiczny, obecny już w „Dwóch Wieżach” i tutaj został szczególnie podkreślony, mocno zaakcentowany zmianą tonacji głosu Andy Serkisa. Wszystkie wymienione elementy składają się na ilustrację, udaną, bo pytanie o wierność oryginałowi zwyczajnie przestaje mieć znaczenie. W przywołanych przykładach „Hobbit”, trylogia „Władcy Pierścieni” i „Silmarillion” tworzą w wizji reżysera jednolitą całość, doskonale współgrającą zarówno z filmową trylogią jak i z dziełem Tolkiena.

Jednak z czasem przygoda nie jest już taka fascynująca. Zbyt wiele kadrów jest prostą kalką z „Władcy Pierścieni”. I tak walka z goblinami, która osiąga kulminację w scenie na moście, przypomina niemal do złudzenia ucieczkę z Morii, tyle, że dużo mniej epicką. Podobnie uchwycony z góry, podążający szczytem górskim korowód postaci – niemal Drużyna Pierścienia. Scena z orłami wydaje się skrócona jakby na rzecz analogii z „Powrotem Króla”. Wreszcie zaczyna nużyć powtarzanie znanych motywów. W „Hobbicie” ogranych, sprowadzonych do ich najprostszycznaczeń. Ciekawie zapoczątkowana historia krasnoludów zostaje uproszczona do walki dwóch antagonistów, Thorina i orka Azoga, którą trzeba będzie pociągnąć dalej, przez kolejne dwie części ekranizacji niespełna trzystustronicowej stronicowej książki, jakby tylko po to, żeby zapełnić czas. Wydaje się, że podobny los czeka i inne wątki wprowadzone przez Pe-

tera Jacksona do „Hobbita”. Z początku uzasadnione, współgrające z czasem zbanalizowane, stają się mniej ilustracją a bardziej luźną i chaotyczną interpretacją tego co znajdziemy w „Hobbicie”, „Silmallirionie” i w przypisach do „Władcy Pierścieni”. O ile wzorowane na „Władcy Pierścieni” kadry pozbawiają film nowości a wprowadzenie do narracji uproszonych schematów, pozbawia tolkienowskich znaczeń, o tyle rozciągnięte do granic możliwości sceny batalistyczne, ostatecznie sprawiają, że film całkowicie wytraca dramatyzm a wraz z tym i dynamikę.

Także to, co było plusem z czasem obraca się w minus. Dialogi mniej już są zabawne, bardziej proste, niekiedy wręcz prymitywne. Sceny, to już nie postacie, ich historie, toczony rozmowy, uchwycone w starannie przemyślanych ujęciach, to przewidywalna akcja i szybki montaż. Te same efekty specjalne, które pozwoliły przenieść na ekran tolkienowskie wizje, teraz przytłaczają, sprawiając wrażenie chaosu. A tam, gdzie akcent całości pada już nie to, co wydobywa nowe, ale co powtarza dobrze znane, to już nie jest panorama Śródziemia, to monotonia. Na tym tle słowa zamykające pierwszą część ekranizacji „Hobbita” wydają się już tylko banałem, obowiązkowym, upraszczającym wszystko morałem w opowiedzianej historii, który zatracą tolkienowskie niedopowiedzenia.

Chciałoby się popatrzeć na „Hobbita” raz jeszcze bez tych wszystkich zbędnych scen. Chciałoby się podróży mniej chaotycznej. Podróż już zakończona. Trzystu stron zamkniętych w jednej części. Bez dłużyzn i zbędnych dodatków. A tak ekranizacja „Hobbita” Petera Jacksona wydaje się powtórką, zmanipulowaną z tego, co już było a takie sceny jak „gra w zagadki” tylko boleśnie przypominają o sporym, lecz niestety zmarnowanym potencjale.

Izabela Ozga

„Zdumiewająca sprawa Nakręcanego Człowieka”

Autor: Mark Hodder

Wydawnictwo: Fabryka Słów

Liczba stron: 528

Świat, który w „Dziwnej sprawie Skaczącego Jacka” wypadł z torów, w „Zdumiewającej sprawie Nakręcanego Człowieka” nie może na nie wrócić. Mieszkańcy dziewiętnastowiecznego Londynu muszą pogodzić się z zatrważającym tempem zmian, jakie zachodzą w ich codziennych zmaganiach z rzeczywistością. Po drogach poruszają się zbudowane z olbrzymich robali środki publicznego transportu, wiadomości przekazują irytujące swą wulgarnością papugi zaś na ulicy leży... nakręcany człowiek.



To jednak dopiero początek zawitości. Ze znaną z poprzedniej części lekkością oraz ze zwielokrotnioną potrzebą wprowadzania zawirowań fabularnych Mark Hodder opowiada nam dalsze losy sir Richarda Burtona – ciągle marzącego o odkryciu źródeł Nilu naukowca i królewskiego agenta w jednym – oraz jego kompana – przepełnionego masochistycznymi potrzebami poety z urodzenia – Algernona Swinburne’a. „Zdumiewająca sprawa Nakręcanego Człowieka” nie zaniża poziomu, chociaż napotkamy, co charakterystyczne w kontynuacjach, trochę więcej krwawych scen oraz dziwactw, ale to zda się nam po prostu konsekwencją wydarzeń z pierwszej części.

W „Zdumiewającej sprawie Nakręcanego Człowieka” motorem napędowym całej fabuły staje się powrót do Anglii zaginionego arystokraty, a właściwie człowieka podającego się za niego. Czy obleśny monstrualny grubas jest tylko pretendentem, czy prawdziwym sir Rogerem Tichbornem, dowiemy się, sumiennie śledząc rozwój akcji. Nie będziemy się na pewno nudzić, gdyż na każdym rogu czekają na nas nowe niespodzianki. Żeby móc je zrozumieć, zahaczmy o Afrykę, Rosję i zagłębimy się w zagadkę legendarnych czarnych diamentów nazywanych Oczami Naga, posiadających niewysłowioną moc, która pozwoli... To jednak pozostawię przykryte milczeniem, żeby nie psuć zabawy czytelnikowi.

Mark Hodder zadba o tych, którzy polubili steampunkową rzeczywistość zbudowaną w „Dziwnej sprawie Skaczącego Jacka”. Sir Richard Burton i Algernon Swinburne to nie jedyne postacie, z którymi przyszło się żyć i które powracają na kartach „Zdumiewającej sprawy Nakręcanego Człowieka”. Cały świat przedstawiony wypełniają interesujący swoją różnorodnością bohaterowie drugoplanowi i epizodyczni. Do znanych już osób dołączają nowi, a ich życiorysy – w wiktoriańskiej Anglii, w której nie żyje królowa Wiktoria – okazują się równie pokręcone co pierwszoplanowej dwójki. Pojawia się m.in. Charles Babbage (uważany za jednego z prekursorów nauki nazywanej dzisiaj informatyką), Herbert Spencer (dziewiętnastowieczny myśliciel), a nawet Rasputin. W świecie na nowych torach przypadną im zupełnie inne role. Jednocześnie jednak Mark Hodder świetnie bawi się związanymi z każdym z nich kontekstami, co lekturę powieści czyni jeszcze ciekawszą.

Dodatkowo „Zdumiewająca sprawa Nakręcanego Człowieka” rzuca nowe światło na – zdawać by się mogło już zamkniętą – historię Skaczącego Jacka. Żałuję, że – trzymając się w ryzach recenzenckich obowiązków – nie mogę ich zdradzić. Nie zepsuję natomiast zabawy, uchylając rąbka tajemnicy, gdy wspomnę, że tym razem na ulicach Londynu – oprócz efektów eksperymentów eugeników i techników – pojawią się zombie oraz duchy/zjawy. Warto zaznaczyć, że choć pomysł tutaj goni pomysł, to nie zapomina się o tle, wypełniając je w najmniejszych detalach. Dobrze sprawdzają się w tej roli wrywki gazetowe i ogłoszenia serwowane przed rozdziałami.

Całość podaną w trzecioosobowej narracji udało się Markowi Hodderowi ubarwić scenami, w których humor przeplata się z makabrą, seksualne wyuzdanie z buntem proletariackich mas. Rozmach zaserwowany w pierwszej części serii znajduje w „Zdumiewającej sprawie Nakręcanego Człowieka” godnego kontynuatora. Do rozważań o ewolucji, alternatywnych rzeczywistościach oraz czasie dorzucona zostaje warstwa społeczna. Wątki – nazwijmy je ogólnie i może zbyt górnolotnie – filozoficzne nie zdominowały akcji, pozwalając czytelnikowi głównie na spotkanie z niezobowiązującą, a jednak oryginalną rozrywką.

Tym, którzy zakończyli już oba tomy przygód Burtona i Swinburne’a, pozostaje czekać na trzecią odsłonę. Trzymam kciuki, żeby równie dobrą.

Michał Domagalski

Nieśmiertelność zabije nas wszystkich

Autor: Drew Magary

Wydawnictwo: Prószyński i Ska

Liczba stron: 464

Ocena: 9/10

Jaki wpływ na ekonomię i stosunki społeczne może mieć nieśmiertelność lub długowieczność? Pytanie może wydawać się głupie, ale czy po głębszym zastanowieniu nie zaczniemy analizować wszelkich płaszczyzn, jakie mogłyby zostać zmienione w przypadku, gdy ludzie mogli żyć po kilkaset lat. Na podobne pytania musiał odpowiedzieć na kartach Nieśmiertelność zabije nas wszystkich Drew Magary. I właśnie ogromna przestrzeń, jaka została zmieniona uderza w nas z dużą siłą. Nie można napisać, że w przypadku tej książki roz-

ważania nad istotą nieśmiertelności i jej wpływowi na życie przeważa nad linią fabularną, która jest tylko dodatkiem. Tak nie jest. Kto oczekuje traktatu filozoficzno – ekonomiczno – niewiadomo jakiego, ten go tu nie znajdzie. Magary stworzył lekką książkę, którą czyta się przyjemnie, ale przy okazji jego wizja poruszy wyobraźnię i sprawi, że zaczniemy się zastanawiać czy jakbym żył wiecznie, to cały czas musiałbym pracować, co w takim wypadku z moją emeryturą? To w przypadku tej książki było świetne, że właściwie nie emocjonowałem się losem, głównego bohatera (Johna Farrella swoją drogą), tylko czekałem, jak autor poradzi sobie z konstrukcją świata, w którym większość ludzi może żyć naprawdę długo. I to właśnie masowość długowieczności stanowi główny problem, bo gdy jednostka uzyskuje znacznie dłuższy żywot, to minus jest oczywisty – przeżywamy śmierć bliskich osób. Co jednak, gdy nasza rodzina jest również nieśmiertelna? Pytania tego typu sprawiły, że potraktowałem fabułę, jako tło, ale bynajmniej nie z powodu jej jakości. Jest poprowadzona solidnie, żeby było ciekawiej autor zadbał o zwroty akcji. Możemy razem z bohaterem przeżyć czas nieśmiertelnych, który Magary lokuje pomiędzy latami 2019 – 2079. John Farrell jak większość ludzi musi się dostosować i wychodzi to mu z różnym skutkiem, raz nie ma niczego do stracenia, raz wiele.



Rozważania autora można podzielić na dwie główne kategorie, podział ten zamieściłem już w pytaniu na początku, chodzi o ekonomię i stosunki społeczne. Magary nie jest ani wybitnym ekonomistą, ani tym bardziej filozofem, dlatego pytania natury etycznej wyraźnie pozostają bez odpowiedzi. Jednak jego opisy pozwalają czytelnikowi samemu próbować konstruować swoje wizje poradzenia sobie z chorobą, jaką mogłaby być nieśmiertelność. Przykłady wpływu długowieczności na różne sfery życia podda w książce multum, są to dłuższe wywody lub czasami krótkie anegdoty wypowiedzenia przez bohaterów. Z ciekawszych można podać napomniany już system emerytalny, który niejako przestanie mieć rację bytu, bo przecież można byłoby zostać wiecznym emerytem, więc jedynym słusznym rozwiązaniem jest praca do końca, chciałby się napisać życia, ale przecież one się nie skończy. Nieśmiertelność równa się rutyna, tak można by podsumować, bo kolejny przykład też może dać dużo do myślenia, a mianowicie, jaki sens ma przysięga małżeńska, gdy „aż nas śmierć nie rozdzieli” oznaczałoby nigdy?

Książka Nieśmiertelność zabije nas wszystkich w ciekawy sposób stymuluje nasz mózg. Jest napisana prostym językiem, dlatego nie trzeba być cały czas skoncentrowanym na lekturze, w obawie nie zrozumienia wątku. Natomiast proste pytania i przedstawione wizje powodują, że każdy, choć na chwilę zastanowi się nad konsekwencjami nieśmiertelności. Gdzie zmierza główny bohater i jego świat, odpowiedź jest prosta i autor podaje ją już w tytule.

Okrutny Wiatr

Autor: Glen Cook

Cykl: Imperium Grozy tom 1

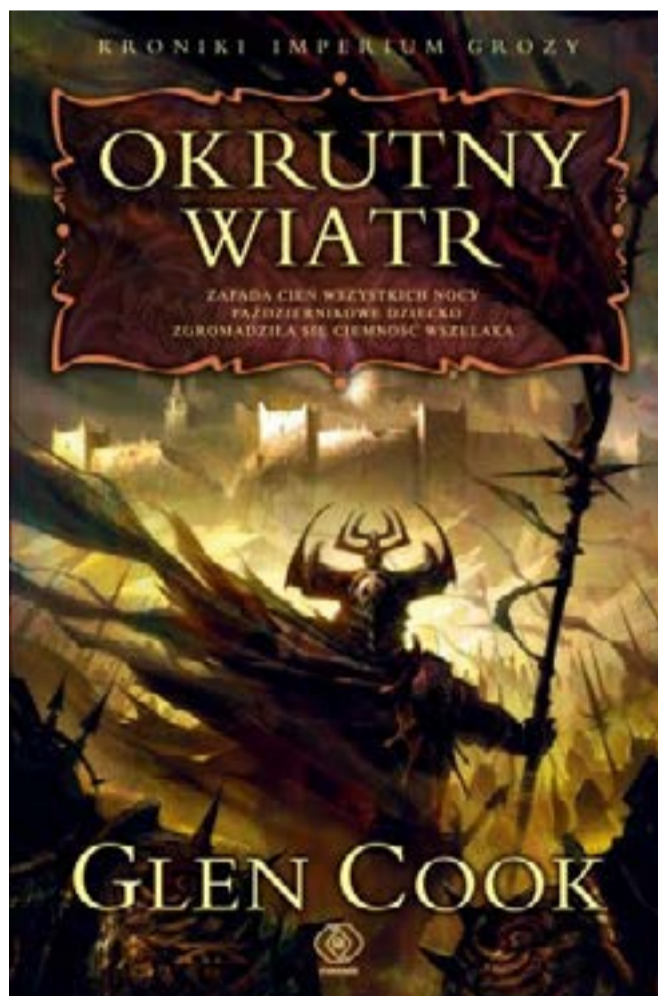
Liczba stron: 856

Wydawnictwo: Rebis

Okrutny wiatr to wydane razem trzy tomy cyklu Kroniki Imperium Grozy. Książka ukazała się we wrześniu bieżącego roku nakładem wydawnictwa Rebis, a w jej skład wchodzi kolejno powieści: Zapada cień wszystkich nocy, Październikowe dziecko i Zgromadziła się ciemność wszelaka. Autorem serii jest amerykański pisarz Glenn Cook.

Potężny, budzący przestach i szacunek czarownik Varthlokkur jest zdeterminowany, by być posłusznym Losowi. W ciągu długiego, kilkusetletniego życia zawsze starał się wypełniać swoje przeznaczenie – najpierw biorąc odwet za śmierć spalonej na stosie matki, później pozyskując dla siebie ludzi, którzy mogą być w jakiś sposób użyteczni. Upór Varthlokkura połączony z wielką magiczną mocą staje się powodem wielu konfliktów, intryg i wojen. Nie wszyscy chcą podporządkować się woli czarodzieja, niewielu jest gotowych z równą pokorą przyjmować wyroki Losu. Buntownicy to: piękna, ciemnowłosa Nepanthe, którą Varthlokkur upatrzył sobie na towarzyszkę, jej małżonek Saltimbanco, zwany również Szydercą, jej bracia, Królowie Burzy i wielu, wielu innych. Ich skomplikowane perypetie ukazują zarówno problemy związane ze strategią militarną i dyplomacją, jak i kwestie honoru, miłości i zawierania bolesnych kompromisów.

Okrutny Wiatr cechuje się imponującym rozmachem epickim. Wątki są rozbudowane, przemyślane i pełne szczegółów. Dbłość o detale robi wrażenie, ma jednak swoją cenę – długie opisy sprawiają, że opowieść rozkręca się bardzo wolno. Książka zaczyna wciągać w momencie, do którego mniej cierpliwi czytelnicy zapewne nie zdołają nawet dobrać. Akcja jest mało dynamiczna i powieść momentami po prostu nuży.



Jednocześnie jednak narracja prowadzona jest na wielu frontach i w kilku perspektywach czasowych. Różne, z początku niezwiązane ze sobą elementy fabuły przeplatają się ze sobą w gąszczu retrospekcji i niedomówień. Taki styl opowiadania wymaga od autora żelaznej dyscypliny, łatwo bowiem wprowadzić do historii chaos. Glen Cook nie do końca sprostął – momentami ogarnięcie wszystkich wątków, postaci i zdarzeń przysparza czytelnikowi nie lada trudności.

Najślabszym punktem powieści jest koszmarne, pełen niezręczności język. Niezależnie od tego, czy wina leży po stronie autora, czy też książka została „uszkodzona” niestarannym przekładem, kanciaste zdania przeszkadzają w lekturze. Formalnych błędów jest niewiele, jednak dialogi są przydługie i toporne, a sztucznością dorównują niemal wypowiedziom bohaterów polskich telenowel. Na początku każdego rozdziału Cook zaznacza, w jak odległej przeszłości rozgrywa się akcja, jednocześnie jednak nie zadaje sobie minimum trudu, by wystylizować język. Niezależnie od momentu dziejów, sytuacji, statusu społecznego i majątkowego postaci mówią tak samo, co daje

płaski, nijaki efekt.

Autor wyżył się natomiast na innym polu. Ujawnił bowiem silną skłonność do wyszukanych porównań i brawurowych metafor, których nie powstydziliby się z pewnością sam mistrz Paulo C. Czytelnik powinien przygotować się psychicznie na rozważania o „mrocznych prądach emocji”, „rozbijaniu się o skały mentalnych blokad” i „lampartach myśli, doganiających ducha małpiej imaginacji”. Niektóre fragmenty są jedynie zabawnie pretensjonalne, niektóre jednak zupełnie nie przystają do stylu i tematyki powieści.

W przeciwieństwie do wielu twórców powieści przygodowych i fantastycznych, Cook nie uległ pokusie snucia knajackiej, brutalnej narracji, znanej chociażby z książek Andrzeja Sapkowskiego, czy bijącego ostatnio rekordy popularności Goerge’a R. Martina. Nie ma w zasadzie wulgaryzmów, plastycznych, efekciarskich sprawozdań z bitew, egzekucji, amputacji i defekacji.

Książka jest bardzo przyzwoicie wydana. Zapewne ze względu na dużą objętość (ok. 850 stron) wykorzystano mało popularny format B5. W środku standardowa dla wydawnictw tego typu mapa świata przedstawionego.

Przyznam, że lektura Okrutnego wiatru wiązała się ze swego rodzaju dysonansem poznawczym. Glen Cook ma w Polsce ekipę zagorzałych fanów, którzy uważają go za twórcę kultowego, zaś jego książki za świetne, oryginalne i niezwykle istotne dla rozwoju literatury fantasy. Spotkałam się do tej pory z niemal wyłącznie wysoką oceną twórczości tego autora i byłam przygotowana na dawkę świetnego fantasy. Niestety, w Kronikach Imperium Grozy widzę jedynie przeciętną, tradycyjną fantastykę. Prawdopodobnie między mną a Glenem Cookiem zwyczajnie „nie ma chemii” i dlatego nie potrafię dobrze się bawić przy jego książkach. Niemniej jednak życzę wszystkim czytelnikom, by w Okrutnym wietrze zdołali znaleźć to, czego ja – mimo uporczywych poszukiwań – znaleźć nie zdołałam.

[Recenzja ukazała się pierwotnie na portalu fantasta.pl](#)

[Zuzanna Reszka](#)

Portret Pani Charbuque/ Asystentka Pisarza Fantasy

Autor: Jeffrey Ford

Liczba stron: 528

Wydawnictwo: Mag

Ocena: 10/10

Tego roku Wydawnictwo Mag zafundowało podwójną przyjemność z czytania zamkniętą w jednej książce. Mowa jest tu o „Portrecie Pani Charbuque” i „Asystentce Pisarza Fantasy”, których autorem jest Jeffrey Ford. Zestawienie to umożliwiło zapoznanie się zarówno z powieścią, jak i opowiadaniem pisarza, dzięki czemu przed czytelnikiem rysuje się interesujący świat wyobraźni wyrażony poprzez użycie różnych gatunków literackich poczynając od fantasy skończywszy na horrorze i romansie.

Zbiór opowiadań zatytułowany „Asystentka Pisarza Fantasy” oferuje czytelnikowi mieszankę wymienionych powyżej gatunków, dzięki czemu każdy znajdzie wśród opowiadań coś, co przykuje uwagę i skłoni do refleksji, tym bardziej że każde opowiadanie ma ukryty sens do którego czytelnik jest prowadzony z każdą linijką jak również z każdym słowem autor wciąga w swój dziwny świat co raz bardziej.

W zbiorze znaleźć można kilka odwołań do problematyki religijnej w „Stworzeniu” mały chłopiec próbuje tchnąć życie w postać, którą zrobił z gałęzi i kory, lub w historii „W drodze do Nowego Egiptu” pewien kierowca bierze autostopowicza, którym okazuje się Chrystus. Także elementy science fiction w „Mieście Egzo– Szkieletów”, czy w opowiadaniu: „Pływanie w Lindrethool”. To pierwsze opowiada o planecie rozumnych robali, na której człowiek handluje filmami w zamian za substancję zapewniającą pożądanie. Jednakże nie każdy film wzbudza chęć handlu z Ziemią. Na planecie robali święcą triumfy „Ben Hur”, „Obywatel Kane” no i oczywiście „Przeminęło z wiatrem” Dlatego też ludzie przybywając na tą planetę przywdziewają egzo– ciała upodabniające ich do bohaterów filmów, ale też umożliwiają życie w warunkach pozaziemskich.

„Pływanie w Lindrethool” to historia handlowca– domokrądcy sprzedającego ludzkie mózgi w kulach wypełnionych płynem, umożliwiających sterowanie mową wszystkich urządzeń gospodarstwa domowego. Zarysowana w tym opowiadaniu wizja dehumanizacji człowieka może przyprawić o ciarki na plecach tym bardziej, jeśli potraktuje się ją alegorycznie. Z drugiej zaś strony niesamowite poczucie humoru autora ukazuje świat sprzedawców w krzywym zwierciadle. Choćby to, że znana technika „stopy w drzwiach”, którą

opisał Robert Cialdini w opowiadaniu Forda ma wymiar dosłowny i polega na włożeniu stopy między próg a drzwi. Wiadomo, czym może się to skończyć dla niechcianego sprzedawcy mózgow.



Warte uwagi jest też opowiadanie „Zombie Malthusiana”, opowiadające o pewnym tajnym eksperymencie rządowym i staruszku z sąsiedztwa, który okazuje się naukowcem nie mogącym wrócić do domu. Jednakże ciężko jest oceniać zbiór, który obfituje w tak różnorodne formy, a każde opowiadanie potrafi zadziwić niesamowitą wyobraźnią autora, a można ją odkrywać na 16 różnych sposobów, bo tyle opowiadań liczy ten zbiór.

Druga część książki to powieść, którą trudno jest poddać klasyfikacji gatunkowej. Znajdziemy w niej elementy magii, mistycyzmu, romansu i kryminału. Całość buduje napięcie i budzi emocje, ale także i zdziwienie. Chociaż wydawałoby się, że po przeczytaniu nader oryginalnych opowiadań w zbiorze: „Asystentka Pisarza Fantasy”, czytelnika nie powinny zaskoczyć nader niekonwencjonalne metody wróżenia opisane w tej pozycji.

Akcja opisanej przez J. Forda historii toczy się XIX-wiecznym Nowym Jorku, w czasie kiedy fotografia zaczęła święcić triumfy, pośród wyższych warstw społecznych wzrosła wartość portretów malowanych ręką artystów, takich jak główny bohater Piero Piambo. Pewnego dnia malarz dostaje dość ekscentryczne zamówienie na portret pewnej damy, którą się okazuje tytułowa Pani Charbuque. Portrecista ma namalować jej wizerunek opierając się wyłącznie na słownych wskazówkach otrzymywanych od swojej zleceniodawczyni, która zastrzegła, że podczas ich spotkań będzie ukryta za parawanem, a rozmowa między nimi nie będzie mogła dotyczyć jej wyglądu. Piambo przystał na to szalone zamówienie, ponieważ jego realizacja opiewała na olbrzymią sumę pieniędzy. Jednakże aby otrzymać zapłatę musiał idealnie odtworzyć wygląd swojej klientki.

Dreszczyku opowieści dodaje egzotyczna choroba, której zasięg rozszerza się wraz z rozwojem wypadków. Zapadają na nią kobiety, a pierwszym objawem są krwawe łzy. W mieście rośnie panika, co raz więcej kobiet umiera, a Piambo zapuszcza się meandry tajemniczych opowieści Pani Charbuque, które wydają się tak bardzo nierealne, że wraz ze swym przyjacielem, również malarzem próbują na własną rękę przeprowadzić śledztwo, mające na celu uwiarygodnić opowieści tajemniczej kobiety. Śledztwo się zapętla i mimo poszukiwań, Piambo dalej nie wie jakie tajemnice kryje postać za parawanem. Otoczka tajemnice okrywa cały ten tekst, a ja zapraszam czytelnika do wejścia w tę magiczną atmosferę książki J. Forda.

Katarzyna Dorskocz

Świat bez bohaterów

Autor: Brandon Mull

Seria: Pozaświatowcy

Ilość stron: 544

Wydawnictwo: Mag

Ocena: 7/10

Brandona Mulla znaleźliśmy do tej pory z jego bestsellerowego cyklu „Baśniobór”, który odniósł spory sukces i cieszył się dużym wzięciem wśród czytelników. Mull swoją twórczość adresuje raczej do młodszych czytelników, stąd też i jego nowy cykl „Pozaświatowcy”, którego pierwszy tom „Świat Bez Bohaterów” wydało właśnie wydawnictwo Mag spokojnie można polecić tej grupie czytelników.

Jason, kilkunastoletni bohater powieści, trafia do Lyrian i to trafia wpadając w paszczę hipopotama, co chcąc nie chcąc wywołało uśmiech na mojej twarzy. Stwierdziłem, iż już faktycznie większość pomysłów na przejście do innego świata zostało wykorzystanych, by autor chwycił się tak komicznego pomysłu. Tu plus dla niego. Będąc już w świecie równoległym nasz bohater co rusz wpada w różne tarapaty, z których dzięki swojemu sprytowi wychodzi cało. W całej powieści nie brakuje różnych historii, które będąc absurdalne wywołują śmiech, jak choćby już pierwsza przygoda Jasona, który widząc na tratwie grupę muzyków, którzy w proteście przeciw tyranowi postanawiają spaść do wodospadu. Dalej jest równie ciekawie i często wesoło.



Otóż światem, do którego trafia Jason rządzi tyran, zły czarnoksiężnik Maldor, którego można pokonać tylko poprzez odkrycie magicznego słowa, którego poszczególne litery zostały ukryte w różnych miejscach Lyrian. Jak możemy się domyślić, wielu śmiazków próbowało odszukać cały wyraz i nikomu się to nie udało. Zadania podejmie się również Jason wraz z przyjaciółką, Rachel, która również trafiła do tego świata z Ziemi. Każda przygoda, która ich spotka przypomina kolejne etapy gry przygodowej, bo by zdobyć każdą kolejną literę, nasi bohaterowie muszą wykonać jakieś zadanie o różnym stopniu trudności. Na tym motywie opiera się cała fabuła „Świata Bez Bohaterów”.

Sama kreacja świata, jak dla mnie jest bardzo uboga, autor opisuje tylko te miejsca, do których udać się muszą nasi bohaterowie, jednak w skali makro świat przedstawiony jest jak dla mnie niewystarczająco opisany. Ten mankament wynagradza nam Mull kreacjami poszczególnych bohaterów i postaci, które poznajemy w trakcie czytania.

Podsumowując „Świat Bez Bohaterów” Brandona Mulla jest książką, która na pewno nie wyznacza nowych trendów w fantastyce, co

bynajmniej nie jest minusem, gdyż w tego typu narracji przeznaczonej dla młodszych czytelników przemaglowano już chyba wszystkie możliwe scenariusze, jednak dzięki sprawnemu prowadzeniu akcji, dużej dawce humoru i ciekawym postacią warto sięgnąć po tę książkę. Nie będę ukrywał, iż czekam na kolejne tomy cyklu.

Marek Dorskocz

Teoria Diabła i inne spekulacje

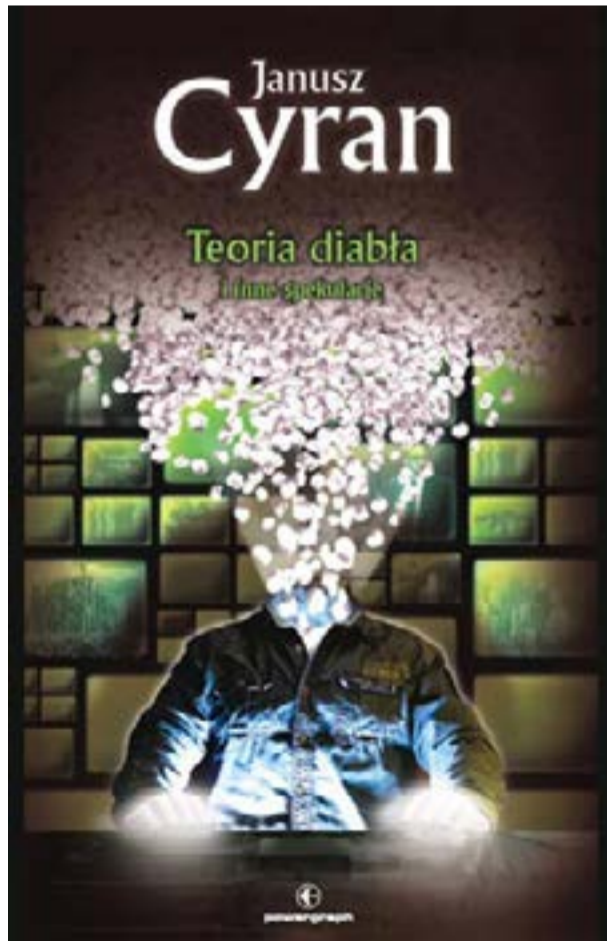
Autor: Janusz Cyran

Wydawnictwo: Powergraph

Liczba stron: 504

Ocena: 8/10

Ile razy bywało tak, że kontrowersyjne, zachęcające tytuły okazywały się nie mieć żadnego pokrycia z oczekiwaniami, a ciekawe slogany reklamowe mówiące, że tę książkę musisz mieć, bo jest doskonała, można by użyć równie dobrze w toalecie w wiadomym celu. Dlatego początkowo Teorię Diabła Janusza Cyrana potraktowałem chłodno, mimo, że intrygujący tytuł, podobnie odczucia sprawiła informacja, że światy, które tworzy Cyran podobne są do obrazów Beksińskiego. Zaintrygowało mnie to ostatnie zdanie i byłem przekonany, że jest to niemożliwe by było prawdą. Jednak z lekturą kolejnych opowiadań zmieniałem swoje podejście.



Na wstępie wypadałoby się przyznać, że dawno nie czytałem takiej książki. Trudno, to nawet sprecyzować, bo słowo ciekawe, nie do końca odda, to jak chciałbym ją określić. Każde opowiadanie mi pasowało, trudno znaleźć jakikolwiek zgrzyt. Do tego pierwszy raz muszę zgodzić się z reklamą – owszem opowiadania Cyrana działają na wyobraźnię podobnie, jak obrazy Beksińskiego i nie ma w tym stwierdzeniu żadnej przesady.

Każde opowiadanie przekonywało mnie, że muszę zapoznać się z każdą twórczością Cyrana, ponieważ to, w jaki sposób bawi się konwencjami i narracjami, jest zaskakujące, a zaskakuje łatwość. Mamy tutaj opowiadania z perspektywy bohatera, z trzeciej osoby, a nawet jedno stosując niejako rozkazy dla naszej wyobraźni (opowiadanie Rien du tout). Każdy kolejny krok, który wykonuje za szaleńczym biegiem obrazów, jaki pod nasze oczy podkłada autor, jest niepokojący, ale i tak ciekawość zwycięża. Robisz więc krok i wcho-

dzisz na wycieczkę po istnym postapokaliptycznym lunaparku. Atrakcji jest mnóstwo, sam Janusz Cyran zaprasza cię byś postrzelał do obcych form życia, nagrodą będzie superpancerz, który zawładnie twoim ciałem, umysłem i staniesz się prawie niezniszczalny. W domu strachów czeka na czytelnika pojedynek z istotą boską stworzoną przez człowieka, a potrafiącą zniszczyć całą ziemię w kilka sekund. Diabelski młyn sprawi, że przed oczami pojawi się zarówno obca odległa planeta, na której pozornie nie ma żadnego życia, jak i skolonizowany mars. Po takiej wycieczce wyobraźnia nie będzie już taka sama.

Proza Cyrana działa właśnie w tak dziwny sposób, że powoduje intensyfikację myśli i wyobraźni. A zastanawiać się jest, na czym, bo światy, w jakie wpada czytelnik są naprawdę dziwne. I słowo wpada jest kluczem, bo jesteśmy wrzucani w wir wydarzeń. Nie ma słów wyjaśnień. Zwykle zagubienie czytelnika można uznać za minus, jednak w tym przypadku wdaje mi się zabiegiem potrzebnym, by potęgować siłę wyobraźni. W podobny sposób jesteśmy wyrzucani z kolejnych opowiadań. Jakby ktoś, niczym w Matrixie, wyciągnął nam kabel z mózgu. Cyran kończy swoje opowiadania w punkcie kulminacyjnym, niczym zręczny chirurg przecina fabułę skalpelem. A z tych fabuł stworzył piękną rzecz – Teorię diabła, książkę, która absorbuje.

Rzadko zdarza się, że książka fantastyczna potrafi człowiekowi zadać ten trud by pomyślał, rozważył pewne możliwości. A w moim przypadku dałem się porwać tym konstrukcją wyobraźni Janusza Cyrana. Polecam każdemu, kto lubi pobudzać swoją wyobraźnię czymś niebanalnym.

Jarosław Szóstka

Trupia Farma. Sekrety legendarnego laboratorium sądowego, gdzie zmarli opowiadają swoje historie

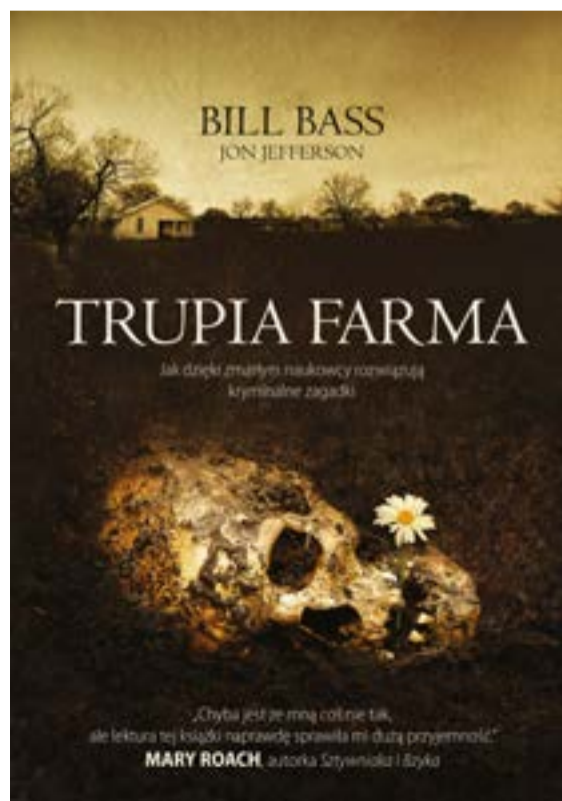
Autor: Bill Bass

Liczba stron: 344

Wydawnictwo: Znak

Ocena 10/10

Trupia Farma to miejsce badań nad rozkładem ciał, zainicjowanych przez antropologa dr Williama M. Bassa w 1971r. Aktualnie, takich miejsc w USA jest kilka, ale pierwsza farma powstała w Knoxville jako część Uniwersytetu Tennessee. Wcześniej przytoczona nazwa tego ośrodka, przylgnęła do niego za sprawą książki Patricii Cornwell.



Badania przeprowadzane w trupiej farmie wniosły duży wkład do kryminologii i umożliwiły realizację poszukiwań odpowiedzi na pytania stawiane przez antropologów sądowych. A do takich pytań należało określenie czasu zgonu, w sytuacji kiedy szczątki zostały odnalezione w późnym stanie rozkładu. Trupia farma umożliwia obserwowanie ciał wystawionych na działanie różnych czynników i w różnych miejscach, pod ziemią, na jej powierzchni wystawione na działanie drapieżników, w pomieszczeniach klimatyzowanych, czy pod warstwą betonu. Mimo to, że dla niektórych takie praktyki mogą się wydawać bezczeszczeniem zwłok, dzięki tym badaniom rozwiązano wiele spraw i udzielono pomocy wielu ludziom.

Bill Bass znany jako „Detektyw Kości” i Jon Jefferson w książce „Trupia farma”, podąża śladem zbrodni, tropiąc śmierć i opisując swoje kroki z dystansem naukowca. Przybliży historię spraw, opisuje miejsca zbrodni i problemy badawcze w sposób zrozumiały nie tylko dla antropologa. Jednocześnie z dużym zacięciem pedagoga przybliży zagadki zbrodni, wyjaśnia sposoby dojścia do prawdy i odkrywa tajemnice kryjące się w kościach.

Sposób narracji jest nacechowany prostotą trafnie podkreślającą funkcję książki, dedykowanej dla szerokiej grupy czytelników. Umożliwia także poznanie prywatnej strony życia Detektywa Kości, jego podejścia do pracy, stosunku do ludzkiej egzystencji, a przede wszystkim do jej końca. W tej pozycji znajdują się historie o nim samym, o ludziach z którymi pracował i których kształcił przez lata pracy, ale też o tych, którym przywrócił tożsamość oddał w ręce ich bliskich. Nie tylko relacjonuje przebieg wydarzeń, skupiając się na przyczynie i skutku działań, ale w interesujący sposób tłumaczy jak i w jaki sposób dany przypadek został rozwiązany.

Książka w dużej mierze nie dotyka metafizycznego wymiaru śmierci, skupia się na jej pomiarach w materialnym świecie i powinna zainteresować fanów seriali typu: „Kości”, „CSI: Kryminalne zagadki”, czy „Agenci NCIS”, ale nie tylko. Na jej kartkach odkrywamy wiarę w człowieka, potęgę nauki i wartość przeprowadzanych badań. Ta książka, to zaproszenie do świata śmierci, gdzie życie zmarłych można wyczytać z kości, cofać się w czasie i poznawać historię. Warto na nie odpowiedzieć, tym bardziej że Detektyw Kości, czeka, znany z tego, że chętnie oprowadza po swojej Trupiej Farmie.

Katarzyna Dorskocz

Wilczyca i Córka Ziemi

Autor: Henri Loevenbruck

Wydawnictwo: Wydawnictwo Otwarte

Liczba stron: 320

Ocena: 9/10

Alea jest trzynastoletnią sierotą przyzwyczajoną do radzenia sobie w każdej sytuacji. Odkąd pamięta, mieszka w Saratei, w hrabstwie Sarre, chociaż określenie jej egzystencji mieszkaniem nie oddaje całej prawdy. Dziewczyna nie posiada stałego lokum i, jako osoba bezdomna, radzi sobie tak, jak umie. Nie ma także pracy i, aby przeżyć, często musi kraść. Czasem jednak zdarza jej się uczciwie zarobić na życie. Pewnego dnia, gdy kolejny raz zostaje przepędzona z miasta, na wrzosowisku przypadkiem znajduje zakopanego człowieka. Zaintrygowana tajemniczym, pięknym pierścieniem i przekonana, że jego właściciel jest martwy, Alea zdejmuje mu go z palca. Nieoczekiwanie dłoń zaciska się na jej ręce i przerażona dziewczyna ucieka do miasta, aby poinformować odpowiednie władze o swoim znalezisku. Nie wie jeszcze, że pierścień odmieni całe jej życie.

Alea jest główną bohaterką powieści Wilczyca i Córka Ziemi, będącej pierwszym tomem trylogii „Mojra”. Jej autor, Henri Loevenbruck, jest znanym autorem książek przygodowych, fantasy, thrillerów politycznych, scenariuszy telewizyjnych i tekstów piosenek. Zadebiutował w wieku 25 lat pod pseudonimem Philippe Machine. Trylogia „Mojra” należy do utworów fantasy i, choć została ztargetowana do młodych czytelników, może zainteresować także starszych odbiorców.

Wilczyca i Córka Ziemi jest nie tylko moim pierwszym spotkaniem z Aleą, ale również z twórczością Loevenbrucka. Żonę, która szybko przeczytała trzy części, potraktowałem jak królika doświadczalnego. Jednak, mimo że bardzo jej się spodobała i polecała mi lekturę, dopiero niedawno zdecydowałem się sięgnąć po pierwszy tom. Teraz tego żałuję, albowiem autor wykreował bardzo ciekawy świat, przedstawił mi żywych bohaterów, których zachowanie i postępowanie nie raz mnie zaskoczyło, a także sprawił, iż zapomniałem o szarości codziennego życia.

Główna bohaterka jest interesującą postacią – żywiołowym i upartym dzieckiem. Nauczona przez życie samodzielności i konsekwencji w działaniu, realizuje swój plan. Chce wyrwać się z biedy, odmienić swoje życie, pokazać innym ludziom, że jest coś warta i odnaleźć przyjaciółkę z dzieciństwa. Ale, choć wierzy, że sama potrafi pokierować własnym losem, zauważa, że jest zależna od woli bogini, której nie potrafi się przeciwstawić. Co prawda życie Alei ulega zmianie, a marzenie o niezwykłej przygodzie się ziszcza, jednak dziewczyna ze zdziwieniem i przerażeniem zauważa, iż poddawana jest tajemniczemu i magicznemu siłom. Mojra ma wobec niej pewne plany i stawia na jej drodze istoty, o których istnieniu nastolatka nie miała pojęcia. Chochliki i elfy okazują się bytami istniejącymi naprawdę oraz tak realnymi, jak ludzie i wilki. Podobnie zresztą, jak przerażające gorguny i żyjące pod ziemią tajemnicze plemię Tuathannów. Dziewczynka nie tylko przeżywa największą i mroźną krew w żyłach przygodę swojego życia, poznaje inne kultury, samą siebie, ale także zagłębia się w świat magii i uczuć. Uczy się odpowiedzialności za siebie i innych, w szczególności za Mjollna, sympatycznego, rudobrodego krasnoluda. Na jego przykładzie autor ukazał, między innymi to, jak samotność i odrzucenie przez innych potrafi zbliżyć do siebie różne istoty oraz sprawić, że połączy je przyjaźń.



Równie interesującą postacią jest mężczyzna znany pod imieniem Felim. To jeden z Wielkich Druidów, którego los Mojra połączyła z Aleą. Nie wierzy, że dziewczyna, zabierając pierścień, posiadała moc Samildanacha. Była ona w posiadaniu najpotężniejszego druida. Felim postanawia bezpiecznie doprowadzić Aleę przed oblicze Arcydruida i Radę Druidów przebywających w Sai-Minie. Choć, z początku, nie wierzy w jej moce, zdaje sobie sprawę z groźnego jej śmiertelnego niebezpieczeństwa. Tropem dziewczyny podąża bowiem bezlitosny Ayn Sulthor, książę Herilimów, zbuntowanego zakonu druidów, będący na usługach żadnego zła Maolmórdhy. Już sam ten fakt daje Felimowi mocno do myślenia.

Powyżej wymieniłem tylko przykładowych bohaterów, ale w pierwszym tomie „Mojry” roi się od żywych, interesujących charakterystyk, do których mógłbym zaliczyć także młodego magistela Erwana, żywo zainteresowanego Aleą. Wszyscy są ciekawi, a zachowanie kilku z nich wydało mi się kontrowersyjne.

Na tle licznych pozytywnych postaci, „wojowników jasnej strony mocy”: druidów, elfów, chochlików, kobiety barda i krasnoluda, wyraźnie dostrzegłem szwarccharaktery, reprezentowane w utworze przez Sulthora i Maolmórdhę. Obaj zostali przedstawieni jako istoty pozbawione ludzkich uczuć i reprezentują zło w najczystszej postaci.

Opisując, występujące w utworze, charakterystyki nie mogę pominąć jeszcze jednej. Jest nią Imala. To samotna wilczyca, pokonana przez Ahenę, dominującą samicę w stadzie. Podobnie jak Alea, jest inna. Różni się kolorem umaszczenia, siłą i nie jest tolerowana przez współbraci. Ona także musi sama walczyć o przeżycie. Po śmierci szczeniąt, odchodzi ze stada. Również nią kieruje kaprys bogini.

Bardzo interesujący jest również świat przedstawiony w Wilczycy i córce Ziemi. Fabuła książki rozgrywa się w epoce zwanej Trzecią Erą, w bliżej nieokreślonej przeszłości. Miejscem akcji jest podzielona na cztery hrabstwa Gaelia, w której na sile przybiera konflikt religijny między wyznawcami Mojry, a religią chrześcijańską. Autor przedstawił opisane wydarzenia jako legendę o wilczycy Imali i Alei, nazywanej Córką Ziemi.

Jak przystało na powieść fantasy, w utworze występują elementy magii. Spodobały mi się plastycznie i bardzo realistycznie opisane miasta, takie jak Saratea oraz siedziba elfów i Sai-Mina. Loevenbruck, kreując fabułę i tworząc bohaterów, wykorzystał także współ-

czesną wiedzę dotyczącą obrzędów druidów, ich zasad moralnych i religijnych oraz wykorzystał imiona bogów celtyckiego panteonu, odpowiednio je modyfikując. Brakowało mi jednak przypisów lub wyjaśnień, w których autor przybliżyłby czytelnikom, nie obeznanym z mitologią irlandzką, pierwowzory wykorzystanych imion. Jest to, niestety, jeden z kilku mankamentów opisywanej książki. Chętnie poznałbym także tłumaczenia obcojęzycznych zwrotów pojawiających się w dialogach, ale ich, niestety, nie znalazłem. Innymi minusami pierwszego tomu „Mojry” są, występujące w treści, literówki oraz zapowiedzi – wyprzedzanie przez Loevenbrucka przyszłych zdarzeń. Dostrzegłem także, pod koniec książki, zastosowaną kursywę, której, moim zdaniem, nie powinno być.

Wracając do plusów utworu, autor dobrze ukazał dwa światy – ludzki i zwierzęcy. Są piękne i zarazem przerażające. Szczególnie widać to w brutalności, jaką kierują się ludzie wobec niższych gatunków. Imala, która zaufała istotom dwunożnym, nie potrafi zrozumieć, dlaczego ci nagle chcą ją zabić. Wilczyca poluje z głodu, a co kieruje jej oprawcami? Zwierzęta walczą o miejsce i dominację w stadzie, a ludzie? I choć Wilczyca i Córka Ziemi jest momentami brutalna, dobrze ukazuje różnicę między dwoma gatunkami. Zupełnie inaczej jest w przypadku Maolmódrhy i księcia Herilimów, ale oni nie znają granicy zła.

Urzekła mnie szata graficzna utworu. Na utrzymanej w mrocznych barwach miękkiej bezskrzydełkowej okładce, przedstawiono młodą dziewczynę, przed którą stoi biały wilk. Patrząc na nich, miałem wrażenie, że zwierzę ochrania nastolatkę. Oboje znajdują się na tle lasu, ale są od niego oddzieleni światłością otaczającą i wypełniającą coś w kształcie portalu. Nad wyróżniającymi się tytułem utworu oraz imieniem i nazwiskiem autora znajduje się nazwa trylogii do której należy książka. Wydawca nie zapomniał zamieścić na obwolucie także notki o powieści i informacji o Loevenbrucku, a w utworze znajduje się mapa, dzięki której mogłem śledzić podróż Alei.

Wydawca zastosował w powieści dwa czytelne kroje czcionki: jeden do głównej, trzecioosobowej narracji, a drugi, kursywę, do wyrażeń pochodzących z obcych języków i przedstawienia snów głównej bohaterki. Elementy fabuły różnią także zastosowanymi przez autora czasami przeszłym i teraźniejszym.

Podsumowując, Wilczyca i Córka Ziemi jest interesującą lekturą i, chociaż została ztargetowana do młodzieży, polecam ją także starszym czytelnikom, którzy znajdą w niej nie tylko intrygujących bohaterów i nieoczekiwane zwroty akcji, ale mogą się zastanowić nad ludzką naturą i tym, co kieruje homo sapiens sapiens. Młodszy odbiorcy, w trakcie lektury, będą mogli poznać smak przygody, razem z główną bohaterką przypatrzeć się obrzędom druidów, przenieść do osnutego legendą świata i odnaleźć echa legendy Agarthy. Ponieważ autor nie zakończył wszystkich wątków i dostrzegam jego twórczy potencjał, przypuszczam że lektura kolejnych części „Mojry” również sprawi mi dużo przyjemności.

Konrad Staszewski

Delirium

Autor: Lauren Olivier

Liczba stron: 360

Wydawnictwo: Wydawnictwo Otwarte

Ocena: 9/10

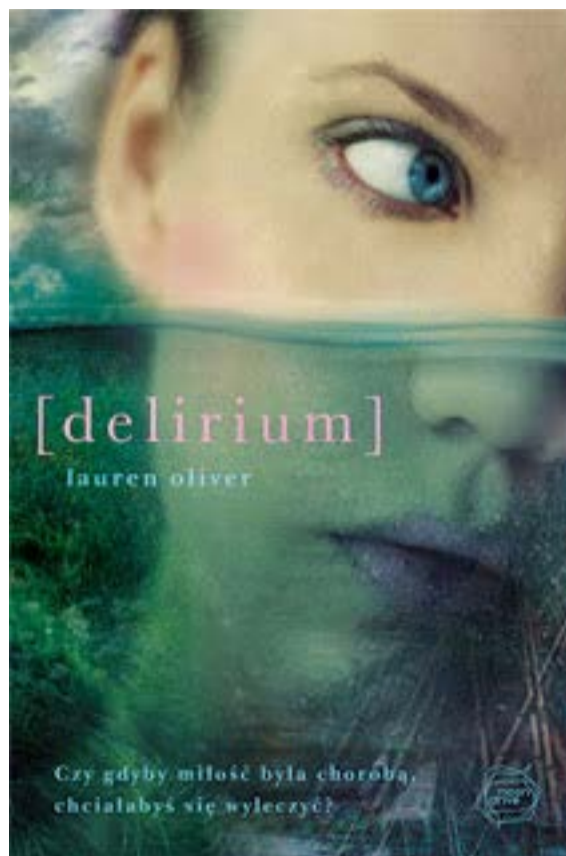
Po „Delirium” autorstwa Lauren Oliver sięgnęłam dopiero kilka miesięcy po jej premierze. Obawiałam się trochę czy książka ta sprosta moim oczekiwaniom, gdyż szum o niej był nie mały. Dopiero po zapoznaniu się z tekstem nawiązującym do „Igrzysk Śmierci”, który znajduje się na odwrocie książki, postanowiłam, że pora poznać świat bez [miłości].

„Delirium” opowiada historię młodej dziewczyny – Leny, która żyje w futurystycznym świecie, gdzie odnaleziono lekarstwo na [miłość]. W miejscu, które z każdej strony otoczone jest ogrodzeniem pod napięciem i panują tam rygorystyczne zasady. Ponadto – ludzie wyprani są z wszelkich emocji, a całe swoje dzieciństwo i młodzińcze lata poświęcają na przygotowanie się do przypisanej im roli. [Miłość] jest najgorszą rzeczą, jaka może się im przydarzyć. Wszystko kręci się wokół tego, aby uniknąć zarażenia amor delira nervosa.

Książka pisana jest z punktu widzenia Leny. Możemy obserwować jej przygotowania do najważniejszego dnia w życiu – zabiegu, dzięki któremu będzie wolna od potencjalnego zachorowania. Dowiemy się czemu wyzbycie się wszelkich uczuć jest dla niej tak ważne. Czy

może oszukać przeznaczenie?

To już druga książka Lauren Oliver, którą miałam okazję przeczytać. Muszę przyznać, że autorka ma niecodzienny styl, a jej opowieści nie polegają tylko na samej fabule. Autorka wykreowała swój własny świat, który jest zupełnie nowy i świeży. Ukazane zostały różne elementy życia ludzi, których pozbawiono uczuć. Myślę, że czasami każdy z nas zastanawia się jak wyglądałby świat bez [miłości], a Oliver przedstawiła nam swoją wersję. Nasuwa się pytanie – Czy gdyby miłość była chorobą, chciałbyś się wyleczyć?



Na początku każdego rozdziału zostały umieszczone specjalistyczne publikacje. Jest to świetny pomysł! Z przyjemnością zapoznawałam się z fragmentami książek, które są dla mieszkańców świata wolnego od [miłości] jak Biblia. Jeśli chodzi o okładkę, to jak zwykle graficy Wydawnictwa Otwartego spisali się na medal. Na okładce, tak jak w samej książce, wiele się dzieje.

Moim zdaniem stereotypy oraz wszelkie oskarżenia kierowane do [miłości] są niedorzeczne. Uważam, że każdy powinien ją przeżyć, bo to właśnie ona czyni nas ludźmi. Uwrażliwia i daje powód do dalszej egzystencji. Bez niej każdy z nas byłby jedynie pustą skorupą. „Delirium” z całą pewnością zaliczam do książek wartych polecenia. Na pewno jeszcze kiedyś do niej wrócę.

Zuzanna Korasiak

Recenzja pierwotnie ukazała się na portalu: www.recenzjum.blogspot.com

Igrzyska Śmierci

Autor: Suzanne Collins

Liczba stron: 352

Wydawnictwo: Media Rodzina

Ocena: 9/10

Nie jestem fanką Suzanne Collins, ale z powodu wszechobecnej fascynacji „Igrzyskami Śmierci” postanowiłam sięgnąć po tę pozycję. Szczerze mówiąc – nie żałuję, choć moja przygoda z tą książką nie zapowiadała się czarująco. Po zakupie przystąpiłam do lektury, ale fabuła nie wciągnęła mnie od razu.

Dopiero po jakimś czasie powróciłam do poznawania złożonego świata, w którym przyszło żyć głównej bohaterce – Katniss Everdeen. Ten świat, to totalitarne państwo Panem, powstałe na terenie dawnej Ameryki Północnej. Kierowane jest przez Kapitol, który otacza Trzyście Dystryktów. Szesnastoletnia Katniss, mieszkająca w Dystrykcie Dwunastym, prowadzi nas przez karty powieści. Wszystkie

zdarzenia przeżywamy razem z nią, gdyż autorka zastosowała narrację pierwszoosobową. Opis zdarzeń jest momentami tak wstrząsający i brutalny, akcja tak nieprzewidywalna, że ciężko jest pogodzić się z niesprawiedliwością i okrucieństwem przedstawionego świata.



Kapitol co roku urządza „Głodowe Igrzyska” – ulubione zawody mieszkańców stolicy. Przypominają one reality show, ponieważ kamery cały czas śledzą poczynania uczestników. Nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że „program” polega na zmuszaniu młodych ludzi do bratobójczej walki na śmierć i życie. Odbywa się to w ciężkich warunkach i z licznymi niespodziankami, zsyłanymi z „góry”, ku uciesze widzów. Igrzyska te kończą się dopiero wtedy, gdy na arenie pozostaje tylko jeden zawodnik. Z każdego dystryktu wybierana jest para uczestników – trybutów w wieku między dwunastym a osiemnastym rokiem życia. I to właśnie oni zmuszani są do walki na śmierć i życie.

Tylko dwa, te bogatsze Dystrykty, przygotowują swoją młodzież do tego wydarzenia. Im większy numer dystryktu, tym gorsze warunki w nim panują. Jednak dla Katniss igrzyska śmierci trwają już długo. Od śmiertelnego wypadku ojca w kopalni dziewczyna walczy o przetrwanie swoje i swojej rodziny. Całymi dniami poluje w lesie, zakazanym miejscu dla mieszkańców dystryktu, aby wyżywić matkę i młodszą siostrę. To właśnie za sprawą młodszej siostry, za którą czuje się odpowiedzialna, przypada jej wziąć udział w Głodowych Igrzyskach. Jako pierwsza w historii dwunastego dystryktu Katniss postanawia zgłosić się na ochotnika, aby uchronić przed pewną śmiercią dwunastoletnią Prim, która została wylosowana.

Tym czynem wzbudziła podziw wielu ludzi. Niestety, to są Igrzyska i nikt nie ma taryfy ulgowej. Wkrótce Katniss wraz z drugim trybutem – Peetą trafiają do stolicy, gdzie przygotowują się do nadchodzącego wydarzenia. Żyją, jak królowie – po raz pierwszy w życiu niczego im nie brakuje. Spełniane są ich zachcianki, mają wygodne apartamenty, a jedzenie nigdy nie znika. Nie należy się jednak temu dziwić, gdyż inni, biorący udział w igrzyskach, również żyją w takich warunkach. Kapitol nie żałuje im niczego, gdyż wkrótce to oni dostarczą wszystkim niezapomnianych emocji i rozrywki. Zaczną ginąć na arenie, ku uciesze tłumu. Czyhać będzie na nich śmierć głodowa, zamrożenie, spopielenie, a przede wszystkim możliwość zginienia z ręki innego trybuta.

Tak oto, po wielu dniach przygotowań, zarówno do walki, jak i do godnej prezentacji swojej osoby, bohaterka wraz z dwudziestoma trzema trybutami zostaje umieszczona na arenie. Teraz jest zdana tylko na siebie, no i na ewentualne podarunki od sponsorów. Podczas trudnej walki o przetrwanie Katniss przeżywa wiele przygód i targają nią różne emocje. Strach, bezsilność, zdeterminowanie, odwaga, współczucie, żal...

Mimo brutalności futurystycznego świata, książka ukazuje również ludzi, którzy zachowali pełnię swojego człowieczeństwa. „Igrzyska śmierci” są godne polecenia, a ja z pewnością sięgnę po dalsze przygody Katniss, opisane w kontynuacjach: „W pierścieniu ognia” i „Kosogłos”.

Zuzanna Korasiak

Recenzja pierwotnie ukazała się na portalu: www.recenzjum.blogspot.com

Viva l'arte Kłamca

Autorzy: Jakub Ćwiek (scenariusz), Dawid Pochopień (rysunki), Grzegorz Nita (kolory)

Wydawnictwo: Sine Qua Non

Liczba stron: 68

Ocena: 7/10

Jakub Ćwiek oficjalnie oświadczył już, że zakończył swój książkowy cykl o Lokim, nordyckim bogu kłamstwa i ognia, który pracuje na usługach anielskiej elity. Jednak na pewno zrobił udany prezent tym, którym ciężko było rozstać się z „Kłamcą” po przeczytaniu czwartego i ostatniego tomu...

Fabula komiksu zatytułowanego „Kłamca Viva l'arte” osadzona jest między pierwszym, a drugim tomem książkowej sagi. Jakub Ćwiek na własnej skórze przekonał się, że praca nad komiksem znacznie różni się od pisania książek. Tu nie można operować opisywaniem przedstawionego świata, danego zdarzenia czy postaci. Tu główną rolę odgrywają wypowiedzi bohaterów oraz, oczywiście, ilustracje, które muszą mówić same za siebie. A osobami dbającymi o wizualną część tego projektu byli Dawid Pochopień (rysunki) oraz Grzegorz Nita (kolory).



Zapewne każdy wyobrażał sobie postać Lokiego na swój własny sposób, jednak książkowe okładki mocno sugerowały jego wygląd. Tutaj natomiast bohater przybrał formę, jakiej prawdopodobnie nikt się po nim nie spodziewał. Cały świat został przedstawiony przez rysownika w nieco groteskowy, zniekształcony sposób, a Loki, jak to przystało na boga oszustwa i kręactwa, do tego świata się przystosował. Efekty sam każdy może zobaczyć. Jedni ten styl polubią, inni skrytykują. Ja, muszę przyznać, nie gustuję w tego typu ilustracjach, jednak kreska Pochopnia bardzo wpasowała się w mroczny styl scenariusza, jaki serwuje nam Ćwiek.

Grzegorz Nita również bardzo dobrze wykonał swoją robotę. Kolorystyka zdecydowanie pasuje do rysunków oraz fabuły. Nie jest jaśkrawo i cukierkowo, a wręcz odwrotnie. Posępnie i złowrogo nawet, co można policzyć zdecydowanie na plus. Czasem jednak, gdy na planszy komiksu zbyt wiele się dzieje, kolory nieco się zlewają i akcja staje się mniej czytelna. Jednak, na szczęście, są to sporadyczne sytuacje.

Natomiast okładka komiksowego Kłamcy według mnie mogłaby być o wiele lepsza. Owszem, kreska i kolory wpasowują się w całość projektu, jednak mam wrażenie, że można by było z tego wycisnąć o wiele więcej, niż panowie przedstawili.

Loki ponownie pokazuje tu swoje drapieżne oblicze, choć może nieco zmodyfikowane na potrzeby komiksu. Jest czarny humor, jest ciekawa fabuła, nawiązania do popkultury oraz emocjonująca walka. I krew. Dużo krwi... I fruujące mózgi też są!

Ćwiek pokazuje, że przygody książkowego bohatera można również przenieść na karty komiksu i będzie nadal ciekawie. Mam wielką

nadzieję, że „Viva l'arte” to nie był jednorazowy wyskok pisarza i zdecydowanie mam ochotę na więcej. Może inni autorzy również dzięki temu zobaczą potencjał, jaki tkwi w komiksach i ujrzymy więcej podobnych publikacji o losach naszych ulubionych książkowych bohaterów.

Komiks polecam przede wszystkim fanom Lokiego oraz miłośnikom komiksu. Sądzę, że nie trzeba być zbyt obeznanym z czterotomowym cyklem książek, by móc zabrać się za lekturę „Viva l'arte”. Warto!

Alan „Zerr” Gajewski

Recenzja pierwotnie ukazała się na portalu: www.recenzjum.blogspot.com

Mądrości Shire. Krótki poradnik, jak żyć długo i szczęśliwie.

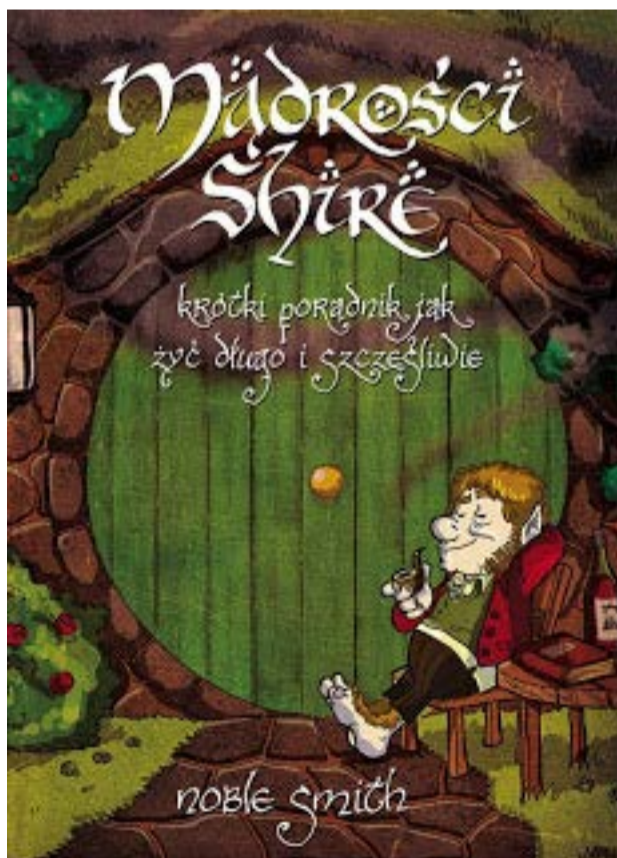
Autor: Noble Smith

Wydawnictwo: Sine Qua Non

Liczba stron: 232

Ocena: 8/10

Jeśli jeszcze nie zpuściłeś włosów na stopach, nie pykasz fajki i nie założyłeś przydomowego ogródka, to nie jesteś prawdziwym hobbitem! Książka „Mądrości Shire” autorstwa Noble Smitha pokaże ci jak szybko i skutecznie zostać jednym z nich! Serio. Pierwsze, o czym chcę tu nadmienić, to wspaniałe polskie wydanie, które zdecydowanie zasługuje na pochwałę. Co prawda – format niewielki, ale mamy twardą oprawę z bardzo ładną okładką wykonaną, można powiedzieć, w nieco komiksowym stylu, więc jak najbardziej w me gusta.



Ale o czym właściwie jest książka? „Mądrości Shire” jest swoistym przewodnikiem do życia w spełnieniu i szczęściu, niczym właśnie hobbici, którzy, jak niektórzy wiedzą, wiodą całkiem sielski żywot w swoim pięknym kraiku zwanym Shire właśnie. Jest tu także bardzo wiele przemyśleń i opinii autora na temat dzisiejszego egzystencjalizmu, społeczeństwa, nowych technologii i wielu wielu innych aspektach XXI wieku.

Dlaczego nie założyć plecaka i ruszyć w wielokilometrową pieszą wyprawę, dlaczego nie wylegiwać się do południa lub też dlaczego w urodziny to my musimy otrzymywać prezenty, a nie obdarowywać nimi swoich przyjaciół? To właśnie kilka kwestii tu poruszanych,

Jednak oprócz tego można dzięki autorowi spojrzeć również inaczej na twórczość Tolkiena. Sam Noble Smith jest wielkim fanem pisarza i rokrocznie czyta „Władcę Pierścieni”, „Hobbita”, czy też „Silmarillion” i dzięki jego spostrzeżeniom możemy spojrzeć na to wszystko również z innej perspektywy. Wychwycić wątki, których dotąd nie potrafiliśmy dostrzec. Odnaleźć głębszy sens w świecie Śródziemia.

Moim zdaniem nie jest to książka skierowana jedynie do miłośników Tolkiena. Owszem, oparta jest na jego dziełach, bohaterach i rasach, jakie wykreował, ale osoba niezaznajomiona tak dobrze z tematem również odnajdzie się w tym wszystkim. Poza tym w „Mądrościach Shire” niemal każda strona jest opatrzona stosownymi przypisami, które ułatwiają zdecydowanie odnalezienie się w temacie. Z drugiej strony – przymus ciągłego zerkania na dół strony może też trochę zniechęcić czytelnika, ale to już jest indywidualna sprawa.

Bardzo dużą zaletą w książce Noble Smitha jest bez wątpienia jego nienachalny styl z odrobiną dobrego humoru. Autor nie narzuca nam swoich przekonań, a co najważniejsze – nie robi tego wszystkiego bezpodstawnie. Trzeba tu wspomnieć, że zdecydowanie można mu przypiąć łatkę prawdziwego hobbita – wszystkie rady, jakimi nas raczy są przez niego przetestowane. Można nawet powiedzieć, że sam stara się żyć jak mieszkańcy Shire. Ze swojego domu zrobił norkę (och, nie dosłownie!), lubi uraczyć się dobrym piwem, zjeść syty posiłek, pyknąć fajeczkę i pobiesiadować ze swoimi przyjaciółmi. Smith pokazuje nam w swojej książce zalety takiego stylu życia, jaki wybrał on dla siebie i swojej rodziny.

Jednak oprócz tego są tu poruszane także bardzo ważne sprawy życia codziennego, z którymi nie każdy musi się zgodzić, ale na pewno większość skłonią one do chwili zastanowienia. Dokąd zmierza ten świat? Czemu ludzie żyją w ciągłym pośpiechu, nie mając chwili dla najbliższych? Jak ważną sprawą jest miłość i przyjaźń? Co to znaczy być odważnym?

W „Mądrościach Shire” nie zabrakło również i kilku rzeczy negatywnych. Mianowicie – jako osoba zaznajomiona nieco z twórczością J.R.R. Tolkiena, wyłapałem kilka nieścisłości odnośnie przytoczonych przez Smitha sytuacji. Jednak może to po prostu zwykłe niedopatrzenie ze strony autora lub też tłumacza. W każdym razie – nie jest to nic, z czego można by było robić tragedię. Natomiast odnośnie samego tekstu recenzowanej książki, to niekiedy autor powtarzał wspomniane już wcześniej sytuacje i wykorzystywał je do argumentowania czegoś innego lub też porzucał w pewnym momencie wątek i odbiegał od niego, by po kilku stronach znów do tego wrócić. Wprowadzało to czasem nieco chaosu w treści.

Mimo drobnych minusów, znaczną przewagę mają tu plusy. Książka zdecydowanie warta jest polecenia wszystkim! Nie mówię, że na zawsze zmieni ona Twoje życie, ale na pewno skłoni Cię do kilku chwil refleksji i dostarczy odrobiny rozrywki, a przy tym będziesz mógł poznać mieszkańców Śródziemia (jeśli jeszcze tego nie zrobiłeś)! No, i nie można zapomnieć o bardzo ciekawych dodatkach, jak przepis na „hobbicką zupę piwną z grzybami”, test na hobbita oraz krótki poradnik „jak założyć mały hobbicki ogródek”. Trzeba sprawdzić!

Alan „Zerr” Gajewski

Recenzja pierwotnie ukazała się na portalu: www.recenzjum.blogspot.com

Ostatni Smokobójca

Autor: Jasper Fforde

Cykl wydawniczy: Kroniki Jennifer Strange t.1

Wydawnictwo: Sine Qua Non

Liczba stron: 320

Ocena: 10/10

Dzięki wydawnictwu SQN miałem przyjemność (ogromną przyjemność!) zapoznać się z książką „Ostatni Smokobójca” jeszcze przed jej oficjalną polską premierą. Nawet nie wyobrażacie sobie, jak bardzo znów chciałbym mieć 12 lat i móc czytać takie książki całymi dniami!

No właśnie – „Ostatni Smokobójca” jest domyślnie skierowany do, raczej, młodszego odbiorcy, ale nawet (a może przede wszystkim?) taki stary koń jak ja może się nieźle ubawić przy lekturze. Szczerze mówiąc, dawno nie czytałem czegoś równie ekscytującego! Harry Potter powinien mieć się na baczności!

Główną bohaterką jest szesnastoletnia (no, może nie do końca, bo do urodzin zostały jej jeszcze dwa tygodnie) Jennifer Strange, która od czasu zniknięcia pana Zambiniego zarządza całym Kazam, czyli wieżą pełną różnej maści czarodziejów. Jest ich dokładnie 45, z czego 13 jest zdolnych do pracy, a tylko 9 ma ważne licencje. Panna Strange musi dbać o reputację „firmy”, jej finanse oraz zapewniać nowe zlecenia swoim podopiecznym, którzy, paradoksalnie, choć starsi od niej o lata, zachowują się niczym zwariowane nastolatki...

Czasem ciężko jest utrzymać wszystko w ryzach. Szczególnie wtedy, gdy jest się zarzuconym tonom papierkowej roboty i nieustannie dzwoniącym telefonem, ale panna Strange ma do pomocy swojego wiernego zwierza – Kwarkostwora. Przypadkowo znalazła się w jego posiadaniu i tak już zostało. Kwarkostwory składają się z dziewięciu dziesiątych z welociraptora i miksera kuchennego, natomiast w jednej dziesiątej z labradora. Nie pytajcie mnie o co chodzi! W każdym razie to wiernie i urocze zielone stworzenie, które ma wręcz chorobliwe zamiłowanie do chrupania wszelkiego rodzaju metali, całkowicie mnie kupiło. Jedyne słowo, które jest w stanie wyartykułować, czyli „Kwark!” pozostanie mi w pamięci na bardzo długo!



Jennifer Strange, jak można się domyśleć – łatwego życia nie ma, ale na szczęście w Kazam pojawia się nowy mieszkaniec – młody panicz o dość nietypowej godności – Horton Krewetka vel Tygrys. Postać ta wprowadza jeszcze więcej życia i humoru do fabuły, ale przede wszystkim Tygrys jest bardzo dojrzały i odpowiedzialny jak na swój wiek, zresztą jak większość sierot, i dzięki niemu Jennifer może choć chwilę odsapnąć.

Nie na długo jednak, bo czarodziejów zaczynają nawiedzać prorocze wizje, a magiczna energia każdego z nich zaczyna rosnać w nieprawdopodobnym wręcz tempie. Wkrótce już każdy wie o przepowiedni – podobno ostatni żyjący smok ma zostać niebawem zgłodzony! A dokładnie – w najbliższą niedzielę o 12. Rozwiązanie tej sprawy przypada oczywiście pannie Strange, która w jednej chwili zostaje mianowana na ostatniego Smokobójcę, dostaje miecz, lancę i opancerzonego Rolls-royca. To właśnie na jej barki spada ciężar wielkiej odpowiedzialności i to właśnie nie kto inny, jak ona wkroczy na Smocze Ziemie, jako pierwsza ludzka istota od ponad czterystu lat! Na szczęście Kwarkostwór zawsze jest przy jej boku! Kwark!

Czytałem naprawdę wiele ciekawych i wciągających książek, jednak przy żadnej się tak przednio nie ubawiłem! Lektura przeniosła mnie w czasy młodości i miałem wrażenie, jakbym oglądał jedną ze swoich ulubionych kreskówek. To były czasy. Bajki nie były jeszcze wtedy tak deprawujące i kontrowersyjne, jak teraz (a może wtedy po prostu nie zwracało się na to zbyt dużej uwagi?)... I taka właśnie jest ta książka: 100% czystej rozrywki, 0% wad oraz + 10 punktów za to, że czeka nas jeszcze kontynuacja! (Gracze RPG zrozumieją o co mi chodzi...). Do sukcesu książki zapewne w ogromnej mierze przyczynił się tłumacz, czyli Bartosz Czartoryski. Dzięki świetnemu przekładowi każdy żart, nawet sytuacyjny był bezbłędny i przyprawiał mnie o epileptyczne wręcz napady śmiechu (bez obaw, to tylko metafora)!

Zdecydowanie nie można zapomnieć tu o ilustracjach Roberta Sienickiego, za sprawą którego właśnie odnosiłem wrażenie realności i zarazem „kreskówkowatości” (Ekhem?) przedstawionego świata. Rysunki jednocześnie wpasowały się idealnie w moje gusta, gdyż jestem fanem komiksu i sam co nieco tworzę w tym gatunku. Jedyne, do czego mógłbym się tu przychylić, to „rozstrzelanie” ilustracji w książce. Mamy kilka na początku i kilka na końcu, jednak w środku ziele zbyte duża pustka, co przynajmniej mi się rzuciło w oczy. Miałbym też parę uwag odnośnie okładki, gdyż uważam, że można by było nieco więcej z tego wycisnąć i zaprezentować książkę lepiej, ale nie jest znowu wcale tak źle, by zbyt dużo narzekać. Do niewątpliwych plusów można zaliczyć jeszcze kilka ilustracji na końcu, które przedstawiają plejadę najważniejszych bohaterów.

„Ostatni Smokobójca” jest książką skierowaną głównie do dzieci i młodzieży, jednak nie zdziwiłbym się, gdyby rodziców pochłonął niemniej lub nawet bardziej świat opisany przez Jaspera Fforde’a. Sam nie jestem zwolennikiem tego typu literatury, ale według mnie książka, jak mało która zasługuje na ocenę wzorową! Polecam ją wszystkim!

Po przeczytaniu odkładam książkę z pewnym smutkiem... Okazuje się, że nie wszystko potoczyło się dobrze... Teraz czekam z niecierpliwością na tom drugi Kronik Jennifer Strange! A w dowód mojego uznania prezentuję powyższy fanart (być może pierwszy w Polsce? :)) mojego autorstwa. Jestem pod ogromnym wrażeniem lektury...

Alan „Zerr” Gajewski

Recenzja pierwotnie ukazała się na portalu: www.recenzjum.blogspot.com

Paskuda & Co.

Autor: Magdalena Kozak

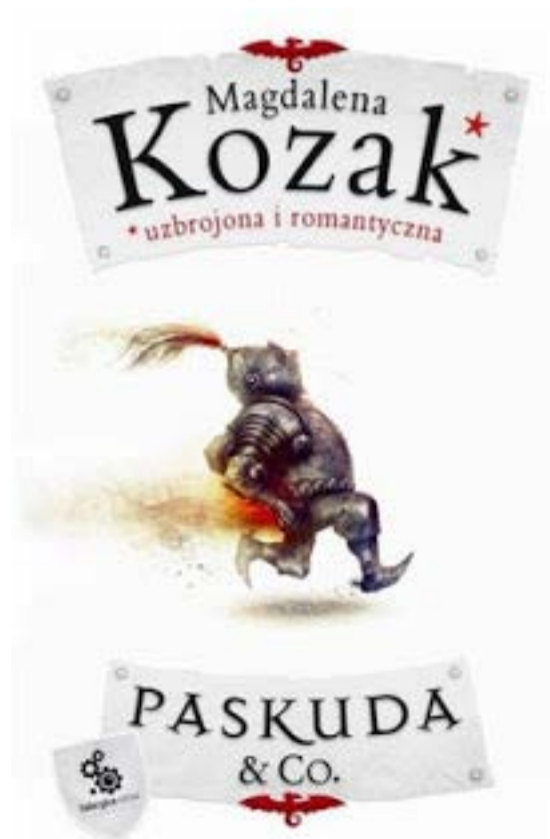
Wydawnictwo: Fabryka Słów

Liczba stron: 300

Ocena: 7/10

Osobiście – przyznam się, że nie mam pojęcia dlaczego sięgnąłem po tę książkę. Zaintrygowała mnie zapewne sama okładka, bo jak mało która przyciąga wzrok. O samej autorce bowiem nie wiedziałem za dużo, nie przeczytałem wcześniej żadnej jej książki.

A z czego można znać Magdalенę Kozak? A mianowicie z tego, że była nominowana do nagrody Zajdla (niejednokrotnie), oraz jest odznaczona Gwiazdą Afganistanu za pomoc medyczną udzieloną rannym żołnierzom podczas ostrzału raketowego. Trzeba wam bowiem wiedzieć, że autorka niniejszej książki jest lekarzem medycyny ratunkowej, a poza tym pasjonuje się militariami oraz skokami na spadochronie...



Wracając jednak do literatury, to Magdalena Kozak debiutowała opowiadaniem pod tytułem “Nuda” w roku 2003. Tekst ten jest zawarty w omawianej dziś książce. Podobnie jest z innymi, bo na przestrzeni lat 2003 oraz 2007 autorka opublikowała 10 opowiadań z zawartych tu 13. Dopiero po przeczytaniu książki dotarłem do tych informacji i muszę przyznać, że nieco się zdziwiłem... Mi jednak nie zrobiło to większej różnicy, bowiem nie przyszło mi wcześniej zetknąć się z tymi opowiadaniem, ale zapewne część osób miała

okazję. Dla nich pewnie mało opłacalną inwestycją byłby zakup książki, która w większości składa się z tekstów, które można już było przeczytać...

A o czym traktuje cała książka? Otóż poznajemy Księżniczkę zamkniętą w wieży. Pilnowaną dniem i nocą przez dzielnego Strażnika oraz groźnego smoka. Jednak po przyjrzeniu się z bliska okazuje się, że Księżniczka wcale nie ubolewa zbyt nad swoim losem, strażnik nie jest aż taki obowiązkowy, a sam smok, no cóż – Paskuda, zwana Pasią co prawda potrafi schrupać rycerza jednym kłapnięciem szczęk, ale poza tym, to jest przeurocza i niekiedy wręcz komiczna.

Nasza trójka bohaterów przeżywa doprawdy przeróżne przygody, ale obowiązkowo raz na jakiś czas u wrót musi stanąć mężny rycerz, który pragnie uwolnić księżniczkę. Taka heroiczna akcja kończy się zazwyczaj w żołądku Paskudy...

Książka Magdaleny Kozak na pewno dostarcza rozrywki, nawet tym wybrednym czytelnikom. Ale niestety nic ponadto. Sam nie ubawiłem się po pachy, choć przyznam, że zdarzyło się kilka momentów, które mnie rozbawiły. Osoba szukająca ambitnej literatury raczej nie sięgnie po tę książkę, zresztą – tekst mieszczący się z tyłu dość jasno daje nam do zrozumienia z czym też mamy do czynienia.

Niemniej jednak, czytanie Paskudy było dobrą odskocznią od wszędobylskiej poważnej fantastyki. Autorka z lekkością prowadzi fabułę książki, możemy wręcz całkowicie się wyłączyć i oddać się przyjemnej lekturze. Przygody trójki bohaterów są, o dziwo, na tyle różnorodne, że nie odczuwamy tu monotoności, choć w książce kilkakrotnie pojawiają się te same postacie. Dialogi zbudowane przez Magdę Kozak są pierwszorzędne – lekkie i zabawne, jak cały zbiór opowiadań. Doliczając do tego świetne ilustracje Daniela Grzeszkiewicza, którego prace, muszę przyznać, coraz bardziej mi się podobają, mamy całkiem udaną książkę.

Niestety, cena w porównaniu do objętości jest zdecydowanie zbyt wygórowana, ale cóż... To już zależne od autorki nie było, przypuszczam.

Polecam na chłodne i nudne wieczory, na stres i chwilę wytchnienia.

Alan „Zerr” Gajewski

Recenzja pierwotnie ukazała się na portalu: www.recenzjum.blogspot.com